

Księżniczka
NORA ROBERTS

Tłumaczyła Hanna Wójt

1

Nie była osobą cierpliwą. Sama nigdy się nie spóźniała i nie lubiła na nikogo czekać. Oczekiwanie wprawiało ją w stan zimnej wściekłości. A w przypadku Sydney Hayward był to stan bardziej niebezpieczny niż gwałtowny wybuch złości. Jedno nieostrożne słowo mogło rozpętać burzę.

Teraz właśnie czekała. Drobnymi, energicznymi krokami przemierzała wzdłuż i wszerz swój gabinet, mieszczący się w jednym z wieżowców Manhattanu. Pastelowe ściany, złoty parkiet, wszystkie przedmioty na swoim miejscu! Kartki papieru, teczki, kolorowe długopisy, równo zatemperowane ołówki. Lśniący blat mahoniowego biurka. Notes obok telefonu.

Ona sama idealnie pasowała do tego wnętrza. Wytworzony szary kostium, podkreślający szczupłą linię sylwetki, dyskretny makijaż, na szyi mały sznur pereł, na przegubie delikatnej ręki złoty zegarek. Prostota i elegancja, jak przystało na przedstawicielkę rodu Haywardów.

Kruczoczarne włosy miała spięte na karku złotą spinką. Porcelanową buzię o drobnych arystokratycznych rysach pokrywała lekka warstwa pudru. Sydney miała dwadzie-

ścia osiem lat, niezbyt skore do uśmiechu, kształtne usta i duże błękitne oczy o myląco niewinnym wyrazie.

Spojrzała na zegarek i zdecydowanym krokiem podeszła do biurka. Telefon zadzwonił, zanim zdążyła wyciągnąć rękę.

- Słucham.

- Przyszedł jakiś pan, w sprawie tych budynków na Soho. Chce rozmawiać z osobą odpowiedzialną za remont. A spotkanie o czwartej...

- Jest piętnaście minut po czwartej - poprawiła ją lodowatym tonem Sydney. - Proszę go wpuścić.

- Oczywiście, proszę pani, tylko, że to nie jest pan Howington.

A zatem nawet nie raczył pofatygować się osobiście. Przysłał jakiegoś urzędnika. Usta Sydney wykrzywił grymas.

- Niech wejdzie - powtórzyła i nacisnęła guzik interkomu.

Jeśli sądzą, że będzie rozmawiała z jakimś urzędniczyną, to głęboko się mylą, pomyślała i wzięła głęboki oddech, zdecydowana dać ostrą odprawę człowiekowi, który za chwilę miał nawiedzić jej gabinet.

Tylko jednak niezwykle starannemu wychowaniu zawdzięczała fakt, że nie krzyknęła ze zdumienia na widok wchodzącego mężczyzny. Właściwie nie wszedł - wpadł, wtargnął do jej gabinetu jak pirat na pokład wrogiego okrętu.

Był niezwykle przystojny. Wysoki, smagły, ciemnowłosy, o dzikim spojrzeniu czarnych oczu. Włosy miał zebrane na karku i spięte w mały kucyk; kilkudniowy zarost dopełniał całości obrazu.

W porównaniu z jego potężną sylwetką jej gabinet wyglądał jak domek dla lalek.

Na dodatek ów przybysz ubrany był jak zwykły robotnik. Ot, stare dżinsy, sprany podkoszulek i długie, zabłoczone buty, zostawiające brudne ślady na lśniąącym parkiecie. Sydney zacisnęła usta. A więc nie wysłali nawet zwykłego urzędnika, tylko jakiegoś montera, który na dodatek nie uznał za stosowne wytrzeć buty przed wejściem.

- Dobrze trafiłem?

Obcesowy ton i lekki obcy akcent pogłębiły wrażenie, że ma przed sobą istotę z innego świata.

Nagromadzenie skojarzeń sprawiło, że nie zapanowała nad swoim głosem.

- Tak, i na dodatek spóźnił się pan - powiedziała ostro.

Jego oczy zwięziły się. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Naprawdę?

- Tak. Warto od czasu do czasu spojrzeć na zegarek.

Mój czas jest cenny, panie... panie...

- Stanisławski.

Włożył ręce do kieszeni i podszedł nieco bliżej. Teraz prawie opierał się o biurko.

- Stani,.. sławski? - powtórzyła z trudem. - Chyba za-szła jakaś pomyłka. - Sydney uniosła ze zdziwieniem brwi.

Spojrzał na nią z mieszaniną zniecierpliwienia i zainteresowania. Owszem, pomyślał, niczego sobie, ładna, nawet bardzo ładna, ale on nie przyszedł tutaj, żeby tracić czas na rozmowy z jakąś panienczką, która stroi fochy.

- Na to wygląda - powiedział. - Hay ward pewnie musi być już dobrze starszym panem, łysym, z białymi bokobrodami.

-- Ma pan na myśli mojego dziadka.

- To Hayward jest pani dziadkiem? Nie wiedziałem, chcę z nim pogadać.

- Niestety, to niemożliwe, dziadek umarł dwa miesiące temu.

Oczy mężczyzny natychmiast złagodniały, nabrały nowego wyrazu.

- Och, bardzo mi przykro.

Ton jego głosu sprawił, że przez chwilę Sydney miała dziwne wrażenie, że dopiero teraz słyszy prawdziwe wyrazy współczucia.

- Dziękuję. Proszę, niech pan siada, przejdźmy do interesów.

Zimna, pełna dystansu, księżycowa, ocenił szybko jej charakter. Bardzo dobrze, uznał. Będzie się lepiej rozmawiało. Podobne sprawy najlepiej załatwia się na odległość, bezosobowo.

- Wielokrotnie pisałem do pani dziadka - zaczął, siadając na stylowym krześle naprzeciw biurka - lecz ostatniego listu wiodocznie nie zdążył już dostać. Pewnie wiele się zmieniło...

Tak, wiele się ostatnio zmieniło, pomyślała. Jej życie też nagle stało się zupełnie inne niż kiedyś.

- Korespondencja powinna być adresowana do mnie - usiadła za biurkiem i splotła dłonie - jak pan wie, w naszej firmie są różne działy i...

- Co takiego?

Opanowała się wysiłkiem woli. Nie lubiła, kiedy jej przerywano.

- Słucham, o co panu chodzi?

- Co mają do tego różne działy?

Gdyby była sama, westchnęłaby głęboko i znużona zamknęła oczy.

- Na jakim stanowisku jest pan zatrudniony?

- Jak to? - zapytał znowu.

- Czym się pan zajmuje?

Uśmiechnął się. Zęby miał bardzo białe, uśmiech wyjątkowo miły.

- Co robię? Pracuję w drewnie.

- Jest pan stolarzem?

- Można tak powiedzieć.

- Można tak powiedzieć - powtórzyła, westchnęła ciężko i wyprostowała się w fotelu. Nad jej głową na niebieskim niebie rysowały się smukłe wieżowce Manhattanu.

- Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego pan Howington wysłał właśnie pana na rozmowę ze mną.

Nie od razu odpowiedział. Zapach i nastrój tego pokoju działały na niego usypiająco.

- Nikt mnie nigdzie nie wysłał - otrząsnął się nagle, jakby wyrwany ze snu.

Sydney zaniepokoiła się.

- Jak to?

- Zwyczajnie. Nazywam się Michael Stanisławski, jestem lokatorem jednego z pani domów. - Założył nogę na nogę. Mogła teraz podziwiać jego brudny but w całej okazałości. - A co do Howingtona, to już kiedyś miałem z nim kontakt, nie byłem zachwycony - dodał pewnym głosem.

- Przepraszam pana na chwilę. - Uśmiechnęła się do niego nieznacznie i sięgnęła po telefon. - Janinę, czy pan Stanisławski mówił, że przychodzi od Howingtona?

- Nie, proszę pani. Po prostu chciał się z panią zobaczyć. Pan Howington dzwonił dziesięć minut temu. Przepraszał, że nie może przyjść. Jeśli pani...

- Dziękuję. - Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, Sydney odłożyła słuchawkę.

Usiadła i ponownie spojrzała w utkwione w niej czarne oczy.

- Widzi pan? Chyba istotnie zaszło jakieś nieporozumienie.

- Dlaczego? To pani się pomyliła. Ja wiem, po co przyszedłem. Jestem tu w sprawie zaległego remontu należących do was budynków mieszkalnych na Soho.

Przesunęła dłonią po włosach.

- Jak rozumiem, ma pan pewne zastrzeżenia.

- Mam same zastrzeżenia - poprawił ją.

- Jak pan wie, w takich sytuacjach obowiązuje pewien urzędowy tryb, któremu trzeba się podporządkować. To trwa.

Mężczyzna uniósł brwi.

- Te domy należą do pani, prawda?

- Tak, ale...

- No to pani jest za nie odpowiedzialna.

Wzięła głęboki oddech.

- Doskonale wiem, za co jestem odpowiedzialna, a teraz... - Poruszyła się na fotelu, jakby chciała wstać, dając mu sygnał, że powinien opuścić jej gabinet. On jednak nawet nie drgnął.

- Pani dziadek zobowiązał się załatwić te sprawy. Nie może pani nie dotrzymać tego, co obiecał.

- Wiem, co mogę, a czego nie mogę - powiedziała Io-

dowatym tonem - po pierwsze mam prowadzić firmę. - A to wcale niełatwe, dorzuciła w myśli. Głośno mówiła dalej: - Proszę powtórzyć najemcom, że nasza firma poważnie myśli o przeprowadzeniu generalnego remontu pomieszczeń. Zdajemy sobie sprawę ze stanu niektórych budynków. Domami na Soho również się zajmiemy. W odpowiedniej kolejności.

Michael Stanisławski nie zmienił wyrazu twarzy, w tonie jego głosu zabrzmiała pogarda.

- Znudziło nam się czekać. Macie to załatwić zaraz.

- Proszę przesłać szczegółowy opis stanu budynku i spis najbardziej koniecznych napraw.

- Już to zrobiliśmy.

Zacisnęła usta.

- Dziś po południu przejrzę korespondencję w tej sprawie.

- To nic nie zmieni. A tu chodzi o ludzi, żywych ludzi. Co miesiąc bierzecie czynsz i nic więcej was nie obchodzi.

- Mocno wsparł się rękami o biurko. Sydney odsunęła się lekko. - Czy kiedykolwiek widziała pani te domy i mieszkających w nich ludzi?

- Regularnie dostają sprawozdania... - zaczęła.

- Sprawozdania! - powtórzył i mruknął coś pod nosem w nieznanym jej języku. Nie zrozumiała słów, ale wyczuła, że było to przekleństwo. - Ma pani sztab pracowników i adwokatów, siedzi sobie pani w tym pięknym biurze, przegląda papierki... Ech! - Machnął lekceważąco ręką i mówił dalej: - Ale tak naprawdę nie ma pani o niczym pojęcia. Nie marznie pani, kiedy wysiądzie ogrzewanie, i nie idzie pani pięć pięter pod górę, bo właśnie zepsuła się

winda! Nic pani nie obchodzi brak ciepłej wody i instalacja elektryczna, która w każdej chwili grozi spięciem!

Nikt nigdy nie mówił do niej w ten sposób. Nikt nigdy. Czuła, jak narasta w niej wściekłość. Wściekłość, która pozwalała zapomnieć, że człowiek, którego ma przed sobą, może być naprawdę niebezpieczny.

- Myli się pan. Te sprawy bardzo mnie interesują. W najbliższym czasie zajmę się tym wszystkim.

- Już to słyszeliśmy.

~ Nie ode mnie. Tym razem będzie inaczej.

- Nie mam powodów wierzyć osobie zbyt leniwej, żeby się pofatygować i zobaczyć, jak żyją Judzie w jej domach. A może pani się boi?

Sydney zbladła.

- Dość tego - powiedziała cichym, nie wróżącym nic dobrego głosem - na dzisiaj dość. Teraz albo pan sam stąd wyjdzie, albo zadzwonię po strażników, żeby panu pomogli.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Sam znajdę drogę - wycedził wreszcie - ale na pożegnanie coś pani powiem. Daję pani dwa dni na rozpoczęcie prac, potem zwracamy się do prasy.

Stała za biurkiem, czekając, aż zniknie za drzwiami. Potem osunęła się na fotel. Powolnym ruchem sięgnęła po kartkę papieru i zaczęła ją drzeć na kawałki. Celowo i metodycznie. Wrzuciła białe strzępki do kosza i uspokojona sięgnęła po telefon.

- Janinę - powiedziała opanowanym głosem - przynieś mi wszystko, co dotyczy tych domów na Soho.

W godzinę później schowała papiery do teczki i wykonała dwa telefony. Pierwszy, żeby odwołać kolację z przyjaciółmi, drugi - do Lloyda Bringhama, dyrektora administracyjnego firmy.

W chwilę później stanął w drzwiach gabinetu.

- Właśnie wychodziłem - zaczął od progu - o co chodzi?

Spojrzała na niego. Przystojny, pewny siebie, doskonale ubrany. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że bardzo sobie ceni angielskich krawców i francuską kuchnię. Czterdziestoletni mężczyzna, świeżo po drugim rozwodzie, stale w otoczeniu pięknych dziewczyn. Uczciwie sobie zapracował na swoją pozycję w firmie, w czasie choroby dziadka sprawnie go zastępował. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo ją nienawidzi za to, że zajęła miejsce za biurkiem prezesa.

- Na początek może mi powiesz, dlaczego nic nie zrobiono w sprawie tych domów na Soho.

- Domy na Soho - powtórzył spokojnie i wyjął papierosa ze złotej cygarniczki. - Wszystko jest w odpowiedniej teczce.

- Papiery leżą w teczce od ponad półtora roku. Pierwszy list od lokatorów nosi datę sprzed dwóch lat. Jest do niego dołączona lista najpilniejszych potrzeb. Dwadzieścia siedem punktów.

- Mam nadzieję, że sprawdziłaś również, ile z tych spraw zostało załatwionych.

Rozsiadł się w fotelu, wypuścił wstążkę dymu.

- Owszem, na przykład zreperowano piec. Lokatorzy są jednak zdania, że trzeba go wymienić na nowy.

Lekceważąco machnął ręką.

- Brak ci doświadczenia, Sydney. Z czasem dowiesz się, że lokatorzy zawsze chcą szybko i dużo.

- Może. Uważam jednak, że firmy nie stać na opłacanie kosztów reperacji starego pieca, który po dwóch miesiącach popsuje się znowu. - Chciał odpowiedzieć, lecz nie dopuściła go do głosu. - Zepsuta kanalizacja, odłączająca farba, brak ciepłej wody, popsuta winda, potłuczona glazura... Mogłabym kontynuować, ale szkoda mi czasu. Znalazłam notatkę podpisaną przez dziadka. Poleca ci jak najszybciej zająć się tym wszystkim.

- I zająłem się. Potem twój dziadek zachorował i wszystko się skomplikowało. Nie mogłem myśleć o wszystkim naraz. Ten budynek na Soho jest tylko jednym z wielu.

- Masz rację - mówiła spokojnie, ale w *jej* głosie brzmiał gniew - wiem dobrze, że jesteśmy odpowiedzialni za wszystkie należące do nas domy bez względu na to, gdzie się znajdują. - Zamknęła teczkę z papierami i złożyła na niej dłońe doskonale opanowanym gestem. - Chcę jedynie, żebyś wiedział, że zamierzam osobiście czuwać nad remontem tego domu na Soho.

- Można wiedzieć dlaczego?

Uśmiechnęła się łaskawie.

- Doprawdy sama nie wiem. Taką podjęłam decyzję, jakoś dziwnie mi zależy na remoncie właśnie tego domu. Dlatego proszę, żebyś się porozumiał z odpowiednią ekipą remontową i przedstawił mi konkretne propozycje. - Podała mu teczkę. - Dołączyłam spis pozostałych domów wymagających szybkiego remontu. Ustal kolejność działań, wyniki przedstawiś mi w piątek na zebraniu.

- Rozumiem - zgasił papierosa - pozwól jednak, że ci coś powiem. Nie chciałbym cię obrazić, ale taka dama jak ty, która całe życie spędziła na jachcie i u krawcowej, nie powinna zajmować się podobnymi sprawami. Dla dobra firmy.

Sydney opanowała gniew. Nie wolno jej okazać, jak bardzo zabołały ją jego słowa.

- W takim razie powinnam zacząć się uczyć, właśnie to robię. Do widzenia, Lloyd.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, spojrzała na swoje ręce. Drżały. Lloyd ma rację. Wielu rzeczy jeszcze nie umie. Sporo musi się nauczyć, żeby sprostać wymaganiom sytuacji i stanąć na wysokości zadania. Sprostać wymaganiom. .. Chociaż ten jeden raz.

Pograżona w niewesołych myślach przebyła pełen roślin korytarz i weszła do prywatnej oszklonej windy. Na dole lekko skinęła głową stojącemu w drzwiach strażnikowi i wyszła na ulicę.

Uderzyła ją fala gorącego powietrza. Mimo że była dopiero połowa czerwca, w Nowym Jorku panował duszny, wilgotny upał. Zrobiła kilka szybkich kroków i z przyjemnością zagłębiła się w klimatyzowanym wnętrzu samochodu. Podała kierowcy adres i ruszyli w stronę Soho.

Mogła wszystko spokojnie przemyśleć. Ruch panujący na ulicy uniemożliwiał szybką jazdę. Nie wiedziała, co właściwie zamierza zrobić, kiedy znajdą się na miejscu, ani jak się zachowa, kiedy znowu spotka Michaela Stanisławskiego.

Musiała przyznać, że zrobił na niej ogromne - choć trudno byłoby rzec, że dobre - wrażenie. Przypomniała

sobie niesamowite spojrzenie czarnych oczu, brak manier, obcesowość. Na dodatek nie mogła się nie zgodzić, że miała powody do takiego zachowania. Dokumenty zawarte w teczce świadczyły o całkowitym lekceważeniu opinii lokatorów. Jediną odpowiedzią na dziesiątki listów były bliżej nieokreślone obietnice.

Może gdyby nie choroba dziadka... Sydney przyłożyła rękę do pulsującej bólem skroni. Przed wyjściem z biura trzeba było wziąć aspirynę.

Trudno. Co było, to było. Teraz ona jest za wszystko odpowiedzialna. Odziedziczyła nie tylko wielką, dobrze prosperującą firmę, lecz również odpowiedzialność za jej działania. Zamknęła oczy. Jechali teraz w stronę centrum.

Michael siedział w domu i próbował obrabiać kawałek drewna. Nie bardzo mu szło. Stracił serce do pracy, ale wiedział, że musi coś zrobić z rękami.

Nie mógł przestać myśleć o tej kobiecie. Sydney Hayward. Wyniosła i zimna, sopel lodu. Jedna z tych arystokratycznych istot, przeciwko którym buntowała się cała jego istota. Wieloletni pobyt w Ameryce nic tu nie zmienił. Był potomkiem ukraińskich Cyganów i jak oni był zbuntowany, impulsywny, kontestujący normy, nie uznający autorytetów.

Na ogół uważał się za Amerykanina, nieraz jednak - czuł się z krwi i kości Ukraińcem.

Wióry spadały na stół i podłogę. Pokój przypominał pracownię: kawały drewna, noże, rylce, młotki, piły. W rogu dzbanek i szczotki. Całe pomieszczenie pachniało świeżym drewnem i terpentyną.

Otworzył puszkę piwa i zapatrzył się w leżący przed nim materiał. Drewno było martwe. Stawiało opór. Strzegło swej tajemnicy, zazdrośnie skrywając przed jego rękami wnętrze. Wrażliwymi palcami zaczął obmacywać szorstką powierzchnię i wtedy przez otwarte okno wtargnął z zewnątrz ryk muzyki.

Uśmiechnął się do siebie. W ciągu ostatnich dwóch lat zarobił wystarczająco dużo, żeby zmienić mieszkanie. Nie zrobił tego jednak, bo lubił swoją dzielnicę, to hałaśliwe sąsiedztwo, kobiety przekrzykujące się na ulicy, mężczyzn przesiadujących pod domami.

Nie potrzebował luksusów, boazerią wykładanych ścian, supernowoczesnej kuchni, łazienki z natryskami. Chciał mieć tylko nie ciekący kran, ciepłą wodę i sprawną lodówkę, żeby chłodzić w niej piwo i inne napoje. A tego wszystkiego właśnie mu brakowało, bo pani Sydney nie chciało się zadbać o powierzoną jej własność.

Trzy energiczne stuknięcia do drzwi wyrwały go z zamyslenia.

- Co tam?

W drzwiach stanęła Keely O'Brian. Zrobiła dramatyczną przerwę, po czym podbiegła do niego.

- Dostałam rolę! - Podskoczyła i objęła go rękami za szyję. - Dostałam, słyszysz! - Głośno pocałowała go w policzek. - Mam rolę! Mam rolę!

- Mówiłem ci, że dostaniesz. - Pogłaskał ją po blond czuprynie. - Weź sobie piwo. Musimy to uczcić.

- Boże, Mike! - Pobiegnęła do lodówki i wyjęła puszkę. - Przed przesłuchaniem byłam tak potwornie zdenerwowana, że dostałam czkawki i potem wypiałam pół litra wody,

żeby mi przeszło. Myślałam, że się posikam. - Uniosła puszkę, wznosząc toast. - No ale dostałam tę rolę. W jednym serialu, co tydzień odcinek, ja będę tylko w trzecim. Taki kawałek kiedy mnie mordują... - Odrzuciła głowę do tyłu i wydała przenikliwy krzyk. - O, właśnie tak wrzasnę, kiedy ten zbrodniarz wyskoczy na mnie zza węgła. Zobaczysz, to będzie hit sezonu.

- Na pewno.

Lubił jej monologi. Keely ani na chwilę nie mogła usiedzieć w miejscu, bez przerwy była w ruchu, stale gdzieś wędrując na swoich długich, zgrabnych nogach, opiętych kolorowymi szortami. Miała dwadzieścia trzy lata, zielone oczy, śliczne ciało i serce przepastne jak Wielki Kanion. Michael chętnie poszedłby z nią do łóżka, gdyby nie to, że od początku ich znajomości traktował ją jak starszy brat.

Pociągnęła łyk piwa z puszki.

- Może zamówimy coś do zjedzenia? Jakaś pizzę albo coś innego... Mam mrożoną pizzę, ale mój piecyk znowu wysiadł.

Wróciło wspomnienie biura na Manhattanie.

- Byłem u nich dzisiaj.

Keely zastygła z puszką niesioną w stronę ust.

- I co, dopuścili cię przed oblicze?

- Tak.

Wskoczyła na parapet, pokręciła się niespokojnie.

- Jaki on jest? Opowiadaj!

- Nie żyje.

Zakrztusiła się piwem.

- Rany! Ty chyba go... nie...

- Nie, nie zabiłem go - uśmiechnął się Michael. Bawiło

go to, że Keely wszędzie węszy sensację. - Nie zabiłem go, ale o mały włos nie zamordowałem jego wnuczki. Teraz ona kieruje firmą.

- Co takiego? Jak ona wygląda?

- Bardzo ładna, wyniosła - pogładził palcami kawałek drewna - ciemne włosy, biała cera, oczy niebieskie, duże, kiedy mówi, robią się lodowate...

- Można sobie być lodowatym, kiedy człowiek ma forszę...

- Powiedziałem, że daję jej dwa dni na rozpoczęcie remontu, potem robimy aferę.

Keely uśmiechnęła się. Bardzo go lubiła, ale nieraz musiała przyznać, że jest naiwny jak dziecko.

- Może lepiej byłoby posłuchać pani Bayford i przestać płacić komorne... Oczywiście mogą nas wyrzucić, ale...

- Wyjrzała przez okno, zaintrygowana odgłosem silnika.

- Michael, chodź, zobacz ten samochód - przywołała go.

- Lincoln czy co...? Z kierowcą. O, wysiadła jakaś kobieta... - W jej głosie nie było zawiści, tylko bezgraniczne zdumienie. - Ale ubrana! Wygląda jak z okładki, to chyba ta twoja królowa lodu we własnej osobie.

Sydney stała na zewnątrz i przyglądała się budynkowi. Rzeczywiście, jego stan był rozpaczliwy. Dom prezentował się jak stara kobieta bezskutecznie próbująca ratować resztki dawnej urody. Pokruszona cegła, łuszcząca się farba; rzeczywiście coś z tym trzeba było zrobić. Wyjęła notes i zaczęła notować.

Czuła, że siedzący pod domem mężczyzna nie spuszcza z niej wzroku, ale pisała dalej. Starła się nie słyszeć bombardujących ją dźwięków. Z otwartych okien buchała mieszanina muzyki i dziecięcego płaczu; ktoś pełnym głosem śpiewał

ostatni radiowy przebój. Uniosła głowę, zanotowała w pamięci balkony pełne doniczek, rowerów, zepsutych sprzętów i suszącej się bielizny. Przesunęła wzrokiem dalej. Tak, opłakany stan budynku nie budził najmniejszych wątpliwości.

Zmarszczyła brwi i wtedy jej wzrok padł na dwie głowy wychylające się z okna ostatniego piętra. Poznała palące spojrzenie Michaela; obok niego złociła się jasnowłosa główka młodej dziewczyny. Wyglądali tak, jakby im właśnie przerwała czułe *tete-a-tete*. Chłodno skinęła głową w ich stronę i wróciła do notatek. Wreszcie, ukończywszy opis elewacji, skierowała się do wejścia. Siedzący przy drzwiach mężczyzna usunął się na bok.

Klatka schodowa była wąska i duszna. Sydney wsiadła do windy i niepewnie rozejrzała się wokół. Na ścianie ktoś grubym flamastrem nasmarował zdanie: „Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy tu wchodzić”. Po chwili winda zatrzęsała się i stanęła, a drzwi rozsunęły się ze zgrzytem; za nimi na tle brudnej ściany stał Michael.

- Zwiedza pani swoją posiadłość?

Jeszcze raz spojrzała w notes. Nie od razu odpowiedziała. Michael wyglądał nieco lepiej niż w biurze, a może po prostu przyzwyczaiła się do jego stylu.

- Jak panu mówiłam, przeczytałam korespondencję w tej sprawie, a teraz przyszedłam wszystko sprawdzić na miejscu. - Rzuciła okiem w stronę windy. - Jest pan bardzo odważny... albo po prostu lekkomyślny.

- Jestem realistą, co ma być, to będzie, oto moja dewiza. - Włożył ręce do kieszeni. - I co pani postanowiła?

- Rozpoczynamy remont. Pisał pan, że trzeba wymienić poręcze...

- Już to zrobiłem.
- Pan?
- Ja. Tutaj mieszkają starzy ludzie, jest też sporo dzieci.

Trzeba było to zrobić.

Powiedział to tak naturalnie, jakby stwierdzał fakt sam przez się zrozumiwały.

- Rozumiem. Skoro tak świetnie orientuje się pan w potrzebach lokatorów, to może po prostu pokaże mi pan dom i powie, od czego należałoby zacząć?

Nie odpowiedział. Nakazał jedynie gestem, by szła za nim. Chodzili od mieszkania do mieszkania, stukając do drzwi. Ludzie witali Michaela radośnie, ją - z lekką rezerwą. Wszędzie panował zapach gotującego się jedzenia; siedzący przy stołach ludzie zapraszali ich i częstowali gulaszem, pieczonym kurczakiem, ciastem. Skarżyli się na warunki mieszkaniowe, mówili o niedogodnościach. W każdym ich słowie Sydney znajdowała potwierdzenie faktów zawartych w listach.

Stopniowo zaczynało ogarniać ją zmęczenie. Odmawiała kolejnych poczęstunków, ograniczając się do szklanki wody. Jak w ogóle można żyć i gotować w takich warunkach, myślała. Duszne pomieszczenia pogłębiały ból głowy, czuła, że zaczyna się pocić. Kiedy dobrnęli na ostatnie piętro, myślała już wyłącznie o tym, żeby jak najszybciej wziąć chłodny prysznic, napić się soku z lodówki i wyciągnąć na kanapie w jakimś klimatyzowanym pomieszczeniu.

Michael kątem oka widział, jak jej buzia czerwienieje od upału. Oto jaśnie pani, dobra i łaskawa księżniczka, która opuściła salony i dokłada wszelkich starań, żeby jak najlepiej poznać życie swoich poddanych, myślał o niej

z ironią. Ciekawe tylko dlaczego nie zdejmie żakietu ani nie odepnie ani jednego guzika.

Z irytacją spostrzegł, że chętnie by to za nią zrobił.

- Przydałaby się klimatyzacja - wysapała Sydney, wchodząc na ostatnie piętro - chyba warto by założyć coś takiego w niektórych mieszkaniach.

- Za duże obciążenie dla sieci. Kiedy się włączy klimatyzatory, wysiadzie światło. Nie ma rady, musi tak być. Najgorzej jest w korytarzach, można się udusić, im wyżej, tym gorzej.

- Owszem, czuję.

Teraz była blada z wyczerpania.

- Dlaczego więc pani się nie rozbierze?

- Co takiego?

- Czysta głupota.

Rozpiął guziki jej żakietu i zaczął go z niej zdejmować. Oburzenie i upał spowodowały, że zrobiła się purpurowa.

- Niech pan przestanie!

- Przecież to nie ma sensu. Nie *jest* pani na konferencji.

Dotyk jego rąk nie był nieprzyjemny i to zupełnie wyprowadziło ją z równowagi. Wyrwała się, próbując zapiąć z powrotem żakiet. On tymczasem otworzył drzwi i niemal wepchnął ją do swojego mieszkania.

- Panie Stanisławski - powiedziała z oburzeniem - proszę mnie nie dotykać!

- Zaczynam mieć wątpliwości, czy kiedykolwiek ktoś panią dotknął - powiedział nonszalancko - mógłby sobie odmrozić ręce.

- Nie życzę sobie...

Lekko popchnął ją na krzesło i zwrócił się do stojącej w drzwiach Keely.

- Przyniesz szklanekę wody.

- Jest pan najbardziej nieokrzesanym człowiekiem, jakiego w życiu widziałam. - Sydney z trudem łapała oddech.

Michael wziął szklanekę z rąk Keely i siłą powstrzymał się, żeby nie chlusnąć wodą w tę śliczną porcelanową twarzyczkę.

- No, niech pani pije.

Keely podeszła bliżej.

- Nie bądź taki, Mike, widzisz, że ledwo żyje - powiedziała łagodnie i zaczęła z lubością wpatrywać się w jedwab bluzki oraz perły na szyi Sydney.

- W porządku. Już mi lepiej. - Sydney wyrównała oddech.

- Nazywam się Keely O'Brien, mieszkam pod numerem 502 - przedstawiła się dziewczyna.

- Ma zepsuty piecyk - dodał Michael. - Poza tym nie ma ciepłej wody, a z dachu się leje...

- Tylko jak pada - powiedziała pośpiesznie Keely, jak gdyby chciała ją pocieszyć. - To ja już sobie pójdę, bardzo mi było miło... - Uśmiechnęła się nieznacznie i wyszła. Michael podążył za nią.

Kiedy się oddalili, Sydney pociągnęła łyk letniej wody. Michael nie składał żadnych zażaleń dotyczących własnego mieszkania, ale z miejsca, gdzie siedziała, mogła widzieć podarte linoleum w kuchni i starą, rozwalającą się lodówkę. Odwróciła wzrok, miała już dosyć tego wszystkiego.

Usłyszała kroki i po chwili zobaczyła, jak Michael przy-
siada na kuchennym blacie. Spojrzał na nią z lekkim niepo-
kojem, jakby bał się, że zemdleje.

- Może *jest* pani *głodna*.? Mogę zrobić kanapkę.

Przeszło jej przez myśl, że o tej porze miała właśnie
siadać do kolacji z matką i jej przyjaciółmi.

- Nie, dziękuję, proszę się o mnie nie troszczyć.

Wzruszył ramionami.

- To nie troska.

Dziwny ton jego głosu sprawił, że się zmieszała. Posta-
nowiła zmienić temat.

- Mówił pan, że jest stolarzem.

- Owszem, czasem jestem.

- Ma pan jakieś papiery?

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Tak, mam.

- Ma pan pewnie kontakty z jakimiś ekipami remonto-
wymi, elektrykami, hydraulikami i tak dalej?

- Owszem.

- Doskonale. Proszę więc tak wszystko urządzić, żeby-
śmy mogli jak najszybciej zacząć. W przyszłym tygodniu
chciałabym mieć na biurku kosztorys.

Zarumieniła się, wstała i zapięła żakiet na wszystkie
guziki. Nie ruszył się z miejsca.

- A co potem?

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Potem sownie panu zapłacę i powiem: do widzenia,
panie Stanisławski.

2

- Mamo, ja naprawdę nie mam czasu.

- Sydney, kochanie, na herbatę zawsze trzeba mieć czas. - Margerite Rothchild Hayward Kinsdale LaRue przechyliła dzbanek nad filiżanką z chińskiej porcelany.

- Poza tym mam wrażenie, że zbyt się tym wszystkim przejmujesz.

- Po prostu jestem bardzo zajęta - mruknęła Sydney, nie podnosząc głowy znad papierów.

- Nie mogę pojąć, co twój dziadek zamierzał w ten sposób osiągnąć. Zawsze był trochę dziwny ~ westchnęła Margerite. - Kochałam go i bardzo mi go brak... ale nigdy go nie rozumiałam. A teraz - dodała już innym tonem - chodź, kochanie, napijemy się herbaty i coś zjemy, nawet pani prezes musi od czasu do czasu zjeść lunch.

Sydney wstała i zrezygnowana podeszła do stolika. Może w ten sposób matka szybciej sobie pójdzie.

- Bardzo się cieszę, że przyszłaś, ale naprawdę jestem bardzo zajęta.

- Cała ta twoja praca to jeden wielki nonsens - zaczęła Margerite, kiedy córka usiadła przy niej. - Nie wiem, po co się tak przemęczasz, właściwie powinnaś zaangażować ko-

goś, kto by cię zastąpił. - Włożyła plasterk cytryny do filiżanki. - Rozumiem, że na początku to może być nawet zabawne, ale na dłuższą metę naprawdę nie ma sensu.

- Tak sądzisz? - Sydney próbowała nie okazać zniecierpliwienia. - Może się przecież okazać, że potrafię kierować firmą.

- Kochanie, wszystko co robisz, robisz cudownie, jestem tego pewna. - Machinalnie pogłaskała córkę po rękę. Sydney zawsze była idealnym dzieckiem. Nie miała z nią większych kłopotów. To dziwactwo też z czasem jej minie, pocieszała się Margerite. - Dziadek doskonale zrobił, że właśnie tobie przekazał te wszystkie domy - powiedziała polubownie i z wdziękiem sięgnęła po kanapkę. Wytwor-na, smukła kobieta, nie wyglądająca na swoje pięćdziesiąt lat, w nieskazitelnie uszytym kostiumie Chanel, wszystko robiła elegancko i z wdziękiem. - Co nie znaczy, że musisz żyć jak odludek - ciągnęła. - Poza tym, prowadzenie firmy to nie jest zajęcie dla kobiety. Mężczyźni nie lubią zbyt ambitnych kobiet.

- Nie wszystkie kobiety myślą tylko o tym, jakby się przypodobać mężczyznom.

- Głuptas z ciebie - matka lekko uderzyła ją po rękę - od czasu do czasu mężczyzna się przydaje. Mówisz tak, bo jesteś przeczulona po tej historii z Peterem. Pamiętaj, pierwsze małżeństwo zawsze jest tylko próbą generalną.

Sydney odstawiła filiżankę, spojrzała matce prosto w oczy.

- Twoje małżeństwo z tatusiem też było tylko na próbę?

- To była dobra lekcja dla nas obojga - powiedziała

matka sentencjonalnie. - No dobrze, a teraz powiedz, jak wypadło spotkanie z Channingiem. Jak było?

- Beznadziejnie.

Margerite przymknęła błękitne oczy.

- Nie żartuj.

- Mówię poważnie. - Sydney, żeby coś zrobić z rękami, znowu sięgnęła po filiżankę. Dlaczego zawsze, odkąd pamięta, rozmowa z matką była tak męcząca? - Przykro mi, mamó, ale my do siebie po prostu nie pasujemy.

- Bzdura, świetnie pasujecie. Channing jest inteligentnym młodym człowiekiem z doskonałej rodziny.

- Zupełnie jak Peter.

Brzęknęła porcelana. Margerite nieco zbyt gwałtownie odstawiła filiżankę na spodek.

- Czy musisz każdego mężczyznę porównywać z Peterem?

- Wcale tego nie robię. - Korzystając z okazji, Sydney odsunęła rękę. Obecność matki krępowała ją, wyzwalała poczucie winy. - Nie porównuję Channinga z nikim, on sam jest po prostu nudny i pretensjonalny. Mężczyźni w ogóle mnie nie interesują. Zamierzam osiągnąć coś w życiu, ale bez ich pomocy. Sama.

- Sama - powtórzyła Margerite bardziej zdziwiona niż oburzona. - Pamiętaj, dziecko, że jesteś z rodu Haywardów, to wystarczy, nie musisz już nic robić. - Podniosła do ust serwetkę. - Na miłość Boską, Sydney, rozwiodłaś się z Peterem cztery lata temu. Musisz sobie znaleźć odpowiedniego męża, bo inaczej ludzie przestaną cię zapraszać. Zajmujesz określone miejsce w środowisku i to nakłada na ciebie pewne obowiązki.

Sydney z trudem przełknęła łyk herbaty.

- Zawsze tak mówiłaś, mamo.

Margerite uśmiechnęła się, sądząc zapewne, że córka najwyraźniej zrozumiała jej argumenty.

- I cóż, nie miałam racji? Nie bądź nierozsądna, kochanie. Skoro Channing ci nie odpowiada, znajdziemy kogoś innego, ale chyba go nie doceniasz. Gdybym ja była trochę młodsza... - Spojrzała na zegarek, zerwała się z krzesła.

- Wybacz kochanie, ale muszę pędzić, spóźnię się do fryzjera. Tylko jeszcze przypudruję nos.

Kiedy zniknęła w sąsiadującej z gabinetem łazience, Sydney odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy. Skąd to poczucie niższości, skąd to przekonanie, że znowu nie stanęła na wysokości zadania... Jak może cokolwiek wytłumaczyć matce, skoro sama nie rozumie pewnych spraw?

Wstała i *podeszła do* biurka. Matka *nigdy* nie zrozumie, że jej niechęć do nowych związków nie ma nic wspólnego z tym, co Peter zrobił, bądź czego nie zrobił. On nie był niczemu winien. Zawsze bardzo się przyjaźnili, dorastali razem, dobrze się znali i lubili, ale nigdy się nie kochali. Rodzice wmówili im, że powinni się pobrać, zrobili to więc i przez dwa lata próbowali być małżeństwem. Na próżno.

Dla niej tragedią nie był rozwód, ale utrata przyjaciela. Skoro nie potrafiła być z kimś tak bliskim, jak Peter, ponosiła za to winę. Tak, była odpowiedzialna za to, że zawiodła zaufanie i nadzieje - swoje, męża, całej rodziny.

Dlatego właśnie tak bardzo pragnęła sprawdzić się tym razem. Nie zawieść dziadka, który zawsze w nią wierzył, sprostać wymaganiom sytuacji i nazwiska.

- Tak, słucham - powiedziała machinalnie, kiedy rozległ się dźwięk telefonu.

- Przyszedł pan Stanisławski, chce się z panią zobaczyć, nie był umówiony, ale mówi, że ma jakieś papiery.

Pośpieszył się, pomyślała i wzruszyła ramionami.

- Dobrze, niech wejdzie.

Przynajmniej się ogolił, zauważyła, gdy stanął w progu jej gabinetu. Za to dzinsy, które włożył, były jeszcze bardziej zniszczone niż poprzednie. Zmierzyli się wzrokiem jak dwaj zapaśnicy przed walką.

Wygląda dokładnie tak samo, jak ostatnim razem, myślał Michael, wpatrując się w nią z kamienną twarzą - zapięta pod szyję, w doskonale skrojonym kostiumie szarozielonej barwy. Rzucił okiem na filiżanki z chińskiej porcelany, małe kanapeczki na niewielkim półmisku. Skrzywił się.

- Przerwałem lunch?

- Nie. Przyniósł pan kosztorys?

- Tak.

- Bardzo pan szybki.

- Tak. - Pociągnął nosem, jak pies, który zwietrzył obcy zapach. - Ktoś tu jest?

- Dlaczego pan pyta? - Zmarszczyła brwi.

- Czuję zapach obcych perfum. ~ Podał jej kilka kartek papieru. - Podzieliłem to na dwie części, wyszczególniłem naprawy, które muszą być wykonane w pierwszej kolejności, i te, które można zrobić trochę później.

- Doskonale.

Czuła emanującą od niego siłę i jakieś dziwne ciepło, które sprawiało, że niepokój wywołany rozmową z matką

z wolna ustępował. Jakby z ciemnej piwnicy wyszła na światło dnia. Biorąc z jego rąk papiery, miała wrażenie, że może sparzyć sobie palce.

~ Ma pan kosztorysy od poszczególnych przedsiębiorców?

- Wszystko dołączyłem.

Zaczęła przeglądać papiery. Michael tymczasem podszedł do stolika, nieufnie sięgnął po kanapkę i przyjrzał się jej uważnie.

- Z czym to jest?

Zerknęła w jego stronę.

- Z rzeżuchą.

Z obrzydzeniem odłożył kanapkę na talerz.

- Dlaczego pani to je?

Znowu na niego spojrzała i tym razem - uśmiechnęła się.

- Dobre pytanie.

Niepotrzebny ten uśmiech, pomyślał i włożył ręce do kieszeni. Kiedy się uśmiechała, wszystko się zmieniało. Jej oczy zaczynały błyszczeć, usta łagodniały, robiła się jeszcze ładniejsza i co gorsze - bardziej przystępna. Na chwilę zapomniał nawet, że nie jest w jego typie.

- W takim razie zadam jeszcze inne.

Napięcie z twarzy Sydney zniknęło definitywnie. Była wyraźnie zadowolona z przejrzanej dokumentacji.

- Strasznie pan dzisiaj ciekawy.

- Dlaczego ubiera się pani w takie zgaszone kolory? Te wszystkie szarości, beże, zgniła zieleń... Do pani urody bardziej pasują żywe barwy, szafir, szmaragd...

Przez chwilę milczała zaskoczona. Dotąd nikt nigdy nie

krytykował jej stroju, przeciwnie - w pewnych kręgach uchodziła za osobę wyjątkowo elegancką.

- Jest pan stolarzem czy projektantem mody?

Wzruszył ramionami.

- Jestem mężczyzną. - Uniósł dzbanek i przyjrzał mu się krytycznie. - Herbata? W taki upał? Ma pani coś zimnego?

Przycisnęła guzik na biurku.

- Janinę, bądź tak dobra i przynieś coś zimnego do picia - poleciła sekretarce i uśmiechnęła się do swego gościa. Poczowała nieprzepartą chęć zerknięcia w lustro. Odchrząknęła. - Jest znaczna różnica w ilości napraw, jakie muszą być zrobione od razu, i tymi, z którymi można poczekać, panie...

- Mam na imię Michael - dokończył. - To tak jak w życiu. Tylko niektóre rzeczy są naprawdę konieczne, inne można odłożyć na potem.

- Teraz z kolei jest pan filozofem - mruknęła i wróciła do papierów. - Dobrze więc, pierwszą listą zajmiemy się natychmiast, w końcu tego tygodnia możemy podpisać kontrakt.

Popatrzył na nią przeciągle.

- Pani też jest szybka.

- Kiedy trzeba. A teraz proszę mi wyjaśnić, dlaczego zamierza pan wymienić wszystkie okna.

- Są pojedyncze, a to nie wystarcza.

- Rozumiem, ale...

- Sydney, kochanie - Margerite, dokonawszy już widocznie korekty makijażu, wyłoniła się z łazienki - co za okropne światło... - Umilkła i zatrzymała się na widok

gościa. - Przepraszam, nie wiedziałam, że ktoś u Ciebie jest. - Przyjrzała się dokładnie spranym dżinsom i przeniosła spojrzenie na twarz Michaela. - Witam pana. - Wyciągnęła ku niemu rękę, mile poruszona podziwem, jaki dostrzegła w jego oczach.

- Jest pani matką Sydney - stwierdził raczej niż zapytał.

- Tak - odparła z wahaniem. Nie bardzo lubiła, kiedy podwładni mówili o córce po imieniu. Zwłaszcza gdy był to ktoś w wytartych dżinsach i brudnych butach. - Skąd pan wie?

- Jesteście tak samo piękne.

- Ach - Margerite rozchmurzyła się natychmiast - bardzo pan miły.

- Mamo, bardzo cię przepraszam, ale mam z panem Stanisławskim pewne sprawy do omówienia.

- Oczywiście, rozumiem. - Margerite musnęła lekko policzek córki. - Już wychodzę. Nie zapomnij tylko, że w przyszłym tygodniu jemy razem lunch. Do widzenia, panie... pan się nazywa Stanisławski? - zwróciła się nagle do Michaela - Stanisławski, ten rzeźbiarz? To pan jest Michael Stanisławski?

- Tak. Czy my się znamy?

- Nie, nie. Widziałam po prostu pańskie zdjęcie w „Art Word”. I fotografie pana rzeźb. - Rzuciła się ku niemu z entuzjazmem i ujęła jego dłoń. Brudne buty i sprane dżinsy stały się nagle atrybutami prawdziwego artysty. Sydney z osłupieniem przypatrywała się tej scenie. - Pan jest genialny - mówiła matka - po prostu genialny, w zeszłym roku kupiłam dwie pańskie prace, to dla mnie prawdziwy zaszczyt poznać pana.

- Pochlebia mi pani.
- Jest pan jednym z najlepszych rzeźbiarzy naszych czasów. Naprawdę jest wspaniały - zwróciła się do córki.
- Ja teraz... - wyjąkała Sydney.
- Teraz współpracuję z pani córką, świetnie nam idzie
- wyjaśnił zamiast niej Michael.
- Cudownie! - Margerite znów uściśniła jego dłonie. - W piątek wydaję przyjęcie, musi pan koniecznie przyjść do mnie na Long Island. Tylko błagam, niech pan nie mówi, że jest zajęty - spojrzała na niego spod rzęs - byłabym niepokieszona.

Na wszelki wypadek nie spojrział na Sydney.

- Nigdy nie pozwoliłbym sobie na sprawienie przykrości tak pięknej kobiecie.
- Doskonale. Sydney pana przywiezie. Na ósmą. Teraz uciekam. - Uśmiechnęła się raz jeszcze i zamaszycie ruszyła ku drzwiom, gdzie omal nie wpadła na sekretarkę, niosącą właśnie zimne napoje.

Michael wziął szklanke, podziękował.

- Rozmawialiśmy właśnie o oknach - zaczął, siadając. Sydney powoli usiadła za biurkiem. Splotła dłonie.
- Powiedział mi pan, że jest stolarzem.
- Czasami jestem - pociągnął łyk ze szklanki - nieraz hebluję drewno, a nieraz w nim rzeźbię.

Czuła się oszukana. Świadomie postawił ją w fałszywej sytuacji i świetnie się bawił, grając przed nią komedię.

- Ostatnie dwa lata spędziłam w Europie - zaczęła z wolna - dlatego nie bardzo wiem, co się działo w amerykańskim świecie artystycznym.
- Nie musi pani przepraszać.

- Wcale nie mam zamiaru - siłą powstrzymała się, żeby nie podrzeć jego kosztorysu na drobne kawałki - po prostu pragnę wiedzieć, dlaczego gra pan komedię, panie Stanisławski.

- Zaproponowała mi pani pracę, przyjąłem ją, bo mi odpowiada. To wszystko.

- Oszukał mnie pan.

- Wcale nie. Mam odpowiednie kwalifikacje, mam papiery, od szesnastego roku życia zajmuję się obróbką drewna. Co za różnica, że od czasu do czasu sprzedam jakąś rzeźbę?

- Żadna.

Sięgnęła po kosztorys. Może rzeczywiście niepotrzebnie się uniosła? Niech tam sobie robi te swoje figurki, nie będzie się tym przejmować. W końcu ktoś tak nieokrzesany nie może być wielkim artysta. Najważniejsze, żeby dobrze pracował.

Tak czy inaczej, zakpił sobie z niej jednak. Trudno, zapłaci za to. Skoro ma pracować dla niej, będzie pracował dobrze. Jej firma płaci i wymaga.

Następne kilka godzin spędzili nad kosztorysem.

- Na dzisiaj dosyć - powiedziała wreszcie Sydney, odsuwając plik notatek. - Skontaktujemy się z panem, kontrakt będzie gotowy na piątek.

- Niech go pani ze sobą weźmie i wpadnie, powiedzmy o *siódmej*.

- Co takiego?

- Kiedy przyjedzie pani, żeby mnie wziąć na *to* przyjęcie. Zaczyna się ósmej, dobrze pamiętam? - Pochylił się ku niej i przez moment miała wrażenie, że chce ją pocałować.

Cofnęła się gwałtownie. - Musi się pani jakoś kolorowo ubrać.

Odsunęła się razem z krzesłem.

- Nie zamierzam zabierać pana na żadne przyjęcie!

- Boi się mnie pani?

Uniosła głowę jeszcze wyżej.

- Chyba pan żartuje.

- No to dlaczego? - Nie spuszczać jej z oczu, okrążył biurko i stanął obok niej. - Zaprosiła mnie pani matka, a pani utrudnia mi przybycie. Kobieta tak świetnie wychowana nie robi takich rzeczy bez powodu.

Sydney poczuła, że się czerwieni.

- Powód jest jeden. Nie lubię pana.

Dotknął pereł na jej szyi.

- Nieprawda. Ludzie z pani sfery są ludźmi przewidującymi. Im kogoś mniej lubią, tym bardziej udają, że tak nie jest. A pani zachowuje się inaczej...

- Niech mnie pan nie dotyka.

- Nareszcie się pani zaczerwieniła, to moja zasługa. - Roześmiał się i puścił sznurek pereł. Musi mieć bardzo gładką skórę, chłodną i gładką, pomyślał, a głośno dodał: - Tylko co powiesz matce, Sydney, jak jej wytłumaczysz, że nie przyprowadziłaś mnie na przyjęcie? - Z rozbawieniem przyglądał się, jak dobre wychowanie zмага się w niej z narastającą wściekłością. - Oj, oj... Strasznie trudno żyć, gdy trzeba przestrzegać wszystkich tych manier, prawda? Na szczęście ja nie mam takiego kłopotu.

- To widać - syknęła przez zęby.

- W takim razie jesteśmy umówieni, o siódmej w pią-

tek. - Dotknął palcem jej policzka i poszedł w stronę wyjścia.

- Chwileczkę - wstała i posłała mu lodowaty uśmiech - niech pan spróbuje znaleźć jakieś ubranie z minimalną ilością dziur.

Nie odpowiedział. Zamknął za sobą drzwi, a po chwili z korytarza dobiegł ją wybuch śmiechu.

Gdyby nie to przekłete dobre wychowanie... Jak dobrze byłoby roztrzaskać szklanę o drzwi...

Specjalnie włożyła czarną sukienkę. Niech sobie nie myśli, że przekopała szafę w poszukiwaniu czegoś kolorowego, bo on tak jej poradził. Suknia była czarna, prosta, obcisła i wytworna. Rozpuściła za to włosy. *Po* prostu miała już dosyć upinania i spinki.

Zanim zastukała, zawahała się chwilę. Zza drzwi Michaela dobiegały dźwięki muzyki. Ze zdziwieniem rozpoznała motyw z „Carmen”. Nagle drzwi otworzyły się i wyskoczyła z nich Keely.

- Cześć - powiedziała, wymachując pojemnikiem z lodem - wpadłam po lód, moja lodówka znowu nie działa. - Widać było, że ze wszystkich sił się stara, by nie wpatrywać się w Sydney zbyt nachalnie. - Właśnie wychodziłam - powiedziała usprawiedliwiająco. - Mike, przyszedł *twoja* pani! - krzyknęła w głąb mieszkania.

- Proszę zostać. - Sydney przełknęła jakoś określenie „twoja pani”.

- Za dużo nas - uśmiechnęła się Keely i pomknęła w dół korytarzem.

- Wołałaś mnie? - Michael wyłonił się z łazienki, prze-

pasany białym ręcznikiem. Drugim wycierał właśnie włosy. Na widok Sydney zatrzymał się, przeciągnął wzrokiem po obciągniętej czernią sylwetce. - Trochę jestem spóźniony - powiedział po prostu.

Sydney przełknęła ślinę, rozpaczliwie próbując zachować spokój. Krople wody na jego opalonym, muskularnym ciele uświadomiły jej, jak bardzo chce jej się pić. Jak zahi-pnotyzowana wpatrywała się w kroplę wody spływającą po jego piersi w stronę bieli ręcznika...

- Już jest ... - zaczęła, automatycznie spoglądając na zegarek - byliśmy umówieni na siódmą...

- Wiem. Miałem robotę - ręcznik na jego biodrach zafalował - ale zaraz będę gotowy. Weź sobie coś do picia. - Uśmiechnął się, ukazując białe zęby. Jej reakcja najwyraźniej przypadła mu do gustu. - Chyba jest ci gorąco - powiedział.

Cofnął się i z odległości zaczął podziwiać stojącą przed nim nieruchomo postać. Nie spuszczać z niej oka, włączył mały wentylator.

- Tak będzie lepiej.

Kiwnęła głową. Wentylator nic tu nie zmieni, niewiele w każdym razie, pomyślała z narastającą rozpaczą. Żeby nad sobą zapanować, wyjęła papiery.

- Przyniosłam kontrakt - powiedziała, kładąc kopertę na stole.

Ledwo rzucił na nią okiem.

- Przeczytam i podpiszę później.

- Dobrze. Teraz niech się pan ubierze - powiedziała rzeczowo. Uśmiechnął się. Opanowany, chłodny głos zupełnie nie pasował do emocji malujących się na jej twarzy.

- Spóźnimy się - dodała.

- Weź sobie coś zimnego - powtórzył i poszedł w stronę sypialni. - Czuć się jak u siebie w domu.

Kiedy została sama, głęboko odetchnęła. Tak zbudowanym facetom nie powinno się pozwalać chodzić półnago. Pod karą więzienia.

Rozejrzała się dokoła. Właściwie widziała ten pokój po raz pierwszy. Ostatnim razem była zbyt zaafierowana osobą gospodarza. Komuś takiemu jak on przychodziło bez trudu odwrócić uwagę gościa od znajdujących się w pomieszczeniu sprzętów. Zwłaszcza jeśli gościem była kobieta...

Spojrzała na długi drewniany stół zajmujący większą część pokoju. Leżały na nim kawałki drewna różnej wielkości, niektóre nosiły ślady obróbki. Nic szczególnego.

Tak właśnie myślała. Ktoś taki jak Michael Stanisławski nie może mieć za grosz talentu. Ot, dłubie sobie w drewnie, a snobistyczny świat uważa, że odkrył wielkiego artystę.

Odwróciła się i wtedy zobaczyła półki.

Rzeźby stały szeregiem, smukłe niczym kolumny. Postać długowłosej kobiety, dziecko, kochankowie połączeni pocałunkiem... Zafascynowana podeszła do półki. Niemal czuła ich zapach, ręka sama wyciągnęła się w stronę niezwykłej kolekcji. Jak ktoś tak arogancki, tak szorstki i niewychowany, mógł mieć w sobie tyle wrażliwości, subtelności i wyczucia, żeby z kawałka zwykłego drewna stworzyć coś podobnego? - myślała z niedowierzaniem.

Uśmiechnęła się i zdjęła z półki kangurzycę z maleństwem wystającym z kieszeni na brzuchu. Powierzchnia rzeźby była gładka jak szkło. Z westchnieniem odstawiła ją na miejsce i delikatnie dotknęła stojącego obok Kopciuszka. Filigranowa postać w balowym stroju z lekko uniesio-

ną bosą stopką, jakby zaskoczona kilka sekund przed wybiciem dwunastej. Sydney wydało się, że dostrzega łyzy w oczach dziewczynki..,

- Podoba ci się?

Odwróciła się gwałtownie z figurką w ręku.

- Bardzo, przepraszam...

- Nie musisz przepraszać, że ci się podoba.

Michael stał przed nią, ubrany nieco bardziej konwencjonalnie niż zwykle, z mokrymi włosami spadającymi na ramiona

- Przepraszam, że ją wzięłam do ręki - powiedziała, odstawiając rzeźbę na półkę.

Na jego ustach pojawił się uśmiech. Fascynowało go, jak bardzo potrafiła się zmienić, przejść od chłodnej uprzejmości do niemal dziecięcego zażenowania.

- Lepiej gdy można je dotknąć, niż kiedy tak stoją, podziwiane z daleka, prawda?

Coś w jego głosie pozwalało przypuszczać, że ma na myśli nie tylko drewniane rzeźby.

- To zależy.

- Od czego?

- Od powodów, dla których się dotyka.

- Mówimy tylko o rzeźbie.

Rozmowa zaczynała przybierać niepożądany ton. Sydney otrząsnęła się.

- Tak, mówimy o rzeźbie, a powinniśmy ruszać w drogę. Naprawdę się spóźnimy. Jeśli jest pan gotów...

- Mam na imię Michael, tak będzie prościej. - Wyciągnął rękę i niespodziewanie dotknął palcem jej szafirowego kolczyka. - Jesteś jak angielski ogród, piękna, pociągająca, nieco zbyt oficjalna.

Strasznie gorąco, pomyślała Sydney, starając się nie zwracać uwagi na jego słowa. Bardzo gorąco i duszno, to dlatego tak trudno oddychać. To nie ma nic wspólnego z tym mężczyzną...

- Idźmy już - powiedziała. - Po co tak stoimy?

Nie wiedział. Wiedział tylko, że pragnie z nią tu *zostać*.

- Stoimy, bo nie dałaś dotąd hasła do wyjścia, przecież to ty kierujesz ludźmi.

- Co to ma wspólnego...

- Taka sobie obserwacja. - Bawił się teraz koniuszkami jej włosów. Bardzo dobrze, że tak je rozpuściła na wieczór, myślał. - Obserwacja człowieka, który umie patrzeć. Po prostu jedni dają sobą komenderować, a inni nie. - Dotknął jej policzka. Skórę miała tak gładką, jak przypuszczał. - Kształt niezupełnie doskonały - powiedział, przyglądając się z bliska jej twarzy - ale to nawet lepiej.

- Co takiego?

- Masz trochę za duże oczy i nieco za wąskie usta, ale może być.

Gwałtownie odtrąciła jego rękę.

- Moje oczy i usta to nie twoja sprawa.

- Właśnie że moja, zamierzam zrobić rzeźbę twojej głowy. Już zacząłem.

Zmarszczyła brwi.

- Co zacząłeś?

- Rzeźbić twoją twarz, w różanym drewnie. Z takimi właśnie rozpuszczonymi włosami.

Znowu odtrąciła jego rękę.

- Nie zamierzam być twoim modelem.

Ujął ją pod rękę i poprowadził w stronę drzwi.

- To nie ma znaczenia, i tak jesteś moim modelem.
- Jeśli myślisz, że mi to pochlebia...
- A powinno? - Stali teraz po drugiej stronie drzwi.
- Przecież to nie twoja zasługa. Urodziłaś się z taką twarzą, nie zrobiłaś jej. Gdybym powiedział, że dobrze tańczysz, albo całujesz, to wtedy owszem, to byłaby pochwała. - Zamknął drzwi. - No właśnie. A jak z tym jest? - zapytał obojętnym tonem.

- Z czym? - odsunęła się krok do tyłu.

- Z całowaniem.

Nie obejrzawszy się, stanowczym krokiem ruszyła schodami w dół. Nawet nie poczuła dotyku jego rąk. Po prostu nagle znalazła się w jego ramionach, unieruchomiona i bezwolna.

Michael powoli zbliżył do niej twarz i delikatnie pocałował kąciki ust. Uśmiechnął się i odsunął.

- Sądzę - powiedział z namysłem - że musisz się jeszcze wiele nauczyć. - Przez chwilę spoglądał na nią w zamyśleniu. - To musiałyby być jakiś bardzo cierpliwy mężczyzna, a ja nie jestem cierpliwy, szkoda.

Był tak blisko, że musiał dostrzec panikę w jej oczach. Trwało to jednak zaledwie chwilę. Potem był w nich tylko chłód.

- A ja sądzę - powiedziała już swoim zwykłym tonem - że ty pewnie dobrze całujesz. Tyle że musiałyby to być bardzo tolerancyjna kobieta, żeby znieść całą resztę, a ja nie jestem tolerancyjna, na szczęście.

Stali przez chwilę, jakby się zastanawiali, czy nie zmienić zdania co do własnych przekonań. Potem uśmiech rozjaśnił oczy Michaela.

- Mężczyzna może nauczyć się cierpliwości, kobieta może stać się tolerancyjna, księżniczko.

Zrobiła ruch, jakby chciała się wyswobodzić.

- Musimy już iść.

- Tak. - Puścił ją i zrobił przejście.

Bez słowa ruszyli schodami w dół.

3

Margerite czekała w napięciu. Zdawała sobie sprawę z tego, że zaproszenie ekstrawaganckiego artysty łączy się z pewnym ryzykiem. Rozejrzała się dokoła jak generał przed decydującą bitwą: salon, tarasy, nakrycia, wazony kwiatów - wszystko było w porządku. Dostawcy dopisali, służba pełniła swoją powinność. Pani domu mogła być zadowolona.

Jedynym mankamentem było to, że Sydney się spóźniała, a wraz z nią spóźnił się honorowy gość. Właściwie wszyscy już przyszli: politycy, aktorzy, przemysłowcy. Nie było tylko pewnego ukraińskiego rzeźbiarza, który miał być ozdobą wieczoru.

Mógł też spełnić inną rolę. Margerite przypomniała sobie, jak bardzo jest przystojny, i zamyśliła się na chwilę.

Spostrzegła go niemal w tym samym momencie.

- Pan Stanisławski! Jak miło!

Ruszyła ku niemu, obrzucając córkę pełnym nagany spojrzeniem. Michael ujął jej rękę i uniósł do ust.

- Przepraszam za spóźnienie. To moja wina. Córka była punktualna.

- Nic nie szkodzi - zaszcebiotała, nie puszczając jego ręki - mądra kobieta zawsze czeka na mężczyznę.

- Czyli jestem rozgrzeszony?

- Całkowicie - musnęła jego rękę - tym razem. A teraz przedstawię pana gościom. Kochanie - zwróciła się do córki - teraz ja zajmę się panem.

Michael rzucił Sydney przelotne spojrzenie i dał się porwać.

Z Margerite rozmawiało mu się doskonale i czuł się w jej towarzystwie zupełnie swobodnie. Long Island czy Soho - niezależnie od miejsca kontakt z ludźmi nie sprawiał mu trudności. Szczerze mówiąc, wolałby jednak w tej chwili siedzieć z kumplem przy piwie niż przechadzać się z matką właścicielki firmy Hayward po ukwieconym tarasie.

Wypił kieliszek szampana i pochwalił urządzenie domu, wielkiej przestronnej willi o białych chłodnych ścianach i wysokich oknach. Równie pochlebnie wypowiedział się o zgromadzonych przez gospodynię obrazach. Kiedy zaś tak wszystko chwalił i rozmawiał, ani na chwilę nie spuszczał Sydney z oka.

Dziwne, najwyraźniej nie czuła się tu dobrze. W jej ruchach i spojrzeniu był jakiś przymus. Oczywiście, uśmiechała się i zagadywała do gości równie sprawnie jak jej matka, jej skromna czarna sukienka elegancją dorównywała najwymyślniejszym strojom innych kobiet, a drobne szafiry w uszach lśniły jak wszystkie inne diamenty i szmaragdy; a jednak coś różniło ją od zebranych na przyjęciu ludzi.

W jej oczach dostrzegał zniecierpliwienie. Tak jakby

chciała skończyć jak najszybciej nużące, bezsensowne zajęcie i zająć się naprawdę ważnymi sprawami. Uśmiechnął się. Najwyraźniej pomylił się w pierwszej ocenie - Sydney Hay ward była inna niż przypuszczał.

Jego uśmiech zbladł na widok podchodzącego do niej barczystego młodzieńca w jedwabnej marynarce. Młody człowiek pochylił się i pocałował ją w policzek.

Sydney nie była zbyt zachwycona tym spotkaniem, mimo to uśmiechnęła się uprzejmie.

- Witaj, Channing - powitała go.

- Jak się masz - podał jej kieliszek wina - jakim cudem Margerite cię tu ściągnęła?

- Dlaczego pytasz?

- Bo wiem, jak trudno wyrwać cię z biura - uśmiechnął się, ukazując śnieżnobiałe zęby.

- Po prostu bywam zajęta.

- Właśnie o to chodzi. - Obrzucił ją taksującym spojrzeniem, zupełnie jakby była nowym elektroluksem czy lodówką, którą zamierza sprowadzić do domu. - Szkoda, że nie poszłaś ze mną wczoraj. Zabawa była świetna. - Ujął ją pod ramię i poprowadził w stronę stołów. - Powiedz mi, kiedy wreszcie przestaniesz grać rolę kobiety interesu i zrobisz sobie przerwę? W przyszłym tygodniu jadę na wieś do przyjaciół, pojedziesz ze mną?

Sydney skrzywiła się.

- Nie bardzo mam czas.

Usiedli przy długim stole w przestronnej jadalni. Z żalem spojrzała na tonący w kwiatkach ogród. Miała nadzieję, że przyjęcie odbędzie się pod gołym niebem i będzie można odetchnąć świeżym morskim powietrzem.

- Czy mogę ci coś powiedzieć? - zaczął Charming. - Tylko się nie pogniewaj.

Znużona, oparła głowę na dłoni. Zewsząd dochodził gwar rozmów, brzęk szklanek i sztućców.

- Słucham cię.

- Nie można dać się zwariować. Praca nie może być całym twoim życiem. Musisz znaleźć czas dla siebie. - Channing tak właśnie przemawiał. Okrągłymi, banalnymi, nic nie znaczącymi zdaniami. - Nie mogę patrzeć, jak się zamęczasz. Przecież wszyscy wiemy, że nie masz doświadczenia, że nie znasz świata wielkiego biznesu, gdzie człowiek człowiekowi naprawdę jest wilkiem. - Położył rękę na jej dłoni. Błysnęły złote spinki od mankietów. - Zrozum, mówię to dla twojego dobra. Rozumiem początkowy entuzjazm, ale nie można przesadzać. Musisz pomyśleć o sobie, o tym, co naprawdę dla ciebie dobre.

- Na razie najlepiej robi mi praca.

- Przejdzie ci - w jego głosie zabrzmiała wyższość osoby znającej życie - w pewnym momencie sama zrozumiesz, że trzeba firmę powierzyć fachowcom, od tego są.

Wyprostowała się, zeszywniała.

- Dziadek powierzył firmę mnie.

- Na starość zrobił się sentymentalny. Nie sądzę jednak, żeby przypuszczał, że tak się tym przejmisz.

Siłą powstrzymała się, żeby mu nie wylać szklanki wody na głowę. Na szczęście zmienił temat.

- Wczoraj wszyscy się zastanawiali, dlaczego właściwie nie przysłaś - powiedział.

- Naprawdę? - Zmusiła się do uśmiechu, pochyliła z udanym zaciekawieniem. - Opowiedz, jak było.

Michael, siedzący na drugim krańcu stołu, między Margerite a panią Lowell z Bostonu, przez cały ten czas nie spuszczał ich z oczu. Nie podobał mu się sposób, w jaki Sydney rozmawiała z tym przystojniakiem. Facet co chwila dotykał jej ręki, jej ramienia, jej cudownie gładkiego ciała. A ona uśmiechała się, kiwała głową, najwyraźniej zadowolona. Tak jakby świat wokół nich nie istniał.

Królowa lodu nie jest więc znowu taka niedotykaliska, pomyślał, po prostu wszystko zależy od tego, kto ją dotyka. Zaklął po nosem.

- Michael, mówił pan coś?

Uśmiechnął się z przymusem i zwrócił ku Margerite.

- Nie, wspaniały ten bażant.

- Cieszę się, że panu smakuje. Proszę mi powiedzieć, co Sydney u pana zamówiła?

Obrzucił wrogim spojrzeniem parę siedzącą po drugiej stronie stołu.

- Och, pracujemy razem przy domach na Soho.

- Rozumiem - Margerite udała, że wie, iż firma ma jakieś domy w tamtej okolicy - to mają być rzeźby czy może coś innego?

- Raczej coś innego - zbył jej pytanie, po czym sam zapytał: - Niech mi pani powie, kim jest ten pan, który aktualnie z nią rozmawia, nie znam go.

- To Channing Warfield. Znamy jego rodzinę od lat.

- Ach, tak.

Margerite nachyliła się ku niemu i konspiracyjnym szeptem mówiła dalej.

- Zdradzę panu pewną tajemnicę, ja i matka Channinga, Wilhelmina, mamy nadzieję, że w lecie będzie można ogłosić ich zaręczyny. Tak cudownie do siebie pasują, a od rozwodu Sydney minęło już tyle lat...

- Była zamężna?

- Tak, ale oboje byli chyba za młodzi. - Margerite taktownie nie wspomniała, z jaką konsekwencją obie rodziny dążyły do tego, by Sydney i Peter jak najszybciej stanęli na ślubnym kobiercu. - Teraz wszystko wygląda inaczej. Sydney i Channing są dojrzałi i w pełni odpowiedzialni. Mam więc nadzieję, że nie będziemy długo czekać.

Mike wypił spory łyk wina. Czuł dziwną suchość w gardle.

- A gdzie on pracuje?

- Pracuje? - powtórzyła Margerite, wyraźnie rozbawiona. - Jego rodzice są właścicielami banku, on zresztą chyba też coś tam robi. Jedno wiem na pewno, świetnie gra w polo.

- Gra w polo ~ powtórzył Michael takim tonem, że siedząca obok Helena Lowell zakrztusiła się kawałkiem bązanta.

Michael poklepał ją życzliwie w plecy, by łatwiej było jej odkrztusić, i podał szklanekę wody.

- Pan jest Rosjaninem, prawda? - zapytała, gdy udało jej się opanować kaszel i wypić kilka łyków.

- Urodziłem się na Ukrainie, w Związku Radzieckim.

- Tak, tak, wiem, czytałam, że pańska rodzina uciekła stamtąd, kiedy był pan dzieckiem.

- Tak, pamiętam, że szliśmy przez góry. Do dziś nie wiem, jak w ogóle było to możliwe. Dostaliśmy się na

Węgry, a potem jakimś cudem do Austrii. W końcu los rzucił nas do Nowego Jorku.

- Przez góry... Cudowne. To musiało być nadzwyczajne przeżycie!

Michael przypomniał sobie mróz, głód i strach. Nie dostrzegał w tym nic romantycznego. Helena tymczasem porzuciła ów „romantyczny” temat i zaczęła rozprawiać o sztuce. Po godzinie miał już dosyć jej pretensjonalnego szczebiotu i zaczął tęsknie spoglądać w stronę ogrodu. Z kłopotu wybawiła go Margerite. Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą na taras, gdzie przechadzali się inni goście z kieliszkami w dłoniach.

Czuł, że podoba się Margerite, i sprawiało mu to przyjemność. Była bardzo ładna i na swój sposób naiwna. Zupełnie inna niż córka. Właściwie łączyła je tylko uroda.

Pozwolił zaprowadzić się na najwyższe piętro, żeby z niego obejrzeć oszklony taras. Było tu nieco chłodniej, czuło się lekkie podmuchy wiatru. Gwar głosów pozostał w dole. Michael ogarnął spojrzeniem okolicę. Było stąd widać morze, łagodną linię brzegu i dachy okolicznych, skrytych w zieleni willi.

Można stąd było również dostrzec Sydney, pogrążoną w rozmowie z Channingiem.

- Ten dom zbudował mój trzeci mąż - powiedziała Margerite - był architektem. Kiedy się rozwodziliśmy, mogłam wybierać, ten dom albo willa w Nicei. Wybrałam dom. Mam wielu przyjaciół, lubię ich tu przyjmować...
- Oparła się lekko o balustradę, zwracając ku niemu rozmarzoną twarz. - Kocham to miejsce, w czasie przyjęć goście mogą chodzić po wszystkich piętrach, czują się

swobodnie, nastrój jest dobry, każdy może robić to, na co ma ochotę. Może odwiedzi mnie pan jeszcze kiedyś...

- Z przyjemnością - odpowiedział automatycznie, całkowicie pochłonięty rozgrywającą się w dole sceną. Sydney położyła rękę na ramieniu tamtego faceta, w świetle księżycy wyglądała jak posążek z kości słoniowej.

Kątem oka spostrzegł, że Margerite przysunęła się bliżej niego. Zdumiało go to i nieco rozbawiło.

- Ma pani piękny dom. Bardzo do pani pasuje - powiedział, żeby zrobić jej przyjemność, i odwrócił się w jej stronę.

- A ja bardzo bym chciała zobaczyć pańską pracownię.
- W jej oczach wyczytał powód, dla którego chciałyby go odwiedzić. - Mam wielką ochotę zobaczyć miejsce, w którym pan tworzy.

- Obawiam się, że bardzo by panią rozczarowało. Jest tam duszno, ciasno i nieciekawie.

- Niemożliwe. Nigdy nie uwierzę, że u pana w domu może być nieciekawie. - Spojrzała na niego wymownie i pogłaskała jego rękę koniuszkami palców. Zachowywała się jak nastolatka, a przecież mogłaby być jego matką.

- Margerite - ujął jej dłonie - jest pani naprawdę uroczą i... i bardzo piękna, ja natomiast - lekko pocałował jej palce - jestem zwykłym i w sumie dość nieciekawym facetem.

Dotknęła jego policzka.

- Pan siebie nie docenia, Michaelu.

To nie tak, pomyślał, to raczej on nie doceniał jej.

Tymczasem w dole, na tarasie, Sydney bezskutecznie próbowała zniechęcić Channinga, Tego wieczora wydawał

się jej nudniejszy i bardziej uparty niż zwykle. Tak doskonale wychowany, tak uważny i wyrozumiały, że niemal zbierało jej się na mdłości.

Gdzieś w głębi duszy znowu poczuła się winna. Tylko ktoś taki jak ona może nie dostrzegać jego zalet. Każda inna kobieta oszalałaby na jego widok, albo przynajmniej postarałaby się, żeby on to zrobił. Sytuacja sprzyjała romantycznym scenom - księżyc, ogród, lekki powiew od morza, mrok. Channing opowiadał coś o Paryżu i delikatnie gładził ją po plecach. A jednak nie była w stanie zmusić się do choćby odrobiny życzliwości wobec niego.

Nagle zapragnęła znaleźć się w domu. Usiąść za biurkiem i w spokoju przejrzeć ostatnie sprawozdania.

Odetchnęła głęboko i odwróciła głowę. Tak, trzeba powiedzieć mu uczciwie, że mogą być jedynie przyjaciółmi. Uniosła oczy i wtedy jej wzrok padł na górny taras.

Ujrzała Michaela czule całującego dłoń jej matki.

Co ten bydlak, łobuz... - nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa - co on sobie wyobraża! Żigolak, pomyślała z pogardą. Ośmiela się zalecać do matki, do jej własnej matki! A przecież jeszcze dwie godziny temu...

Nie, nic się nie stało dwie godziny temu. Próbowwała przestać myśleć o tym, co się wydarzyło na klatce schodowej domu w Soho. Michael jest po prostu zdeprawowany i cyniczny, to wszystko.

Poczuła, że mogłaby go zamordować.

On natomiast w tej właśnie chwili puścił dłoń Margerite i spojrział w dół. Napotkał wzrok Sydney. Przesłała mu nienawistne spojrzenie. Oto wojna została wypowiedziana.

Nie zastanawiając się zbyt nad tym, co robi, Sydney gwałtownie objęła Channinga.

- Pocałuj mnie, zaraz!
- Dlaczego, Sydney, teraz...
- Powiedziałam, pocałuj mnie! - Pociągnęła go ku sobie.
- Dobrze, kochanie.

Zadowolony z nagłej zmiany jej nastroju, objął ją i zaczął całować. Robił to dobrze, z wyraźną wprawą. Channing wszystko robił dobrze, ale nijako. Objęła jego głowę, próbując odnaleźć smak prawdziwego pocałunku. Poczowała zapach miętowej pasty do zębów. Całe jej ciało buntowało się jednak przeciwko temu, co robiła. Nie znalazłszy nic, choćby odrobiny ciepła czy namiętności, w tym pocałunku, odsunęła się zrezygnowana i rozczarowana.

- Co ci jest, kochanie, chyba to nie moja wina.,.

Oczywiście, że nie jego, pomyślała. W ogóle nic mu nie można było zarzucić. Zrobił przecież, o co prosiła.

- Kochanie, o co chodzi? - powtórzył Charming, wyczuwając, że coś jest nie w porządku. - Czułem się, jakbym całował własną siostrę...

- Jestem po prostu zmęczona - powiedziała, patrząc w przestrzeń - Chyba już sobie pójdę.

W dwadzieścia minut później Sydney i Michael siedzieli w samochodzie, który mijał właśnie ostatnie zabudowania Manhattanu. Sydney tkwiła nieruchomo na tylnym siedzeniu, odsunięta od Michaela najdalej jak było można. Milczeli. Od momentu opuszczenia domu Margerite nie zamienili ani jednego słowa. Atmosfera robiła się coraz cięższa.

Michael dławił się z wściekłości wobec niej.

Sydney przepełniała bezgraniczna dla niego pogarda.

Zrobiła to specjalnie, pomyślał, dała się całować temu kretynowi tylko po to, żeby jemu, Michaelowi, zrobić przykrość. Ale właściwie dlaczego? I jaką przykrość? Przecież ta porcelanowa księżniczka nic dla niego nie znaczy, jest mu obojętna.

Nieprawda, coś dla niego znaczyła, nie wiedział tylko co.

Wciąż milcząc, zapatrzył się w ciemność za oknem.

Jest obrzydliwy, myślała Sydney, to facet bez serca, bez zasad, bez godności. Siedzi teraz obok z niewinną miną, jakby nic się nie stało.

Próbowała skupić się na płynącym z głośników preludium Szopena. W szybie widziała odbicie swojej pobladłej twarzy. Jak on mógł! Flirtować z kobietą o dwadzieścia lat starszą! Uwodzić ją na oczach wszystkich w jej własnym domu!

I ona ma z nim współpracować? Z całego serca żałowała teraz swojej decyzji. Trudno, kontrakt został podpisany, nie można już się wycofać, jeśli jednak *mu się* wydaje, że jednocześnie będzie zabawiał się z jej matką, to się grubo myli.

- Trzymaj się z daleka od matki - wycodziła przez zęby.

Michael poruszył się. Spojrzał na nią zaskoczony. Założył nogę na nogę.

- Słucham?

- Doskonale słyszałeś. Powtarzam, jeśli myślisz, że będę się spokojnie przyglądać, jak uwodzisz moją matkę, to

się mylisz. Wiem, że jest piękna i pociągająca. Ale ostatni rozwód wiele ją kosztował i nie pozwolę, żeby znowu cierpiała.

- Nie dam ci spokoju, póki mnie nie wysłuchasz. Masz trzymać swoje brudne łapy z dala od mojej matki, rozumiesz? A jeśli nie, to każę zburzyć ten twój dom i zbuduję na jego miejscu parking.

Lekko otworzył oczy.

- Wspaniale, cudownie, mała kobietka wpadła w furję - powiedział drwiącym tonem. - Lepiej zajmij się tym elegancikiem, a matce pozwól robić, co chce.

- Jakim znowu elegancikiem? - Zirytowana, przysunęła się do niego z wojowniczą miną. Siedziała teraz niebezpiecznie blisko.

- Tym bankierem, który się obok ciebie pęta.

Sydney zarumieniła się gwałtownie.

- Nikt się obok mnie nie pęta. Zresztą to moje sprawy.

- W porządku. Ty masz swoje sprawy, ja swoje. A teraz zobaczymy, czy mamy jakieś wspólne. - Zanim się zorientowała, złapał ją i przyciągnął do siebie. - Jak wiesz, ja nie jestem tak dobrze wychowany jak on.

- Wiem - próbowała się wyrwać - co chcesz zrobić?

Nietrudno zgadnąć, pomyślał. Trzymał ją w ramionach, czuł szczupłe młode ciało, cudownie gładką skórę, drobne piersi...

- Postanowiłem cię wreszcie nauczyć, jak się całuje. O ile dobrze widziałem, nie bardzo ci poszło z tym sportowcem.

Zalała ją fala gniewu. Nie da mu satysfakcji, nie będzie krzyczeć ani się wyrwać. Spojrzała na niego; tak, tak

właśnie musiał wyglądać szatan, przechadzający się po rajskim ogrodzie.

- Ty draniu - wycodziła przez zęby - czego ty możesz mnie nauczyć?

- Zaraz się przekonamy. Jak to robił ten tam Channing? Położył tu rękę, o tak... - Dotknął gładkiej, nagiej skóry na jej ramieniu, poczuł, że Sydney zadrżała. - I co, boisz się, księżniczko?

- Nie rozśmieszaj mnie - zasyczała.

Owszem, bała się, bała się coraz bardziej. Michael gładził swoją gorącą dłonią jej plecy, a ona czuła, jak narasta w niej lęk. Lęk i poczucie bezradności wobec tego, co czuła coraz intensywniej.

-- Bardzo dobrze... - szepnął. - Kiedy kobieta drży, mężczyzna czuje, że wszystko jest w porządku. Przy Channingu nie drżałaś. - Nie odpowiedziała. Sytuacja była zbyt absurdalna. - Ze mną jest inaczej. Zaraz ci pokażę...

Poczuła jego palce na karku, siłą zwrócił jej twarz ku sobie, ustami dotknął jej ust. Zamknęła oczy, zapamiętując wyraz jego twarzy, dziwny, niesamowity. Odrzuciła głowę do tyłu. Jego usta dotknęły jej szyi.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Resztką świadomości próbowała ustalić, co właściwie powinna zrobić. Najlepiej po prostu go zabić. Udusić za to, że się ośmiela... zabić, zamordować. Ale to, co robił, było wspaniałe, cudowne. Nigdy nie przeżyła czegoś podobnego.

On też nigdy dotąd nie doświadczył tak dziwnego uczucia. Tak jakby z samochodu przeniósł się nagle na łąkę pokrytą świeżą trawą. Chłodne, delikatne ciało Sydney miało w sobie podniecającą świeżość. Przesunął usta w stronę jej ucha.

Sydney wyprężyła się. Nie chciała już, żeby przestał. Takie pocałunki mogą trwać wiecznie. Niech trwają. Czuła pod palcami jego włosy. Mówił coś, ale nie rozumiała słów, brzmiały dziwnie i niepokojąco. To prawda, jego usta nie przypominały ust Channinga. Były władcze i wymagające. I tak było dobrze, właśnie tego zawsze pragnęła. Ręce tego mężczyzny nie wahały się, ruchy miał pewne i zaborcze. Przeszło jej przez myśl, że gdyby chciał, mógłby ją wziąć tu, zaraz, w tej chwili. Zrobiłby z nią wszystko, a ona nie byłaby w stanie zaprotestować. Usłyszała, że wymawia jego imię. A może było to tylko westchnienie? Po chwili jednak znowu usłyszała swój głos. Wyprężyła się, niemal wbijając paznokcie w jego plecy.

- Proszę cię, Michael...

Odsunął się lekko i spojrzał na nią. Była przerażająco blada. Doszedł go dźwięk ulicznego gwaru. Uświadomił sobie, że na te kilka chwil zupełnie stracił głowę. Rozkoszował się niezwykłą delikatnością jej skóry, gładką jak jedwab, jak alabaster, jak płatek róży...

Teraz oprzytomniał. Spojrzał w ciemne okno. Jechali przez miasto, od szofera oddzielała ich jedynie cienka szyba. Tylko Sydney mogła go doprowadzić do takiego stanu. Zachował się jak nastolatek, ściskający dziewczynę w samochodzie.

- Przepraszam - powiedział schrypniętym głosem.

Pomógł jej doprowadzić suknię do ładu, odsunął się w najdalszy kąt samochodu i zapatrzył w cienie za oknem. Od jego mieszkania dzieliło ich zaledwie kilka domów. Tam mogliby...

Nie, nie, nie. Musi przestać o tym myśleć.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedział nieswoim głosem.

Sydney nie odpowiedziała. Co złego zrobiła tym razem? Pragnęła go i niemal mu to powiedziała. Nigdy nikogo dotąd nie pragnęła tak bardzo. Przez kilka sekund przebywała zupełnie gdzie indziej. Poza czasem i przestrzenią. Oddałaby wszystko, żeby to powtórzyć. Zamknęła oczy. Teraz znowu była chłodna i obca.

Dlaczego ona nic nie mówi? - zastanawiał się Michael. Nerwowo przeczesał włosy. Zachował się rzeczywiście podle. Sydney była jednak tak piękna, tak cudownie pachniała... Właściwie mógł się czuć rozgrzeszony. Każdy na jego miejscu zachowałby się podobnie.

Ta myśl pokrzepiła go. Nie jest potworem. W tym samochodzie są dwie osoby jednakowo winne.

- Posłuchaj - zwrócił się ku niej.

- Nie zbliżaj się! - Odsunęła się gwałtownie.

- W porządku. - Samochód przystanął pod domem. Poczucie winy gdzieś się ulotniło. - Odtąd będę trzymał swoje brudne łapy z dala od ciebie. Zadzwoń po kogo innego, gdy zechcesz zabawić się na tylnym siedzeniu samochodu, zgoda?

- Pamiętaj tylko, co powiedziałam o matce.

Otworzył drzwiczki samochodu.

- Pamiętam doskonale. I dziękuję za podwiezienie.

Kiedy odszedł, zamknęła oczy. Nie chciała płakać, ale łza spłynęła jej po policzku. Nie chciała płakać, ale przede wszystkim nie chciała zapomnieć.

4

Miała za sobą długi tydzień; długi, męczący tydzień, przeżyty w tym samym rytmie: sześć godzin w biurze, oficjalny obiad, praca w domu nad przyniesionymi z firmy materiałami. Dzień się wcale nie skończył i było jeszcze niejedno do zrobienia, ale już teraz ogarnęło ją uczucie satysfakcji z powodu pracowicie wypełnionego czasu, owo dobre zmęczenie piątkowego popołudnia, poprzedzającego sobotni odpoczynek.

Dawniej żyła inaczej. Nie według ściśle określonego planu dnia, lecz według widzimisię dorywczych zajęć: przyjęć, zakupów, bezsensownych spotkań i wizyt. Piątek był dla niej po prostu dniem, kiedy przyjęcia trwały znacznie dłużej.

Teraz wszystko się zmieniło. Zaczynała rozumieć, dlaczego dziadek do późnego wieku zachował aktywność i radość życia. Miał cel i potrafił go realizować.

Tak jak teraz ona.

Oczywiście, stale jeszcze musiała radzić się specjalistów odnośnie bardziej skomplikowanych spraw, ale gra związana z prowadzeniem przedsiębiorstwa zaczynała ją

wciągać. Pasjonowała jak partia szachów. Sydney nie wyobrażała już sobie, by mogła wrócić do dawnego życia.

- Przyszedł pan Bingham, proszę pani.

- Niech wejdzie, Janinę, a potem przygotuj mi tamten kontrakt z „Marlowe and Marlowe”.

- Tak, oczywiście.

Kiedy Lloyd stanął w progu, ujrzał Sydney pochyloną nad dokumentami. Uniosła rękę, prosząc, żeby chwilę poczekał.

- Wybacz, ale jeśli teraz przerwę, będę musiała wszystko zacząć od początku. - Zaznaczyła coś na marginesie, złożyła papiery i podniosła na niego wzrok. - Słucham, co cię do mnie sprowadza?

- Chodzi o prace w Soho, remont tego domu kompletnie wymknął nam się z rąk.

Jej usta zadrżały. Domy na Soho skojarzyły jej się z Michałem. Przypomniała sobie powrót z domu matki i to, co zaszło w samochodzie. Wspomnienie nie było przyjemne; raz jeszcze jako kobieta odniosła porażkę.

- W jakim sensie?

- W każdym - widać było, że jest zdenerwowany - Ćwierć miliona! Władowałaś ćwierć miliona w remont tego domu!

Splotła dłonie na lśniącym blacie biurka.

- Wiem o tym. Kosztorys pana Stanisławskiego był bardzo szczegółowy.

- A czy był sensowny? Konsultowałaś może jego propozycje z kimś, kto się na tym zna?

- Nie. Zacisnęła dłonie. - Zdałam się na siebie.

- Na siebie? Jesteś tu od kilku tygodni i zdajesz się na siebie w tak poważnej sprawie?



- Tak, ponieważ koszty prac hydraulicznych i stolarskich, przedstawione w kosztorysie, są rozsądne i porównywalne z innymi tego rodzaju pracami.

- Przeprowadzaliśmy tam remont w zeszłym roku.

- To nie był remont, tylko powierzchowne naprawy.

- Ćwierć miliona na remont starego domu... - Lloyd był zbyt dobrze wychowany, żeby się złapać za głowę. Położył dłonie na jej biurku. Michael też tak robił, ale jego ręce pozostawiały brudne ślady. - Czy wiesz, ile wynosi roczny dochód z czynszów tego domu?

- Wiem - powiedziała to takim tonem, że przez chwilę milczał zaskoczony - wiem też, że ludzie, którzy płacą komorne, mają prawo mieszkać w odpowiednich warunkach.

- Tak, tak, oczywiście - w głosie Lloyd'a zabrzmiało lekceważenie - zasady moralne przede wszystkim, pamiętaj jednak, że etyka nie pasuje do interesów.

- Ja sędzę inaczej.

Cofnął się gwałtownie. Złym wzrokiem objął biurko, które, jak sądził, powinno należeć do niego.

- Jesteś strasznie naiwna.

- Możliwe, ale tak długo, jak ja jestem prezesem tej firmy, obowiązywać w niej będą moje zasady.

- Wydaje ci się, że kierujesz firmą, bo podpisałaś kilka kontraktów i wykonałaś kilka telefonów. Wpakowałaś ogromną sumę w jakiś remont, o którym nikt nic nie wie, dałaś się naciągnąć jakiemuś facetowi. Skąd wiesz, że nie kupuje najtańszego materiału, a pieniędzy nie wkłada sobie do kieszeni?

- Przecież to nie miałyby sensu.

- Jesteś naiwna. Wynajęłaś jakiegoś rosyjskiego artystę, żeby czuwał nad największą inwestycją remontową naszej firmy.

- Zamierzam sama nad wszystkim czuwać. Sprawdzę wszystko. Pan Stanisławski co tydzień dostarcza mi sprawozdanie.

Lloyd tylko parsknął śmiechem.

Złość powoli w niej gasła. Może Lloyd rzeczywiście ma rację? Zaufała Michaelowi, bo tak podpowiedział jej instynkt, zdała się na wyczucie, pozwoliła kierować intuicji.

Może jednak rzeczywiście mimowolnie naraziła na szwank interes firmy?

- Masz rację - powiedziała opanowanym głosem - zaraz się tym zajmę, sprawdzę wszystko osobiście. Masz coś jeszcze?

- Popełniłaś błąd. Rada nadzorcza ci tego nie daruje.

Powoli oparła ręce o poręczę fotela.

- A ty zrobisz wszystko, żeby im wmówić, że to ty powinieneś zasiąść na moim miejscu, prawda?

- Oni są ludźmi interesu, Sydney, i sentymenty starego człowieka nie robią na nich wrażenia. Owszem, chcieliby, żeby firmą kierował jakiś Hay ward, ale zrezygnują z tego, kiedy się zorientują, że to przynosi straty.

- Masz absolutną rację - mówiła teraz zgaszonym, zmęczonym głosem - w przypadku gdyby jednak rada nadzorcza nie zmieniła zdania, oczekuję od ciebie tylko jednego: albo całkowita lojalność, albo natychmiastowa rezygnacja. Nic innego nie wchodzi w rachubę. A teraz przepraszam cię, jestem bardzo zajęta.

Kiedy drzwi się zamknęły, sięgnęła po telefon. Ręce

drżały jej tak bardzo, że cofnęła się w pół drogi. Wzięła kartkę papieru i podarła ją starannie, potem drugą i trzecią. Zdenerwowanie powoli mijało.

Trzeba wszystko dokładnie przemyśleć. Lloyd Bingham jest jej wrogiem i to wrogiem sprytnym i wpływowym. Z drugiej jednak strony ma doświadczenie, potrafi poruszać się w świecie interesów. Nie można wykluczyć, że w sprawie Soho rzeczywiście postąpiła zbyt pochopnie. Oczywiście ma do Michaela absolutne zaufanie, ale może on czegoś nie dopilnować i Lloyd natychmiast to wykorzysta. Remont na Soho musi przebiegać w idealnym porządku.

Nie może całego swojego dziedzictwa postawić na jedną kartę. Czy naprawdę jest absolutnie pewna, że niczego nie zaniedbała?

Na to pytanie nie mogła odpowiedzieć jednoznacznie i to było najgorsze.

Postanowiła pojechać tam osobiście i na miejscu sprawdzić, jak się sprawy mają.

Niebo nabrało koloru piasku. Trwające od kilku dni upały wprawiły miasto w stan wilgotnej duchoty. Na ulicach roili się mężczyźni w mokrych koszulach, piesi z kubkami lodów i mrożonych napojów, dziewczęta w szortach.

Gorąca fala uderzyła ją tuż po wyjściu z samochodu. Wilgotne powietrze oblepiało ciało, wciskało się do ust. Zwolniła szofera i skierowała się w stronę budynku.

Widziany z zewnątrz prezentował się imponująco.

Zniknęły gdzieś liszaje odpadających tynków, przestały straszyć czarne framugi starych okien, wygięte rynny wy-

prostowały się; zewsząd dobiegał dźwięk maszyn i młotków, przerywany głośną rockową muzyką.

Przed domem stała półciężarówka hydraulika. Stojący przy niej ludzie mieli głowy uniesione do góry, oczy wpatrzone w jeden punkt. Poszła w ich ślady i wtedy zobaczyła Michaela,

Na sekundę *serce* zamarło jej w piersi. Stał na najwyższym piętrze, po zewnętrznej stronie okna, balansując na wąskim parapecie.

- Że też się nie boi - usłyszała obok siebie głos jakiejś kobiety.

Natychmiast rzuciła *się* w stronę wejścia. Drzwi windy były otwarte, w środku dwóch robotników majstrowało przy instalacji. Nie pytając o nic, biegiem ruszyła w górę po schodach. Jacyś robotnicy naprawiali coś na klatce schodowej między trzecim i czwartym piętrem. Widząc Sydney, pośpiesznie zabrali się do usuwania narzędzi zawałających *drogę*, ale przeskoczyła przeszkodę i biegła dalej. Po drodze słyszała, że ktoś ogląda telewizję, gdzieś śmiało się dziecko, w powietrzu unosił się zapach smażonych frytek.

Nie przystając ani na chwilę dla nabrania oddechu, wpadła na piąte piętro. Usłyszała dźwięki muzyki i lekko fałszujący męski głos.

Drzwi wiodące do mieszkania Michaela stały otworem. Weszła i zobaczyła odwróconego tyłem mężczyznę, pogrążonego w pracy. Przedramiona miał potężne jak gałęzie rosnącego drzewa.

- Przepraszam, że nie pukam...

- Bardzo lubię, kiedy kobiety tak do mnie wchodzi.

Zauważyła słowiański akcent. Może wszyscy mieszkań-

cy domu są Rosjanami, a może Michael zaangażował do prac remontowych swoich rodaków, pomyślała.

- Czy mogę pani w czymś pomóc?

- Nie... to znaczy tak... - z trudem łąpała oddech. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, jak bardzo się zmęczyła-Michael...

- Jest tam, na zewnątrz - mężczyzna odparł spokojnie i spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Tam? Ale przecież... - nie dokończyła, za szybko zamajaczył opalony tors.

- Skończyliśmy na dziś. Może pani usiądzie - mężczyzna wciąż uśmiechał się do niej przyjaźnie.

- Niech go pan zawoła, błagam, niech mu pan każe wejść do środka.

Zanim zdążył odpowiedzieć, okno uchyliło się i ukazała się długa muskularna noga. Michael powiedział coś w ojczystym języku i roześmiał się. Na widok Sydney natychmiast spoważniał.

- O, pani Hayward - stwierdził, przekładając trzymane narzędzie do drugiej ręki.

- Co robiłeś tam na zewnątrz?

- Wymieniałem szyby - odłożył narzędzie na bok - a o co chodzi?

- Nic, ja tylko - z trudem łąpała oddech - przyszedłem, żeby zobaczyć, jak postępują prace.

- Zaraz ci wszystko pokażę. Poczekaj chwilę.

Poszedł do kuchni, włożył głowę pod kran i odkręcił kurek z zimną wodą.

- Gorąca głowa, zawsze taki był - odezwał się z podziwem stojący za nią mężczyzna. Michael powiedział coś

szybko do niego w tamtym nieznanym języku i założył przepaskę na mokre włosy. - Tak - odparł krótko mężczyzna i zwracając się do Sydney, dodał: - Niezbyt dobrze wychowany ten mój syn.

- Ach, to pan Stanisławski? - Sydney spojrzała na jego piękne, silne dłonie, przypominające ręce Michaela.

- We własnej osobie, na imię mam Jurij, syn właśnie mi powiedział, że to pani jest właścicielką tego domu.

- Tak, to ja.

- To bardzo ładny budynek, tylko trochę chory, a my jesteśmy lekarzami.

Mrugnął okiem do syna i dorzucił coś po ukraińsku.

- W porządku, tato, możesz iść do domu na obiad - odpowiedział Michael.

- Chodź i ty, i zabierz ze sobą tę panią, mama na pewno przygotowała tyle, że starczy dla wszystkich.

- Bardzo dziękuję, ale... - zaczęła.

- Dziś nie mam czasu - przerwał jej Michael.

Ojciec uśmiechnął się pod wąsem.

- Dziś jesteś wyjątkowo głupi - powiedział po ukraińsku - przecież to przez nią tak się zamartwiałeś cały tydzień.

Michael przetarł twarz rękawikiem.

- Wcale się nie zamartwiałem. Żadna kobieta nigdy...

- Ale ta *owszem* - dokończył za niego ojciec - przepraszam - dodał już po angielsku - teraz ja jestem niegrzeczny, nie powinienem mówić w języku, którego pani nie zna, to wszystko jego wina. - Pocałował ją w rękę. - Do widzenia, cieszę się, że panią poznałem.

- Ja również. .

- Ubierz się - rzucił synowi już w drzwiach.

Michael sięgnął po podkoszulek.

- Bardzo jest miły - zauważyła Sydney uprzejmie, gdy zostali sami.

- Owszem. Chcesz zobaczyć, co robimy?

- Myślałam...

- Okna i okiennice już skończyliśmy - przerwał jej - teraz pracujemy przy instalacji. Wymianę rur zaczniemy w przyszłym tygodniu.

Wyszli na klatkę schodową. Wyprzedził ją nieco i nie stukając, otworzył drzwi sąsiedniego mieszkania.

- Tu mieszka Keely, nie ma jej teraz. Możemy się rozejrzeć.

Pokój Keely upstrzony był kolorowymi malowidłami. Szale i kolorowe fatałaszkę pokrywały stare zniszczone meble. Rozpruta ściana w kuchni ukazywała kłębowisko rur.

- Trudno musi być mieszkać w czasie remontu.

- Lepsze to niż pożar, albo zalanie mieszkania. Stare rury były tak skorodowane, że katastrofa mogła się zdarzyć w każdej chwili. Te będą znacznie solidniejsze.

Zajrzała mu przez ramię.

- Tak, widzę.

Uśmiechnął się. Pachniała ślicznie.

- Chodźmy, pokażę ci resztę.

Prowadził ją z piętra na piętro, od mieszkania do mieszkania, pokazując kłębowiska rur i stosy bliżej nieokreślonych przedmiotów z różnych materiałów.

- Nieraz wystarczy zwykła naprawa, ale na ogół trzeba wszystko wymieniać na nowe.

Sydney próbowała nie zadawać pytań w obawie przed

kompromitacją. Odzywała się tylko wtedy, kiedy miała pewność, że nie powie nic głupiego.

Robiło się późno. Robotnicy z wolna rozchodzili się do domów, milkły odgłosy pił i młotów. Gdy hałasy ucichły, z wnętrza mieszkań zaczęły dobiegać dźwięki rozmów i muzyki.

- Błękitna rapsodia - powiedziała Sydney, przystając pod jednymi drzwiami.

- To Will Metcalf, muzyk. Gra w zespole.

- Bardzo dobrze gra.

Drewniana poręcz schodów pod jej ręką była sucha i ciepła. To Michael ją zrobił, pomyślała. Naprawiał, łątał, reperował, ponieważ dbał o mieszkających w tym domu ludzi. Znał ich i lubił. Wiedział, kto jest muzykiem, czyje dziecko właśnie płacze, kto piecze na obiad kurczaka.

- Zadowolony jesteś? - zapytała po prostu.

Było w jej głosie coś szczególnego, coś, co sprawiło, że przyjrzał jej się uważnie. Kosmyki włosów opadły jej na czoło, na nosie miała drobne krople potu.

- Tak, ale *to ty* powinnaś odpowiedzieć na *to* pytanie. Dom jest twój.

- Nie - powiedziała bardzo smutnym głosem. - Wcale nie jest mój, należy do ciebie. Ja tylko podpisuję czeki.

- Sydney...

- No nic - nie dała mu zacząć zdania - zobaczyłam wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że wszystko jest w absolutnym porządku. - Szybkim krokiem przebyła kilka schodów dzielących ją od wyjścia. - Zadzwoń, jak będziesz miał następne sprawozdanie.

- Poczekaj - krzyknął, chwytając ją za ramię - co się

z tobą dzieje? Najpierw wpadasz, jakby cię ktoś gonił, a potem chcesz uciec, smutna, jakby ci ktoś umarł.

Nie, nikt nie umarł. Po prostu nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest samotna. Do tej pory właściwie nie zdawała sobie z tego sprawy. Dopiero teraz zrozumiała, że choć nie narzekała dotąd na brak towarzystwa, to tak naprawdę nie miała i nie ma wokół siebie nikogo.

Nie ma o kogo się troszczyć, nie ma przyjaciół. Ludzie, którzy ją otaczają, mają swoje problemy i niewiele ich obchodzi, co ona myśli lub czuje. Właściwie nikomu nie jest potrzebna. Dawniej miała Petera, przyjaźnili się, ale małżeństwo wszystko popsuło, teraz zaś nie ma nikogo. Właśnie tu, w tym domu, uświadomiła sobie, jak ludzie mogą żyć razem. Nie obok siebie, tylko - razem. W swoim domu. Bo tak jak powiedziała, ten dom nie jest jej własnością, należy do niej tylko na papierze.

- Wcale nie uciekam i nie jestem smutna - powiedziała
- tylko bardzo się przejęłam tym remontem. To moja pierwsza duża inwestycja i chcę to zrobić dobrze. Dla mnie...
- przerwała, bo wydało jej się, że słyszy płacz i wołanie
- słyszysz coś?

Michael nic nie słyszał. Od dłuższej chwili myślał tylko o *tym, co zrobić*, żeby jej nie pocałować.

- Tutaj - wskazała drzwi obok - tak, słyszę wyraźnie...

Teraz i on usłyszał. Cichy, zawodzący jęk. Gwałtownie zastukał do drzwi i zawołał, zaniepokojony:

- Pani Wolburg, pani Wolburg! Jest tam pani?

Ze środka dobiegł ich słaby głos.

- Mike, pomóż mi...

- O, Boże... -jęknęła z przestraszeniem Sydney, zanim

jednak zdążyła powiedzieć coś więcej, Michael wziął rozpęd i runął na drzwi. Po chwili oboje znaleźli się w skromnie urządzonej mieszkanie.

- Jestem w kuchni, Mike, dzięki Bogu... - Na podartym linoleum w kuchni leżała starsza, drobna kobieta.

- Nic nie widzę - poskarżyła się - zgubiłam okulary.

- Już dobrze. - Klęknął obok niej i zbadał *jej* puls, spojrzął w oczy. - Dzwonił po pogotowie - rozkazał Sydney, stojącej już przy telefonie - nie można jej podnieść, nie wiemy, co ma złamane.

- Chyba coś z biodrem - powiedziała starszuszka płaczącym głosem. - Poślizgnęłam się, upadłam i nie miałam siły się podnieść. Krzyczałam, ale taki jest teraz hałas, że nikt mnie nie słyszał, dopiero teraz... Leżę tak od kilku godzin...

- Na szczęście usłyszeliśmy. Teraz wszystko będzie dobrze. - Michael dalej klęczał, rozcierając *jej* ręce. - Sydney, daj jakiś koc i poduszkę.

Sydney sięgnęła po stary pled, schyliła się i delikatnie uniosła głowę kobiety.

- O tak, teraz będzie lepiej... - Starannie otuliła ją kocem. - Zaraz przyjedzie lekarz.

Po chwili w drzwiach zaczęli zbierać się ludzie.

- Pójdę zobaczyć, co z pogotowiem - oznajmił Michael, a Sydney przysiadła na podłodze obok kobiety i wzięła *jej* ręce w swoje.

- Bardzo u pani ładnie, sama pani to wszystko zrobiła? - zapytała z łagodnym uśmiechem.

- Zaczęłam szydełkować, kiedy byłam po raz pierwszy w ciąży. - Pani Wolburg uśmiechnęła się z trudem.

- Ma pani dużo dzieci?

- Sześcioro. Trzy córki i trzech synów. Mam też dwadzieścioro wnucząt - pochwaliła się staruszka. - Pięcioro już jest na studiach - przez jej twarz przebiegł skurcz bólu, ale zaraz opanowała się i znów spróbowała uśmiechnąć - mieszkam sama, bo tak wolę, człowiek jest u siebie.

- Oczywiście.

- Lizzy, moja córka, przeprowadziła się do Arizony, mieszka w Phoenix, a co ja bym robiła w Arizonie? - Przy-mknęła oczy. - Wszystko dlatego, że zgubiłam okulary, nigdy bym się nie potknęła w okularach. Szłam sobie i zaważyłam o tę dziurę w linoleum. Mike sto razy mi mówił, że trzeba je wymienić.

- No, przyjechali, już idą - Sydney usłyszała za sobą podekscytowany głos Michaela.

- Zadzwońeś do mojego syna, Mike? On zawiadomi resztę rodziny.

- Proszę się tym nie przejmować, wszystko załatwimy.

W piętnaście minut później stali w drzwiach kamienicy, patrząc na odjeżdżający ambulans.

- Dodzwonięś się do jej syna? - spytała Sydney.

- Zostawiłem wiadomość automatycznej sekretarce. - Wyjrzał przed dom. - Gdzie twój samochód?

- Odesłałam go. Nie wiedziałam, jak długo mi zezdzie, a jest strasznie gorąco. Ale to nic, wezwę taksówkę.

- Tak bardzo się śpieszysz?

- Nie, ale... Chcę jeszcze pojechać do tego szpitala.

Włożył ręce do kieszeni spodni.

- Nie musisz tam jechać.

Spojrzała na niego. Zobaczył w jej oczach smutek i ból. Po chwili odwróciła głowę, podniosła rękę i zatrzymała

przejeżdżającą taksówkę. Nic nie powiedziała, kiedy wszedł razem z nią.

Sydney nie znosiła szpitalnego zapachu. Odór choroby, środków czyszczących, leków zawsze przyprawiał ją o mdłości. Poza tym wspomnienie choroby dziadka i częstych wizyt w klinice stałe było zbyt świeże.

Izba przyjęć miejskiego pogotowia przedstawiała się pod tym względem jeszcze gorzej. Szybko przebyli korytarz wypełniony chorymi i oczekującymi rodzinami i podszli do okienka.

- Przed chwilą przywieziono tutaj panią Wolburg - zaczęła Sydney.

- Tak, owszem. Jest pani krewną?

- Nie, ale...

- Musimy porozmawiać z kimś z rodziny, pacjentka twierdzi, że nie jest ubezpieczona.

Oczy Michaela rozbłysły niebezpiecznie, lecz Sydney nie dopuściła go do głosu.

- Wszystkie wydatki związane z leczeniem pani Wolburg pokryje firma Hayward Industries - oznajmiła i sięgnęła do torebki po kartę identyfikacyjną. - Nazywam się Sydney Hayward. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest pani Wolburg? "

- Właśnie robią jej rentgen. Proszę się zwrócić do doktora Cohena.

Zanim mieli okazję porozmawiać z lekarzem, ponad godzinę siedzieli na szpitalnym korytarzu, pijąc niedobłą kawę z plastikowych kubków. Sydney czuła się przesiąknięta zapachem leków, ludzkiego nieszczęścia i bólu. Oparła

głowę o ścianę i przymknęła oczy. A więc tak właśnie może wyglądać starość, samotność, zależność, brak pomocy, myślała z ponurą miną.

Michael siedział obok bez słowa. Próbował nie zagłębiać się w domysły, jakież to pobudki kierowały postępowaniem Sydney. Po prostu - przyszła tu, bo musiała tak zrobić. W końcu jej firma jest odpowiedzialna za to, co się stało. Najłatwiej było widzieć to w ten sposób.

Z drugiej strony nie mógł jednak zapomnieć, jak zareagowała na wypadek starej kobiety, jak delikatnie się z nią obchodziła, jak rozmawiała, próbując skrócić czas oczekiwania na przyjazd pogotowia. Przede wszystkim jednak nie mógł zapomnieć jej spojrzenia, wtedy, pod domem, kiedy wyszli na ulicę. W jej pięknych oczach malowało się współczucie i ogromne poczucie winy.

- Poślizgnęła się na linoleum - powiedziała Sydney bardzo cicho.

Zwrócił twarz w jej stronę. Spojrzał na nią uważnie. **Odezwała** się po raz pierwszy od bardzo długiej chwili. Była blada, oczy miała zamknięte.

- Po prostu szła do kuchni we własnym mieszkaniu i upadła, bo podłoga była stara i zniszczona.

- Wyobrażam to sobie. Leżała tak, bezbronna, płakała, próbowała wołać, ale nikt jej nie słyszał. Boże, wszyscy mijali jej drzwi...

- Ale ty nie. Zatrzymałaś się. Firma twojego dziadka... - ujął jej rękę.

- On był chory - przytrzymała jego rękę w swoich - przez dwa ostatnie lata był bardzo chory, a ja mieszkałam w Europie. Nie wiedziałam, co się tutaj dzieje. Nie pisał,

jak bardzo jest źle, bo nie chciał mnie do niczego zmuszać i nic sugerować. Mój ojciec nie żyje, miał więc tylko mnie. Nie chciał mnie martwić. Kiedy wreszcie zadzwonił, było właściwie za późno. Można było tylko odliczać dni do śmierci. - Westchnęła. - Dziadek był dobrym człowiekiem. Nie pozwoliłby na to... ale sam nie był w stanie niczemu zaradzić... Kiedy wróciłam do Nowego Jorku, leżał w szpitalu. Był cierpiący i straszliwie wyczerpany. Powiedział, że jestem ostatnim żyjącym członkiem rodziny, któremu w życiu na czymś zależy, i umarł.

~ Robisz, co do ciebie należy. Nikt nie może od ciebie więcej wymagać.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie jestem tego taka pewna.

Znowu zapadła cisza.

Po jakimś czasie przyjechał syn pani Wolburg. Wysłuchał relacji o wypadku i pobiegł do telefonu, aby zawiadomić resztę rodziny. Gdy wrócił, usiadł obok Michaela i Sydney i razem czekali na pojawienie się lekarza.

Doktor Cohen wyszedł do nich bardzo późno. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowali, że stan chorej jest poważny. U pani Wolburg stwierdzono złamanie szyjki udowej i wstrząs mózgu. Na razie, tłumaczył, chora bezwzględnie musi pozostać w szpitalu. W jej wieku konsekwencje upadku mogą okazać się bardzo poważne.

Sydney zostawiła lekarzowi swój domowy numer telefonu, prosząc jednocześnie, aby informowano ją regularnie o stanie zdrowia pacjentki. Pożegnała się z synem pani Wolburg, po czym zaszepiona wyszła ze szpitala. Michael podążył za nią.

- Musisz być głodna - zagadnął, gdy znaleźli się na zewnątrz.

- Nie, wcale nie czuję głodu - odpowiedziała, pograżona w niewesołych myślach.

- Dlaczego zawsze musisz być przeciwnego zdania?

- Nie zawsze.

- Widzisz, znowu przecyzysz. Musisz coś zjeść.

Nie zareagowała tak gwałtownie, jak się spodziewał. Wydawała się zbyt przygnębiona, żeby się gniewać. Jej spokój niepokoił go coraz bardziej.

- Dlaczego uważasz, że wiesz, co muszę zrobić?

- Bowiem.

Przystanął gwałtownie. Ujął jej twarz w obie ręce.

- Boże, ale ty jesteś piękna.

Zaskoczona, zamrużyła oczami. Michael puścił jej twarz, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Może jesteś okropna - mówił, prowadząc ją przez ulicę, nie zwracając uwagi na światła i samochody - może jesteś wyniosła, może jesteś snobką, ale...

- Wcale nie jestem - przerwała mu, a on powiedział coś w ojczystym języku. - Nie jestem snobką - powtórzyła. - Tylko tobie się tak wydaje, uważasz, że muszę być snobką, ponieważ pochodzimy z różnych środowisk.

Spojrzał na nią z mieszaniną zdziwienia i ciekawości.

- W takim razie nie przeszkodzi ci, jeśli wstąpimy tutaj coś przekąsić.

Wprowadził ją do narożnego baru, gdzie zapach grilla mieszał się z krzykami rozmów. Usiedli gdzieś z boku, bardzo blisko siebie.

- Mówiłam ci, że nie jestem głodna.

- A ja ci mówiłem, że jesteś snobką i do tego kłamiesz.

Zaczerwieniła się. Wyglądała jeszcze ładniej.

- Chcesz usłyszeć, co ja myślę o tobie?

Nie mógł się opanować. Musiał dotknąć jej policzka. Na szczęście podeszła kelnerka i uratowała ją z opresji.

- Dwa steki i do tego co tam dziś macie - rzucił krótko Michael.

- Nie lubię, gdy mężczyzna zamawia w moim imieniu - powiedziała Sydney po odejściu dziewczyny.

- Następnym razem ty zamówisz dla mnie i będziemy kwita - odparł lekko. - Dlaczego nie zdejmiesz żakietu? Przecież jest ci za gorąco.

- Przestań mi mówić, co mam robić. I przestań to robić.

- Co?

- Bawić się moimi włosami.

- Po prostu głaszczę cię po karku, bardzo mi się podoba twój kark.

- Odsuń się.

- Proszę bardzo - przysunął się jeszcze bliżej - czy tak jest dobrze?

Tylko spokojnie, powtarzała sobie w myślach. Musi zachować spokój. Spokój i opanowanie. Odwróciła głowę.

- Jeśli natychmiast...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

- A teraz ty mnie pocałuj - powiedział zuchwale. Próbowwała odsunąć głowę, ale nie mogła. - Chcę widzieć, jak to robisz - dodał - wtedy zrozumieć.

- Nie ma nic do rozumienia.

Pocałował ją znowu. Położyła dłoń na jego włosach.

Wszystko działało się zbyt szybko. Wszystko. Czuła tylko jego usta, jego zęby, język...

- Przepraszam, że przeszkadzam - kelnerka stanęła nad nimi z talerzami - zaraz podam steki.

Sydney odrzuciła włosy do tyłu. Stale jeszcze ją obejmował, jakby się bał, że mu ucieknie. Nie próbowała się wyrwać. Jej ciało samo lgnęło do jego ciała. Miejsce, w którym byli, nie miało znaczenia, nieważne też było, że dokoła siedzą ludzie.

Michael uniósł puszkę z piwem.

- Było lepiej niż ostatnim razem.

- W ogóle nie chcę o tym mówić.

Zamierzał powiedzieć coś więcej, postanowił jednak ustąpić. Nie chciał jej zranić. Poczekał, aż kelnerka postawi przyniesione dania, i dopiero wtedy się odezwał:

- W porządku. Miałaś zły dzień - powiedział tak łagodnym tonem, że spojrzała na niego zdumiona - nie chcę ci dokładać.

- To był zły dzień dla wszystkich - odpowiedziała powoli, jakby ważyła słowa - dobrze więc, że się skończył.

- Bardzo dobrze - z uśmiechem podał jej sztućce - a teraz jedz. Zasłużyliście na obiad.

- Tak - powiedziała i nagle odkryła, że naprawdę jest głodna.

5

Sydney nie wiedziała, w jaki sposób wiadomość o wypadku Mildred Wolburg dostała się do prasy, ale przez cały czwartek dziennikarze nie przestawali dzwonić do jej biura. Kilku najbardziej wytrwałych oblegało drzwi prowadzące do wieżowca Hayward Building i rzuciło się na nią, kiedy tylko ukazała się na zewnątrz.

W piątek otwarcie zaczęto mówić o milionowych inwestycjach poczynionych przez firmę oraz zaniedbaniach w zakresie bieżących napraw należących do niej kamienic. Sydney musiała odbyć kilka nieprzyjemnych rozmów z członkami rady nadzorczej. Obciążenie przedsiębiorstwa kosztami leczenia staruszki było równoznaczne z przyznaniem się do winy i wyrażeniem opinii, że Hayward Industries jest odpowiedzialna za złe warunki, w jakich żyją jej lokatorzy. Prasa szeroko rozpisywała się o całej sprawie, co tylko pogarszało sytuację. Firma zyskiwała złą sławę, a to szkodziło jej interesom.

Sydney przygotowała odpowiednie oświadczenie dla prasy i zgodziła się na zwołanie posiedzenia rady nadzorczej w trybie natychmiastowym. Niech się dzieje, co chce.

Rada zadecyduje, czy może w dalszym ciągu piastować funkcję prezesa, czy nie.

Myśl o tym zaprzętała jej głowę, kiedy szła w stronę szpitala, z paczką książek w jednej i doniczkowym kwiatem w drugiej ręce.

Pod drzwiami pani Wolburg zatrzymała się na chwilę. Wiedziała, że na pewno kogoś u niej zastanie. Pacjentka nie lubiła być sama i zwykle przy jej łóżku można było spotkać kilku członków rodziny, przyjaciół lub któregoś z lokatorów. Znała ten obyczaj, ponieważ odwiedzała starszą panią już po raz trzeci. Tym razem ujrzała Michaela, Keely i dwoje spośród sześciorga dzieci pani Wolburg.

Michael spojrzał na wchodzącą. Niezręcznie manewrowała doniczką i wysuwającymi się z paczki książkami.

- Oho, widzę, że ma pani gości, pani Wolburg - powiedział.

- Witaj, Sydney, przyniosłaś mi nowe książki?

- Tak, pani wnuk powiedział mi, że uwielbia pani czytać. - Sydney położyła książki na stoliku i ujęła wychudzoną dłoń staruszki.

- Zawsze mówi, że więcej czytam niż jem. - Pani Wolburg uściśnęła słabo dłoń Sydney. - Jaki piękny kwiat!

- Widziałam, że ma pani w domu całą oranżerię - poczuła się swobodniej, słysząc, że obecni wracają do przerwanej rozmowy - a kiedy tu byłam ostatnim razem, ten pokój też wyglądał jak ogród. - Rozejrzała się. Kwiaty były wszędzie - stały w wazonach, słoikach, w koszach. - Przyniosłam alpejskie fiołki.

- Zawsze lubiłam kwiaty i wszystko, co rośnie. Postaw to tu, na szafce, dobrze? Obok tych róż i konwalii.

- Strasznie jest rozpieszczana - zwróciła się żartobliwie córka pani Wolburg do swojego brata. - Kwiaty, prezenty, słodycze. Wygląda na to, że możemy raz na zawsze pożegnać się z domowymi ciasteczkami.

- Wcale nie - pani Wolburg zaprzeczyła i poprawiła się na łóżku. - Mike właśnie mi powiedział, że dostałam nowy piecyk, taki nowoczesny, co niczego nie przypala.

- To prawda - potwierdził Michael. - Jako pierwszy zamawiam ciasto czekoladowe. - Wstał i podszedł do wazonu z różami.

- Błagam - Keely położyła sobie rękę na brzuchu - nie przy mnie. Jestem na diecie. W przyszłym tygodniu mają mnie zamordować i muszę na tę okazję cudownie wyglądać. Ano tak... Nie wszyscy wiedzą. Gram w serialu - wyjaśniła, widząc zdumienie na twarzy Sydney - pierwszy raz w życiu. Mam być trzecią ofiarą pewnego psychopaty. Będzie mnie dusił w samej bieliźnie. Coż, takie są wymogi show biznesu.

Sydney uśmiechnęła się szeroko. W tym roześmianym towarzystwie czuła się wesoło, ale też nieco nieswojo i obco. Jakby nie do końca pasowała do tych ludzi. Postanowiła więc nie przeszkadzać im swoją osobą i, przepraszając, że musi już iść, zaczęła się żegnać. Wpadła tylko na chwilę, bardzo cieszy ją, że zastała panią Wolburg w lepszym stanie, z pewnością jeszcze ją odwiedzi...

- Bardzo jesteś kochana, żeś zajrzała - pani Wolburg podziękowała jej serdecznie.

Sydney pocałowała ją w policzek i wyszła z pokoju. Michael, który wcześniej wyjął żółtą różę z wazonu, dogonił ją przy windzie.

KSIĘŻNICZKA I CZAROWNICA

- Może ci się przyda - podał jej różę.
- Bez kolców - uśmiechnęła się melancholijnie - dziękuję.
- Dlaczego jesteś' smutna?
- Nie jestem. - Nacisnęła guzik, przywołując windę.
- Nie oszukuj, my artyści znamy się na nastrojach. - Ujął ją pod brodę. - Widzę przygnębienie, zmęczenie i smutek.

Dzwonek windy wybawił ją z niezręcznej sytuacji, ale tylko na chwilę. Michael bowiem wszedł do windy wraz z nią, a że w środku panował tłok, musiała stanąć bardzo blisko niego. Chyba że wolałaby przytulić się do pewnej otyłej kobiety z paczką ciastek w dłoni. Przez chwilę przeszło jej przez myśl, że powinno się zakazać używania złych perfum przed wejściem do windy. Tak jak palenia papierosów w miejscu publicznym.

- Miałeś w rodzinie jakąś Cyganke?
- Oczywiście.
- To lepiej popatrz w szklaną kulę, zamiast analizować moje nastroje.

Winda zatrzymywała się na każdym piętrze. Ludzie wychodzili i wchodzili, wciąż panował niehumaniczny ścisk. Sydney stała nieomal wbita w Michaela, a on, jak gdyby było to najnormalniejszą rzeczą na świecie, obejmował ją w pół. Nie przestał jej obejmować nawet wtedy, gdy wyszli z windy. Udała, że tego nie dostrzega.

- Prace postępują - powiedziała.
- To bardzo dobrze - odparła z roztargnieniem. Za kilka dni może przestać mieć na ich przebieg jakikolwiek wpływ. Jeżeli rada nadzorcza odsunie ją od zarządzania, tak właśnie będzie.

- Elektrycy wszystko sprawdzili, w przyszłym tygodniu kończymy prace hydrauliczne. - Michael wyraźnie próbował zainteresować ją tym tematem. Niestety, bezskutecznie. - Zamierzamy również reperować dach. Pomalujemy go na niebiesko.

- Świetnie - zatrzymała się i spojrzała na niego w zamysleniu - doskonały pomysł, i oryginalny.

- A więc jednak słuchasz, co mówię?

- Staram się. - Przyłożyła dłoń do pulsującej bólem skroni. - Przepraszam, ale mam mnóstwo problemów.

- Opowiadaj.

Właściwie czemu nie? - pomyślała. Dlaczego nie miała by *się zwierzyć* właśnie jemu? Z matką o tych sprawach mówić nie może. Margerite nie nadaje się do tego typu rozmów. Tym bardziej Channing. Chyba nikt z jej przyjaciół nie byłby w stanie teraz jej zrozumieć. Zwłaszcza że Sydney nie rozumiała samej siebie.

- Właściwie nie ma o czym - powiedziała i szybkim krokiem ruszyła w stronę samochodu.

Jak mogła przypuszczać, że pozwoli jej tak odejść, z tym smutkiem w oczach, przygnębieniem wyczuwalnym w każdym słowie, w każdym ruchu, emanującym z całej jej postaci...

- Może być mnie podwiozła? - zaproponował.

Spojrzała na niego poważnie. Stale miała w pamięci powrotną jazdę z domu matki. Tym razem jednak Michael uśmiechał się przyjacielsko i pogodnie, bez cienia złośliwości. Poza tym droga była niedaleka.

- Oczywiście - zgodziła się od razu. - Podwieziemy pana Stanisławskiego na Soho - zwróciła *się* do szofera.

Wewnątrz samochodu siedziała daleko od Michaela, tuż przy samym oknie.

- Pani Wolburg wygląda całkiem nieźle - powiedziała tonem towarzyskiej pogawędki.

- Tak, to silna kobieta.

Tym razem Mozart, pomyślał, słysząc delikatne dźwięki muzyki, które sączyły się z zainstalowanych w samochodzie głośników.

- Lekarz mówi, że niedługo będzie mogła wrócić do domu, na razie do syna.

- Mhm. A ty zamówiłaś jej fizykoterapeutę, będzie do niej przychodził.

Spojrzała na niego zdziwiona. Przełożyła różę z ręki do ręki.

- Sama mi powiedziała - wyjaśnił Michael - stąd to wiem- A potem, jak wróci do siebie, będzie miała do dyspozycji pielęgniarkę, przez całą dobę, dopóki całkiem nie wydobrzeje.

- O co ci chodzi? Przecież nie zamierzam grać roli dobrej Samarytanki, robię tylko, co do mnie należy - powiedziała, jakby chciała się usprawiedliwić, choć właściwie sama nie wiedziała dlaczego.

- Wiem. Widzę, że bardzo przejmujesz się jej losem. Ale to nie jest jedyny twój kłopot, prawda? Powiedz, czy chodzi o to, co wygadują w telewizji?

Sydney nagle zeszywniała.

- Nic mnie nie obchodzi, co mówią i piszą, nie zamierzam...

- Rozumiem - powiedział spokojnie. - Pamiętaj, że byłem tam i że widziałem, jak się z nią obchodziłaś po wypadku.

Sydney westchnęła głęboko.

- I co z tego? Stała się jej krzywda i nie da się tego cofnąć. Nie sądzę jednak, że jej cierpienie powinno być tematem gazetowych sensacji. To zupełnie niepotrzebne. No, ale trudno - ja zrobiłam to, co uważałam za stosowne, i nie obchodzi mnie, co się będzie pisać i mówić na ten temat.

- Stoisz na czele firmy.

- Na razie. - Odsunęła szybę, stali już pod domem Michaela. - Widzę, że zaczęliście prace na dachu.

- Owszem. - Przechylił się i otworzył drzwi od jej strony. Przez chwilę byli bardzo blisko siebie. Poczowała nagle nieprzewartą chęć dotknięcia jego policzka, tam gdzie czernił się cień zarostu. - Wejdz do mnie na chwilę, chciałbym ci coś pokazać - poprosił ją łagodnie.

- Już prawie szósta, muszę...

- Tylko na godzinkę, szofer może po ciebie wrócić, prawda?

- Właściwie... tak. - Nie była pewna, czy zrobi dobrze, jeśli zgodzi się wejść na górę, po chwili wahania powiedziała jednak: - W porządku, ale nie zostanę dłużej niż pół godziny.

Przecież sensowniej będzie posiedzieć u niego - próbowała tłumaczyć sobie własną decyzję - niż wracać do pustego mieszkania i dręczyć się myśleniem o tym, co postanowi rada nadzorcza. Zamówiła szofera na siódmą i poszła z Michaeliem w stronę domu.

- Widzę, że inne rzeczy też już naprawione.

- Trzeba to kończyć jak najszybciej, ludziom trudno żyć w tym rozgardiaszu. - Przywitał się z mężczyznami

siedzącymi przy wejściu, po czym znów zwrócił się do niej: - Pojedziemy windą. Już zreperowana i sprawdzona.

Sydney przypomniała sobie wspinaczkę na piąte piętro.

- Boże, jak dobrze!

Weszli do windy, drzwi zasunęły się bezszelestnie.

- Wygląda teraz znacznie lepiej - powiedział, kiedy ruszyli - poza tym człowiek nie ryzykuje, że spędzi całą noc pomiędzy piętrami.

- Rzeczywiście, działa świetnie.

Winda zatrzymała się płynnie i drzwi rozsunęły się przed nimi. Ściana na piątym piętrze w dalszym ciągu była plątaniną rur.

- Tym zajmiemy się później, jak skończymy z dachem.

- Lokatorzy nie będą się skarżyć? - podtrzymała zwyczajny, obojętny ton rozmowy. - Życie podczas remontu to rzeczywiście musi być koszmar.

- Fakt, jest trochę niewygodnie. Ale wszyscy tak bardzo podnieceni są faktem, że wreszcie coś się robi, że cierpliwie czekają na koniec robót. Na przykład pan Struben, z trzeciego piętra, codziennie rano, przed wyjściem do pracy, zagląda do mnie i mówi: „ty to naprawdę jesteś złota rączka, Michael”. Kiedyś dam mu młotek do ręki, niech sam popróbuje.

Wyjął klucze. Otworzył drzwi i przepuścił ją przodem.

- Wejść, proszę. Siadaj.

Rozejrzała się. Wszystkie sprzęty zostały zepchnięte w jeden kąt. W pokoju królował wielki stół, pokryty kawałkami drewna. Wszędzie unosił się zapach trocin i terpentyny.

- Gdzie?

Michael zatrzymał się w drodze do kuchni i spojrzał na nią stropiony. Po chwili wahania wyciągnął ze sterty mebli drewniany fotel na biegunach.

- Choćby na tym.

Usiadła. Fotel był nadszpiewanie wygodny. Sydney czuła się tak, jakby delikatne, gładkie drewno obejmowało ją, dostosowując swoją formę do jej kształtów. Delikatnie zakołysała się, raz, drugi, trzeci.

- Jest cudowny.

- Zrobiłem go dla mojej siostry - dobiegł ją z kuchni jego głos - wiele lat temu, kiedy spodziewała się dziecka. Potem jej córeczka, Lily, umarła, zabrałem go więc, żeby na niego nie patrzyła.

- To straszne - ruch biegunów ustał - rodziców chyba nie może spotkać nic gorszego.

- Z pewnością. Natasza nigdy nie zapomniała o Lily.
- Wszedł, niosąc butelkę wody i szklanki. - Całe szczęście, że ma jeszcze trójkę dzieci, w ten sposób ból zmieszał się z radością. - Podał jej szklankę, napełnił wodą, sięgnął po aspirynę. - Weź to, boli cię głowa.

Poczuła, że wciska jej w dłoń dwie pigułki. Rzeczywiście, głowa bardzo *j&j* dokuczała, ale przecież nic na ten temat nie mówiła.

- Trochę. Ale skąd wiesz, że mnie boli?

- Widzę po oczach. - Poczekał, aż połknie lekarstwo, po czym stanął z tyłu za fotelem i ujął jej głowę w dłonie. - Boli, i to bardzo - powiedział, masując delikatnie jej skronie.

Powinna była kazać mu przestać, ale nie potrafiła. Oparła się wygodnie, odrzuciła głowę do tyłu, zamknęła oczy i poddała się kojącemu dotykowi jego palców.

- Właśnie to chciałeś mi pokazać? Twój sposób na ból głowy? - zapytała, a jemu zdało się, że w jej głosie słyszy smutek.

- Nie tylko, mam też coś innego, ale z tym trzeba poczekać, aż poczujesz się lepiej. A teraz opowiedz mi, co cię trapi. Może będę mógł pomóc.

- Nie sądzę. Ta sprawa dotyczy tylko mnie.

- Ale chyba możesz powiedzieć mi, o co chodzi.

Nie, pomyślała. Ta sprawa naprawdę dotyczy tylko jej, dotyczy jej własnej przyszłości. Zaraz jednak pojawiła się inna myśl, łaskawsza dla Michaela i jego starań: Czy stanie się coś, gdy wyrzuci z siebie wszystko i wysłucha czyjejś opinii?

- Nic takiego. Biurowe sprawy - powiedziała, kiedy zaczął masować jej kark. Jego duże, szorstkie ręce były delikatne i czułe, jak ręce matki. - Pewnie ktoś z większym doświadczeniem poradziłby sobie z tym bez kłopotu, aleja mam za sobą tylko nazwisko i wolę mojego dziadka. Sprawa pani Wolburg bardzo osłabiła moją pozycję w firmie. Wzięłam na siebie odpowiedzialność za wypadek, nie konsultując się z nikim. Rada nadzorcza jest wściekła.

Jego oczy pociemniały.

- Dlatego że starsz się zachować przyzwoicie?

- Dlatego że działałam niekonwencjonalnie, jak to się mówi. Kampania prasowa jeszcze wszystko pogorszyła. Gdybym miała więcej doświadczenia, rozegrałabym to znacznie lepiej. A tak nie udało mi się sprawy wyciszyć i zaczęły się problemy. Rada ma się zebrać w piątek, wtedy podejmą decyzję, czy mam podać się do dymisji, czy nie.

- A podałybyś się?

- Sama nie wiem - masował teraz jej plecy - chyba bym walczyła, lecz to skomplikowałoby tylko sytuację w firmie. Walka prezesa z radą nigdy nie wychodzi przedsiębiorstwu na dobre. Do tego moje stosunki z wiceprez wodniczącym nie są najlepsze. Jest przekonany, może i słusznie, że to on powinien zasiadać na moim miejscu. - Roześmiała się. - Zresztą, może rzeczywiście tak byłoby lepiej. Ostatnio zaczynam tak myśleć.

- Wcale tak nie myślisz. - Powstrzymał się, żeby nie pocałować jej w smukły kark. - Jesteś dobrym szefem i dobrze o tym wiesz.

Sydney przestała się bujać i odwróciła ku niemu głowę.

- Jesteś pierwszą osobą, która mi to mówi. Wszyscy dokoła uważają, że mnie to po prostu bawi, albo że to coś w rodzaju nieszkodliwej manii.

Delikatnie ześlizgnął dłonie po jej ramionach i stanął naprzeciwko niej.

- Po prostu cię nie znają.

Spojrzała mu w oczy. Ogarnęło ją dziwne uczucie wdzięczności. Nareszcie ktoś ją rozumie...

- Może rzeczywiście mnie nie znają.

- Nie będę ci dawał dobrych rad - powiedział, ujmując jej rękę. - Nie znam się na zarządzaniu ani na relacjach między kierownictwem a radą nadzorczą. Mogę ci powiedzieć tylko jedno: jesteś bardzo mądra i masz dobre serce.

Nieświadomie zacisnęła palce na jego dłoni i w tej samej chwili zrozumiała, że właśnie połączyło ich coś znacznie silniejszego, nie tylko chwilowy uścisk złączonych dłoni. Ta świadomość uspokoiła ją i wlała otuchę w jej serce.

- Teraz będę wiedziała, gdzie szukać prawdziwej rady.

- Polecam się na przyszłość - spojrzał jej głęboko w oczy - ból głowy już przeszedł, prawda?

Zaskoczona, uniosła rękę ku skroni.

- Tak. - Czuła się znacznie lepiej, odprężona i wolna od złych myśli. - Mógłbyś zrobić majątek. Masz naprawdę cudowne ręce.

Uśmiechnął się i znowu położył dłonie na jej ramionach.

- Po prostu trzeba wiedzieć, jak się nimi posługiwać. I robić to we właściwym czasie.

Przypomniała sobie nagle scenę w samochodzie. Spłószyla się na to wspomnienie.

- Tak... a teraz... - zaczęła, czując, że coś z tamtych doznań powraca - teraz bardzo ci dziękuję, muszę już iść.

- Zaczekaj. Masz jeszcze czas -jego dłonie ześlizgnęły się po jej ramionach - nie dałem ci jeszcze prezentu.

- Prezentu?

Przykucnął naprzeciwko niej. Ich twarze znalazły się teraz na wprost siebie.

- Nie lubisz prezentów, księżniczko? - W jego głosie było coś niepokojącego.

- Chodzi ci o... o sprawozdanie?

Ujął przeguby jej dłoni i odpowiedział:

- Sprawozdanie mogę wysłać pocztą, chodzi o coś innego.

- O coś innego... - powtórzyła jak echo, wpatrując się w niego jak pacjent w swego hipnotyzera.

Roześmiał się i puścił jej ręce. Po chwili wstał i podszedł do półek. Sydney wciąż siedziała bez mchu. W chwili później znów był przy niej. "W dłoniach trzymał rzeźbę Kopciuszka.

- To dla ciebie.
- Aleja... nie mogę...
- Nie podoba ci się?
- Nie, to znaczy tak, bardzo mi się podoba, ale dlaczego mi ją dajesz? - Uniosła ku niemu oczy, palcami pogłaskała gładką powierzchnię drewna. - Dlaczego mi ją dajesz? - powtórzyła.
- Bo bardzo mi ciebie przypomina. Jest śliczna, delikatna i niezbyt pewna siebie.
- Ktoś mógłby powiedzieć - romantyczna.
- To prawdopodobne. W każdym razie ucieka, bo nie wierzy w siebie. Uważa, że te same reguły obowiązują zawsze i wszędzie. Że skoro wybiła północ, to trzeba wyrwać się z ramion księcia i uciekać. Bo takie są reguły tej gry-
- Musi uciekać, przecież przyrzekła. Zresztą nie chce, żeby zobaczyli ją w starej poplamionej sukience.
- Michael przyjrzał jej się uważnie.
- Naprawdę sądzisz, że jego obchodzi, jak jest ubrana?
- Nie, wcale tak nie uważam.
- Wzięła głęboki oddech. To było idiotyczne, stać tak i roztrząsać cechy charakteru jakiejś postaci z bajki.
- W każdym razie wszystko dobrze się skończyło i chociaż naprawdę nie mam nic wspólnego z Kopciuszką, chętnie zachowam tę figurkę.
- Świetnie, chodź więc, odprowadzę cię. Nie możesz się spóźnić na kolację z matką.
- Ona i tak się spóźni, zawsze się spóźnia. - Sydney zatrzymała się już w progu. - A skąd ty właściwie wiesz, że spotykam się z matką?

- Powiedziała mi dwa dni temu. Spotkaliśmy się w mieście na kawie.

Sydney osłupiała.

- Umówiłeś się z moją matką?

~ Tak, ale zanim mnie zamordujesz, powiem jeszcze, że nie mam wobec pięknej Margerite żadnych złych zamiarów. W ogóle nie mam wobec niej żadnych zamiarów, także seksualnych, jeśli o to ci chodzi.

- Bardzo to uprzejme z twojej strony, bardzo... - Stała przed nim, obracając w rękach drewnianą figurkę, którą przed chwilą dostała od niego w prezencie. Nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować. - Przecież się umówiliśmy, że zostawisz ją w spokoju.

- Nie zawieraliśmy żadnych umów, a ja nie robię nic złego. - Nie chciał jej zdradzać, że Margerite dzwoniła do niego trzy razy, zanim wreszcie dał się namówić. - To było takie sobie przyjacielskie spotkanie. Margerite, podobnie jak ja, uważa, że to powinno nam wystarczyć. Zwłaszcza że mam pewne, i to całkiem poważne, zamiary wobec jej córki, także seksualne, jeśli o to ci chodzi.

Nagle zaschło jej w gardle. Z trudem przełknęła ślinę.

- To bez sensu - zdołała z siebie wykrztusić! - Nie masz żadnych poważnych zamiarów. Chodzi ci jedynie o to, żeby po raz... nie wiem, pewnie setny udowodnić swą męskość.

Oczy Michaela rozbłysły.

- Może wrócisz na chwilę do środka, żebym ci udowodnił, o co naprawdę mi chodzi.

- Nie. - Wbrew własnej woli zrobiła krok do przodu, przekraczając linię progu. - Żądam tylko, żebyś raz na zawsze zostawił w spokoju moją matkę. Zrozumiałeś?

Michael nie był całkiem pewien, czy Margerite życzyła-by sobie wstawiennictwa córki w tej akurat sprawie. Podobnie jak było raczej wątpliwe, żeby Sydney kiedykolwiek zrozumiała, że to właśnie jej matka zainteresowana jest przelotnym romansiem z młodym człowiekiem, on zaś próbuje tylko osłabić jej zapędy.

- Skoro nie chcesz wejść do środka, powiem ci jedno i zapamiętaj to sobie raz na zawsze: nie jestem, nie byłem i nie będę zainteresowany twoją matką, w żaden sposób. Jesteś zadowolona?

- Byłabym, gdybym mogła ci wierzyć.

- Ja nigdy nie kłamię - wycodził przez zęby.

Spojrzała na niego nieprzyjaźnie.

- Dostyc tej komedii. Daj sobie spokój z tym wszystkim, i nie sprowadzaj mnie na dół, znam drogę.

Odwróciła się i powoli poszła w stronę windy. Czuła, że Michael odprowadza ją wzrokiem, nie odwróciła się jednak.

W samo południe zasiadła na honorowym miejscu za długim prezydialnym stołem. Po obu jego stronach zajęła miejsca rada nadzorcza złożona z dziesięciu mężczyzn i dwóch kobiet. Przed każdym członkiem rady, na lśniącym, orzechowym blacie, spoczywała teczka, pióro i zatemperowany ołówek. Na tle granatowego nieba za oknem majaczyły sylwetki wieżowców.

Sydney czuła się podle. Zupełnie jak zła uczennica wezwana przed oblicze dyrektora szkoły.

Spojrzała na twarze obecnych. Niektórzy z nich zasiadali za tym stołem jeszcze w czasach, kiedy jej nie było na

świecie. Inni pamiętali, jak tu przychodziła i wdrapywała się dziadkowi na kolana. Może choć oni okażą się bardziej wyrozumiali...

Kątem oka dostrzegła fałszywie uśmiechniętą twarz Lloyd'a. Ogarnęła ją złość i bezsilność. Nie, nie, nie. Nie może tak łatwo się poddać, trzeba walczyć. Trzeba walczyć i wygrać.

- Panie i panowie - zaczęła donośnym głosem. Szepty z wolna ucichły i mogła mówić dalej. - Zanim rozpocznemy dyskusję, chciałabym złożyć pewne oświadczenie.

- Dałaś już jedno oświadczenie, dla prasy - odezwał się sucho Lloyd. - Wszyscy obecni znają twoje zdanie.

Rozległ się zmieszany gwar głosów, zdziwionych, pytających, aprobujących. Poczekała, aż ucichną, i znowu zabrała głos.

- Mimo to, jako przewodnicząca firmy i właścicielka największej ilości udziałów, pozwolę sobie powiedzieć kilka słów. - Czuła na sobie baczne spojrzenia kilkunastu par oczu. Było w nich oczekiwanie i zaciekawienie. - Jak rozumiem, rada jest zaniepokojona wysokością sumy przeznaczonej na remont pewnego budynku w Soho. Wiemy, że choć w całości dochodów firmy roczne czynsze pobierane od lokatorów tego domu stanowią znikomy procent, to jest to mimo wszystko dochód stały. W ciągu ostatnich dziesięciu lat firma w obiekt ten prawie w ogóle nie inwestowała. Nie muszę w tym gronie przypominać, że w tym samym czasie wartość nieruchomości w tej okolicy znacznie wzrosła. Można zatem przypuszczać, że suma przeznaczona na remont zamortyzuje się w krótkim czasie i per saldo firma nie poniesie z tego tytułu żadnych strat. - Zaszło jej w gardle. Chciała sięgnąć po szklanekę

z wodą, bała się jednak, że drzenie rąk zdradzi, jak bardzo jest zdenerwowana. - Sądzę ponadto - mówiła dalej - że nasze przedsiębiorstwo ma moralny obowiązek zapewnić ludziom mieszkającym w naszych domach godziwe warunki życia.

- Godziwe warunki można by im zapewnić za połowę tej sumy - przerwał jej Lloyd.

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- W pewnym sensie ma pan rację, panie Lloyd. Sądzę jednak, że mój dziadek życzyłby sobie, żeby sprawy załatwione były jak najlepiej. Zawsze stawiał firmie bardzo wysokie wymagania. Ja zamierzam robić to samo. Nie będę państwu zabierać czasu przytaczaniem liczb. Dokładne dane znajdą państwo w teczkach. Poszczególne punkty możemy za chwilę omówić, teraz pragnę tylko podkreślić jedno: koszty remontu są wysokie, ale tego wymaga status i dobre imię naszej firmy.

- Posłuchaj, Sydney - spojrzały na nią życzliwe oczy Howarda Kellera, najstarszego udziałowca i przyjaciela dziadka - zdajemy sobie wszyscy sprawę z tego, że działasz z bardzo szlachetnych pobudek. Niemniej musimy się poważnie zastanowić nad twoimi posunięciami w wiadomej sprawie. Mamy ostatnio fatalną prasę, nasze akcje spadły o trzy procent, sytuacja jest naprawdę poważna. Firmie grożą poważne konsekwencje finansowe.

- Wiadoma sprawa, jak ją łaskawie nazwałeś - powiedziała nieprzejednanym tonem - to stara, osiemdziesięcioletnia, samotna kobieta ze złamaną nogą. Przewróciła się we własnej kuchni, bo nie wymieniliśmy linoleum we właściwym czasie.

- Ano właśnie! Oto najlepszy przykład - głos Lloyd'a zabrzmiał niczym sędziowski werdykt - nieprzemyślanej wypowiedzi, która stawia firmę w niedogodnej, delikatnie mówiąc, sytuacji prawnej. Przecież, jak wszyscy wiemy, decyzje dotyczące ubezpieczenia powinni podejmować specjaliści po wnikliwym rozpatrzeniu konkretnego przypadku i wszystkich towarzyszących mu okoliczności. Tutaj nie wolno kierować się emocjami. Panna Hayward może się prywatnie przejmować losem biednej staruszki, ale nie powinno to wpływać na jej działania jako prezesa firmy. Teraz, kiedy mamy przeciwko sobie opinię publiczną...

- Swoją drogą to ciekawe - przerwała mu Sydney - w jaki sposób prasa dowiedziała się o wypadku tak wcześnie. W dwa dni po tym, jak nikomu nie znana starsza pani upadła w swoim mieszkaniu, trąbiły już o niej wszystkie największe gazety.

- Może sama je o tym poinformowała.

- Doprawdy? - uśmiechnęła się zjadliwie.

- To teraz nie jest najważniejsze - wtrącił Mavis Trelane - faktem jest, że prasa dowiedziała się o wypadku i nastawiła przeciwko nam opinię publiczną. Akcje lecą w dół i trzeba *coś z tym zrobić*.

- Czy ktoś z obecnych naprawdę sądzi, że nasza firma nie ponosi żadnej odpowiedzialności za wypadek pani Wolburg? - zapytała dramatycznie Sydney.

- Nieważne, co myślimy - zgasił ją Mavis. - Zresztą nikt z nas nie może wydać ostatecznego sądu przed uzyskaniem opinii biegłych, badających przebieg wypadku. Dopiero wtedy...

Wypowiedź przerwało stukanie do drzwi. Sydney zmarszczyła brwi.

- Przepraszam - powiedziała, wstała i podeszła do wyjścia. - Janinę, prosiłam przecież, żeby mi nie przeszkadzano - przypomniała surowym głosem.

- Bardzo panią przepraszam - odezwała się ściszym głosem sekretarka - ale to bardzo ważne. Przed chwilą dzwonił do mnie kolega, pracuje w telewizji, za chwilę ma być transmisja ze szpitala i rozmowa z panią Wolburg.

Po chwili wahania Sydney skinęła głową.

- Dziękuję ci, Janinę.

- Powodzenia, panno Hay ward.

Uśmiechnęła się i zamknęła drzwi. Dobre życzenia przydadzą się na pewno. Z poważną miną wróciła do stołu.

- Właśnie się dowiedziałam, że pani Wolburg będzie składać oświadczenie w „wiadomej sprawie”. Jeśli państwo pozwolą, włączę telewizor, to może być interesujące.

Nie czekając, co postanowią, wcisnęła przycisk. Przy wtórze protestów Lloyda, mówiącego, że rada ma ważniejszą sprawę niż oglądanie telewizji, kanał 6 rozpoczął relację z wizyty w szpitalu u pani Wolburg. Śliczna młoda reporterka zapytała na wstępie, jak doszło do fatalnego w skutkach wypadku. Członkowie rady mieli okazję wysłuchać, jak to starsza pani potknęła się o zniszczone linoleum, upadła i leżała kilka godzin, bo z powodu hałasu panującego w budynku nikt nie słyszał jej wołania o pomoc.

- Czy zatem pani zdaniem - pytała, dalej wysłanniczka kanału 6 - winę za zły stan podłogi ponosi firma Hay ward?

- Oczywiście. Mike, to znaczy pan Stanisławski, stale do nich pisał, żeby coś zrobili.

- I nic nie zrobiono?

- Nic. Kiedy na przykład państwu Kowalskim spo numeru 101 odpadł kawał sufitu, to Michael sam wszystko zakleił gipsem.

- Można zatem powiedzieć, że mimo pobieranych regularnie czynszów właściciele domu nie dbali o jego stan i lokatorzy musieli dokonywać napraw we własnym zakresie?

- Oczywiście, zawsze tak było. Dopiero kilka tygodni temu wszystko się zmieniło.

- Na czym polega ta zmiana?

- Kiedy na czele firmy stanęła Sydney, to znaczy pann Hayward, wnuczka starego pana Haywarda, wszystko się zmieniło. Pan Hayward długo chorował i o niczym nie wiedział, dopiero gdy Mike poszedł do Sydney, zaraz przyszła do nas, by sama wszystko zobaczyć. Zaraz potem, nie upłynęły nawet dwa tygodnie, przyjechali robotnicy i zaczęli się remont. Wymienili okna, naprawili dach, a w przyszłym tygodniu wymienią rury. Wszystko, co Mike wskazała, ona zaraz każe reperować.

- Tak? A czy do pani wypadku doszło przed czy po rozpoczęciu remontu?

- Mówiłam przecież, że po - pani Wolburg zniecierpliwiła się nieco - gdyby nie ten hałas, nie leżałabym tak godzinami, ktoś by mnie usłyszał. Znalazła mnie dopiero Sydney, bo właśnie była w domu i doglądała robót. Znalazła mnie, usiadła przy mnie na podłodze, dała poduszkę pod głowę i okryła kocem. Cały czas ze mną rozmawiała, aż do przyjazdu karetki. A teraz stale odwiedza mnie w szpitalu, kazała też zapłacić wszystkie rachunki...

- Czy zgodzi się pani ze zdaniem, że wszystkim winna jest firma Hayward?

- Tak mówią ludzie złośliwi. A wszystkim winna jest dziura w podłodze. Zaraz powiedziałam, jak mnie tu wieźli, że nie mam nic przeciwko Sydney i jej firmie. Są dla mnie bardzo dobrzy, zajęli się wszystkim od pierwszej chwili, nie czekali, aż gazety zaczną o tym pisać. Sydney to bardzo uczciwa i przyzwoita dziewczyna. Tak myślę. Bardzo dobrze, że jest tym prezesem, człowiek zaraz inaczej się czuje, kiedy mieszka u kogoś, kogo może szanować.

Sydney przez cały czas stała bez ruchu. Gdy program dobiegł końca, wyłączyła telewizor.

- Nieźle, całkiem nieźle - pierwszy odezwał się Mavis.
- Trzeba przyznać, że działasz niekonwencjonalnie, ale w gruncie rzeczy skutecznie. Taka reklama na pewno nam nie zaszkodzi.

Przez chwilę jeszcze dyskutowali, po czym rozeszli się, nie podjąwszy żadnej decyzji. Sydney nie spodziewała się, że niebezpieczeństwo dymisji tak łatwo zostanie zażegnane.

Już w swoim gabinecie sięgnęła po słuchawkę telefonu. Szybko wystukała numer na klawiaturze. Przez dłuższą chwilę myślała, że nikogo nie ma, wreszcie w słuchawce odezwał się nieznany męski głos.

- Tak?
- Michael?
- Nie ma go, zszedł na chwilę.
- W takim razie...
- Proszę poczekać, właśnie idzie. Już go daję... - Po chwili rozpoznała głos Michaela. - Słucham?

- To ja, Sydney. Właśnie oglądałam wiadomość
Wiesz, o czym mówię.
- Też rzuciłem okiem.
- Prosiłeś ją, żeby to powiedziała?
- Nie, powiedziałem tylko, jak sprawa wygląda, a ona sama wpadła na ten pomysł. Całkiem niegłupi,
- Owszem, jestem ci bardzo wdzięczna.
- Naprawdę? Okaż to.
Spodziewała się raczej czegoś w stylu „nie ma o czym mówić”.
- Co takiego?
- Okaż mi wdzięczność. Chodź ze mną na obiad w sobotę.
- Co ma jedno do drugiego?
- W ten sposób spłacisz dług wdzięczności. To jak: Wpadnę po ciebie o czwartej, zgoda?
- O czwartej? Kto je obiad o czwartej?
- Ja. Daj mi swój adres. - Podyktowała mu po chwili wahania. - W porządku. Daj też telefon, gdyby coś wypadło. Nigdy nic nie wiadomo.
Zawahała się ponownie.
- Chciałabym tylko, żebyś wiedział, że...
- Wiem. Wszystko wiem - przerwał - będę punktualnie o czwartej. - Obrysował serduszką adres i telefon, który zapisał ołówkiem kreślarskim na ścianie, i pożegnał się: - Do zobaczenia, szefie.

6

Sydney uważnie przejrzała się w lustrze. Przecież nie idzie na randkę. Kilkakrotnie w ciągu tygodnia próbowała to sobie wyjaśnić. To nie jest randka, a tylko spotkanie z kimś, wobec kogo ma pewne zobowiązania. Nieważne, co czuje do Michaela. Musi mu się odwdziżyć. *Haywardowie* zawsze spłacają zaciągnięte długi.

Nie musi się stroić. Zwykła letnia, lekko opięta na biodrach sukienka wystarczy. Najlepiej błękitna, i to wcale nie dlatego, że Michael powiedział kiedyś, że dobrze jej w jasnych kolorach...

To że sukienka jest nowa i że Sydney straciła dwie godziny na wybieraniu odpowiedniego fasonu, też nie ma znaczenia - po prostu miała akurat ochotę na coś nowego i dlatego ją kupiła.

Cienki złoty łańcuszek na szyi i drobne złote kolczyki w uszach zawsze pasują do wszystkiego, a fakt, że spędziła nad makijażem kilkakrotnie więcej czasu niż zwykle, również nie ma znaczenia. Czy nie należy bowiem dokładnie wypróbować, jak pasują do niej nowe kosmetyki?

Po głębszym namyśle zdecydowała się rozpuścić włosy. Nie chodzi oczywiście o to, że tak wygląda bardziej se-

ksownie, lecz tylko o to, że tak jest zdrowiej dla włosów. Zresztą, każda kobieta chce ładnie wyglądać bez względu na to, czy zależy jej na osobie, z którą zamierza się spotkać, czy też nie.

Przez chwilę wahała się nad doborem perfum, przypominając sobie, co Michael mówił na ten temat. Ostatecznie poperfumowała się lekko za uszami, rzecz jasna nie dla niego, a dla siebie samej. Takie zwykłe wykończenie stroju.

Sięgnęła po torebkę, spojrzała na zegarek. Była trzecia, miała więc jeszcze całą godzinę. Westchnęła głęboko i przysiadła na łożku. Po raz pierwszy w życiu miała naprawdę ochotę na drinka.

Następną godzinę spędziła, chodząc bez celu po mieszkaniu, poprawiając poduszki na kanapach i przestawiając przedmioty z miejsca na miejsce. Po następnych piętnastu minutach usłyszała stukanie do drzwi. Zatrzymała się w korytarzu, rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro. Poczowała narastający ucisk w żołądku, opanowała się jednak i otworzyła drzwi.

Nic nie wskazywało na to, że Michael przygotowywał się jakoś specjalnie na ten wieczór. Te same sprane, chociaż czyste dżinsy, beżowa koszula, buty mniej brudne niż zwykle, przenikliwe spojrzenie czarnych oczu...

Wyglądał niebezpiecznie pociągająco.

I przyniósł jej tulipana.

- Spóźniłem się trochę - powiedział i podał jej kwiat, zachwycając się jednocześnie jej wyglądem. - Pracowałem nad twoją twarzą.

- Co robiłeś?

- Pracowałem nad twoją twarzą - powtórzył. Ujął ją pod brodę i przez chwilę uważnie wpatrywał się w jej rysy.
- Znalazłem nareszcie odpowiedni kawałek różanego drewna. Nadaje się znakomicie... - Mówiąc, dotykał lekko poszczególnych fragmentów jej twarzy, zupełnie jakby je rzeźbił. - Mogę wejść dalej?

Sydney otrząsnęła się.

- Tak, tak... Bardzo proszę. Zaraz włożę kwiat do wody.

Michael wszedł do pokoju i rozejrzał się z aprobatą. Ładne, przytulne, pełne ciepła wnętrze. Spodziewał się raczej bogatego apartamentu, starannie zaprojektowanego przez dekoratora wnętrz. Tutaj *wszystko* nosiło cechy osobowości właścicielki: delikatne pastelowe barwy, dyskretny komfort. Podszedł do wysmukłej secesyjnej lampy, przez otwarte drzwi salonu dojrzał antyczne meble w gabinecie. Spozrzegł z przyjemnością, że jego rzeźbę ustawiono osobno na małym stoliku.

Sydney wróciła ze srebrnym wazonikiem w dłoni.

- Podziwiałem twój gust.
- Dziękuję. - Postawiła wazon na sekretarzyku.
- Secesja jest wspaniała - dotknął lekko wysmukłej lampy w kształcie kobiecej postaci.
- Ja też bardzo ją lubię, ma tyle wdzięku.

- Tak, i mocy.

Uśmiechnął się w sposób, którego nie zrozumiała, tak jakby był w posiadaniu niedostępnego sekretu, mającego jakiś związek z jej osobą.

- Jako artysta wiesz o sztuce więcej niż zwykły śmiertelnik. Napijesz się czegoś?

- Nie, nie piję, kiedy prowadzę.
- Prowadzisz?
- Tak. A co, nie lubisz niedzielnych kierowców?
- Ja... - Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czuła się lekko oszołomiona jego obecnością. Zaczęła bawić się bransoletką, zupełnie jak nastolatka na pierwszej randce. Zastanawiała się, jak też będzie z nim w samochodzie, sam na sam.
- Nie wiedziałam, że masz samochód - powiedziała wreszcie i ruszyła w stronę drzwi.

Uśmiechnął się. Przeszli do korytarza.

- Kupiłem go dawno temu, zanim jeszcze zacząłem sprzedawać moje rzeźby. Taki kaprys. W sumie więcej płaciłem za parking niż za sam samochód, no ale kaprysy zwykle są kosztowne.

Weszli do windy, zjechali do garaży.

- A ja lubię prowadzić - powiedziała Sydney - czuję się wtedy wolna, niezależna. W Europie wiele jeździłam sama, ale tutaj znacznie wygodniej mieć szofera. Nie traci się tyle czasu na szukanie parkingu. Rzadko więc zdarza mi się usiąść za kierownicą.

- Wyberzemy się kiedyś za miasto i dam ci poprowadzić.

Wizja wyprawy daleko w góry wydała się jej bardzo pociągająca, nie zareagowała jednak na to oświadczenie.

- Dostałam twoje sprawozdanie w piątek - powiedziała, żeby zmienić temat.

- Nie dzisiaj - wziął ją za rękę i poprowadził w stronę samochodu - nie mówmy o tym teraz. Sprawozdanie może poczekać do poniedziałku. - Podeszli do sportowego kabrioletu. - Nie będzie ci przeszkadzał wiatr? Mogę nie zaszuwać dachu.

Przez chwilę pomyślała o swoich rozpuszczonych włosach.

- Nie, będzie przyjemnie czuć podmuch na twarzy.

Wsiadli do samochodu. Michael ulokował jakoś swoje długie nogi, włożył słoneczne okulary i uruchomił silnik. Z radia popłynęła rockowa muzyka. Sydney odezwała się, dopiero kiedy mijali Central Park.

- Nie powiedziałaś, dokąd jedziemy.

- Znam jedno miejsce, gdzie można dobrze zjeść.

- Zerknął na jej drobną stopę, wybijającą podświadomie rytm muzyki. - Opowiedz *coś* o swoim pobycie w Europie.

- Nie mieszkalam w jednym miejscu, stale podróżowałam. Byłam w Paryżu, Saint Tropez, w Wenecji, Londynie, w Monte Carlo...

- Może ty też masz w sobie cygańską krew.

- Może - powiedziała i przyszło jej na myśl, że jej podróże po Europie nie miały w sobie nic romantycznego. Przemieszczała się po prostu z hotelu do hotelu, wiecznie zniecierpliwiona i goniąca za czymś, czego nie potrafiła określić. - Byłeś tam kiedyś? - spytała.

- Gdzie? W Europie? No tak, kiedy byłem mały. Ale chciałbym pojechać teraz, gdy jestem w stanie docenić to, co można zobaczyć. Obrazy, rzeźby, architektura, atmosfera... Powiedz, gdzie czułaś się najlepiej?

- Zdziwisz się. W pewnym małym francuskim miasteczku, gdzie ręcznie dojono krowy i wszędzie rosły winogrona. Można było usiąść na podwórku, napić się wina i słuchać, jak gruchają gołębie. - Przerwała, lekko zmieszana. - No, oczywiście był też Paryż - dodała pośpiesznie

- jedzenie, zakupy, opera, balet... Miałam dużo znajomych, stale gdzieś bywaliśmy.

Ale najlepiej czułaś się na podwórku, gdzie gruchały gołębie, Michael powtórzył w myślach jej słowa i uśmiechnął się do siebie.

~ Teraz ty powiedz o sobie - zażądała. - Czy myślałaś kiedyś, żeby odwiedzić Ukrainę?

- Często. Chciałbym zobaczyć miejsce, gdzie się urodziłem. Dom pewnie już nie istnieje, ale pagórki, na których się bawiłem jako dziecko, chyba zostały.

W jego okularach dostrzegła tylko własne odbicie, ale czuła, że jego oczy są smutne. Tak jak głos.

- Tyle rzeczy się zmieniło w ciągu ostatnich lat. Skończyła się zimna wojna, upadł mur berliński. Możesz przecież pojechać.

- Nieraz myślę, że tak zrobię, a nieraz wolę zostawić wszystko tak, jak jest w moich wspomnieniach. Po co mi ta konfrontacja? Jeszcze się rozczaruję. Kiedy stamtąd wyjeżdżaliśmy, byłem bardzo mały.

- Musiało być ciężko.

- Owszem, głównie rodzicom. Mieli wystarczająco dużo odwagi, żeby zostawić wszystko, co posiadali, a dać nam to, czego sami nigdy nie mieli: wolność.

Lekko dotknęła jego ręki. Matka opowiedziała jej historię ucieczki na Zachód, zupełnie jakby relacjonowała film przygodowy. Dla Sydney jednak nie był to film, lecz przerażająca rzeczywistość.

- Musiałeś bardzo się bać.

- Potwornie. Była zima. Nocami leżałem skulony, nie mogłem spać, bo byłem przemarznięty i głodny. A rodzice

rozmawiali, słyszałem wszystkie ich słowa. Pocieszali się wzajemnie, mówili, co będziemy robić następnego dnia. Długo trwała nasza tułaczka. Kiedy dobrnęliśmy wreszcie do Ameryki, ojciec zwyczajnie się rozpłakał. Zrozumiałem wtedy, że to kres naszej wędrówki. Odtąd nigdy się nie bałem.

Oczy Sydney zwilgotniały, odwróciła się i wystawiła twarz na podmuch wiatru, żeby je osuszyć.

- Tutaj też pewnie nie było ci łatwo, przynajmniej na początku. Obce miejsce, obcy język, nieznani ludzie...

Wzruszyło go przejęcie, z jakim to mówiła. Postanowił nie zasmucać jej więcej, przynajmniej nie teraz.

- Bez przesady. Młody organizm przyzwyczaja się do wszystkiego. Wystarczyło, że rozwaliłem nos pewnemu chłopakowi z sąsiedniego domu i zaraz poczułem się u siebie.

Roześmiała się, słysząc rozbawienie w jego głosie,

- I zaraz zostaliście najlepszymi przyjaciółmi, jak sądzę.

- Dwa lata temu byłem świadkiem na jego ślubie.

Odrzuciła głowę do tyłu. Rozejrzała się. Przejeżdżali przez most brookliński.

- Nie znalazłeś miejsca na Manhattanie?

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Nawet nie szukałem.

W pięć minut później dojechali do jednego z nowojorskich przedmieść. Mijali wysokie domy z czerwonej cegły, stare drzewa ocieniające podwórza i ogrody, przejeżdżali przez uliczki pełne bawiących się dzieci, rowerów i psów. Wreszcie przed jednym z domów Michael zahamował; sie-

dzący przed domem chłopcy wymieniali się właśnie kartami z wizerunkami graczy ligi baseballowej.

- Cześć, Mike! - Obaj rzucili się na niego, zanim zdążył wysiąść z samochodu. - Spóźniłeś się, skończyliśmy grać godzinę temu.

- Następnym razem zdążę na pewno - obiecał i spojrział na Sydney. Stała obok samochodu i ze zdumieniem przyglądała się ceglanej kamienicy. - Teraz jestem bardzo zajęty.

Chłopcy ze zrozumieniem pokiwali głowami.

- Jasna sprawa.

Michael roześmiał się, wziął Sydney za rękę i przeprowadził na drugą stronę ulicy.

- Nic nie rozumiem - powiedziała, przechodząc pod wielkim starym dębem - Czy to jest restauracja?

- Nie, to dom.

- Powiedziałaś przecież...

- Że zapraszam cię na obiad. - Pociągnął nosem. - Mama chyba piecze kurczaki, na pewno będzie ci smakowało.

- Mama? - Sydney zatrzymała się gwałtownie. - Przywiozłeś mnie do domu swoich rodziców?

- Tak, na sobotni obiad,

- Boże...

Uniósł brwi.

- Nie lubisz pieczonych kurczaków?

- Nie, to znaczy tak, nie chodzi o to, ja...

Z domu dobiegł ich męski głos.

- Spóźniłeś się, chodź już! Będziesz tak trzymał panią przed domem?

Michael spojrział jej w oczy..

- Ona nie chce wejść! - odkrzyknął.

- Nie, to nie o to chodzi - Sydney próbowała się tłumaczyć - nic mi nie mówiłeś... Zresztą nieważne. - Potrząsnęła głową i zrobiła desperacki krok do przodu.

Jurij na ich widok podniósł się z fotela.

- Dzień dobry panu, bardzo miło, że mnie państwo zaprosili - Sydney odezwała się uprzejmie.

Jurij mocno uściśnął podaną mu dłoń.

- Witaj, możesz mi mówić po imieniu.

- Dziękuję.

- Cieszymy się, że Michael ma dobry gust. Jego mama nie bardzo lubiła te wszystkie złotowłose tancerki.

- Bardzo dziękuję, tatusiu. - Michael objął Sydney ramieniem i spojrzał na ojca z wyrzutem. - Gdzie reszta rodziny?

- Mama i Rachel są w kuchni. Alex przyjdzie trochę później. Ma mnóstwo roboty z dziewczętami - wyjaśnił Sydney - zabiera mu to sporo czasu.

- Jurij, zapomniałeś wynieść śmieci. - Drobną kobietą o pięknych egzotycznych rysach wyszła z kuchni, niosąc srebrne sztuce w fartuchu.

Jurij poklepał syna po plecach z takim impetem, że Sydney aż podskoczyła.

- Czekałem na Michaela, żeby mnie wyręczył.

- A Michael będzie czekał, aż zrobi to Alex.

Kobieta rozłożyła sztuce na stoliku i podeszła do Sydney. Jej wielkie czarne oczy patrzyły na nią z uwagą i chyba z aprobatą.

- Nazywam się Nadia, jestem matką Michaela. - Podała jej dłoń. - Bardzo się cieszę, że pani przyszła.

- Dziękuję, mają państwo piękny dom.

Sydney powiedziała to automatycznie, nie zastanawiając się nad znaczeniem słów. Dopiero kiedy je usłyszała, zrozumiała, że mówi prawdę. Cały ich dom mógłby co prawda zmieścić się w jednym skrzydle posiadłości jej matki na Long Island, a meble były raczej stare niż antyczne, ale to nie miało znaczenia. Serwetki szydełkowej roboty pokrywały poręcze foteli, tak jak w mieszkaniu pani Wolburg. Splotały tapety na ścianach nadawały wnętrzu wygląd starej przytulnej siedziby. Słońce wchodzące przez okna podkreślało nieskazitelną czystość świeżo odkurzonej politur. Wszystko to razem wzięte, a przede wszystkim panująca tu atmosfera, jako żywo stanowiło dom, w tym szczególnym znaczeniu tego słowa. Piękny dom.

Kątem oka dostrzegła jakiś kształt pod jednym z krzesł. Po chwili wytoczyła się spod niego wielka kudłata kula.

- To Iwan - wyjaśnił Jurij, głaszcząc szczeniaka - jest jeszcze dzieckiem. Alex go przyniósł. Uratował ci życie, co mały? - Pogłaskał kudłatą sierść.

Pies niepewnie przyglądał się Sydney.

- Dzień dobry, Iwan ~ przemówiła do niego.

- Nazywa się Iwan Groźny, ale naprawdę jest tchórzem - poinformował Jurij.

- Po prostu jest nieśmiały - poprawiła go Sydney i przykucnęła obok psa. Zawsze chciała mieć jakieś zwierzę, ale w internatach ekskluzywnych szkół nie wolno było ich trzymać. - Jesteś prześlizgnięty... - powiedziała do Iwana czule. Pies natychmiast przestał się trząść i zaczął lizać jej palce.

Niegłupi szczeniak, przemknęło przez myśl Michaelowi, który z uśmiechem obserwował tę scenę.

- Jaka to rasa? - spytała Sydney.

- Pół wilk, pół niewiadomo co - sprecyzował Jurij.

- To rasa wielorasowa - odezwał się jakiś głos z kuchni i po chwili na progu pojawiła się smukła kobieta o kruczoczarnych włosach zebranych w kok. - Dzień dobry. Jestem Rachel, siostra Michaela ~ przedstawiła się - a ty pewnie jesteś Sydney.

- Tak, to ja, dzień dobry. - Sydney podeszła do niej, zastanawiając się w duchu, dlaczego wszyscy członkowie rodziny Stanisławskich są tak nieprawdopodobnie urodziwi.

- Obiad będzie za pięć minut - w aksamitnym głosie Rachel był cień obcego akcentu - Michael, możesz już nakrywać do stołu.

- Mam podobno wynieść śmieci - odparł tonem człowieka wybierającego mniejsze zło.

- To może ja nakryję - spontaniczna oferta Sydney spotkała się z ogólną aprobatą.

Właśnie kończyła ustawiać talerze, kiedy w drzwiach stanęła postać równie egzotyczna i malownicza, co reszta rodziny.

- Przepraszam, trochę się spóźniłem, ledwo zdążyłem, bo... - Młody mężczyzna przerwał w pół zdania na widok Sydney. - No, ale widzę, że warto było się pośpieszyć... Witaj.

- Dzień dobry - uśmiechnęła się w odpowiedzi, podniesiona na duchu podziwem widocznym w jego oczach, a on podszedł i pocałował jej dłoń.

- Chwileczkę, nie dotykać. - Michael wszedł między nich, zasłaniając sobą Sydney.

- Pragnę tylko podkreślić - oznajmił nowoprzybyły - że z nas dwóch ja jestem osoba bardziej ustabilizowaną, mam dobry zawód i jestem mniej zmienny.

Sydney roześmiała się szczerze.

- Wezmę to pod uwagę.

- Jest glina - wyjaśnił Michael krótko i klepnął brata w plecy. - Skoro wszyscy już są, siadajmy. Obiad na stole.

Sydney nigdy w życiu nie widziała takiej ilości jedzenia. Półmiski pełne pieczonych kurcząt obficie polane były masłem, góra kartofli i jarzyn z własnego ogrodu Nadii parowała kusząco, apetycznie pachniały stopy pasztecików i innych nie znanych jej dotąd przysmaków. Wszystko błyskawicznie zniknęło ze stołu. Piła wino i wódkę, a przede wszystkim przysłuchiwała się rozmowie.

Rachel i Alex dyskutowali zawzięcie o jakimś człowieku noszącym przedziwne imię Goose. Po pewnym czasie zorientowała się, że chodzi o złodzieja, którego Rachel broniła w pierwszym roku swojej adwokackiej kariery.

Jurij i Michael rozprawiali z kolei o ostatnich rozgrywkach baseballa. Sydney nie potrzebowała Nadii w roli tłumacza, żeby zrozumieć, że każdy z nich jest zwolennikiem innego klubu.

Wszyscy wymachiwali sztućcami, ukraiński mieszał się z angielskim, śmiano się i żartowano.

- Rachel jest niepoprawną idealistką - oświadczył Alex, gdy najwyraźniej nie udało mu się przekonać siostry do swoich racji. - A ty? - Spojrzał z uśmiechem na Sydney.

- Ja? Jestem na tyle rozsądna, żeby nie wtrącać się do rozmowy prawnika z policjantem.

- Dobrze powiedziane. - Nadia pokiwała głową z uznaniem i roześmiała się wesoło. Zaraz potem spoważniała.

- Michael powiedział nam, że kierujesz firmą, że jesteś mądra i że zachowujesz się przyzwoicie.

Tak bezpośrednie słowa zmieszały i zaskoczyły Sydney.

- Po prostu próbuję zachowywać się tak jak trzeba.

- Twoja firma była w niewesołej sytuacji w zeszłym tygodniu - Rachel sięgnęła po kieliszek z resztką wódki i dopiła ją jednym haustem - ale świetnie z tego wyszłaś. Wydaje mi się, że nie tylko próbujesz robić to co trzeba, ale że po prostu to robisz. A od jak dawna znacie się z Michaelem?

Nieoczekiwane pytanie ponownie wprowadziło ją w osłupienie. Przez chwilę milczała.

- Znamy się od niedawna - zdecydowała się w końcu odpowiedzieć. - Miesiąc temu wtargnął do mojego biura z taką miną, jakby chciał zamordować każdego Hay warda, który wpadnie w jego ręce.

- Nie przesadzaj, byłem uprzejmy - wtrącił się Michael.

- Byłeś wyjątkowo nieuprzejmy - zaprzeczyła, a spostrzegłszy, że Jurij świetnie się bawi, słuchając tej wymiany zdań, mówiła dalej: - nie dość, że nieuprzejmy, to jeszcze agresywny, prawie wściekły...

- To ostatnie ma po mamusi - zauważył Jurij - wścieka się o byle co.

Nadia pokręciła głową i spojrzała na męża sceptycznie.

- Raptem raz mi się zdarzyło rozbić na tobie doniczkę.

- Do dzisiaj mam bliznę, o tutaj - Jurij wskazał na swoje przedramię - po tym, jak mnie zdzieliłaś szczotką.
- Trzeba było nie mówić, że moja nowa suknia jest okropna.
- Bo była - westchnął. - A tu, o, mam jeszcze ślady...
- Przestań - Nadia uniosła się z godnością - nasz gość jeszcze sobie pomyśli, że jestem domowym tyranem.
- A nie jesteś?
- Skoro tak, to zarządzam sprzątanie stołu. Podajemy deser.

Kiedy wracali w stronę Manhattanu, w głowie Sydney wciąż rozbrzmiewał gwar rozmów w domu państwa Stanisławskich. Dotąd zawsze podczas proszonych obiadów nudziła się śmiertelnie. Tym razem było inaczej. Może dlatego że wypła sporo alkoholu... A może dlatego że wszystko było tak smaczne, zwłaszcza podany na deser kisiel z bitą śmietaną, którego zjadła dwie porcje... W każdym razie był to najprzyjemniejszy sobotni obiad w jej życiu.

- Czy to prawda, co mówił twój ojciec? Że matka potrafi czymś w niego rzucić?
 - Oczywiście, mnie też się kiedyś dostało. Pofrunął cały talerz spaghetti tylko dlatego, że coś tam jej odszczeknąłem.
- Sydney wybuchnęła śmiechem.
- Szkoda, że tego nie widziałam. Nie zdążyłaś się schylić?
 - Schyliłem się, ale za późno.
 - Nigdy w życiu niczym w nikogo nie rzuciłam - powiedziała rozmarzonym głosem, tak jakby rzucanie tale-

rzami było najbardziej romantyczną czynnością na świecie.

- To musi świetnie rozładowywać napięcie. Wiesz, oni wszyscy są naprawdę wspaniali - dodała po chwili - cała twoja rodzina. Musisz być z nimi bardzo szczęśliwy.

- Więc nie żałujesz, że nie pojechaliśmy na obiad do restauracji? To po co była ta komedia przed wejściem?

- Źle mnie osądzasz. Nie jestem snobem. Po prostu nie byłam przygotowana, trzeba mnie było uprzedzić.

- Zgodziłabyś się?

Wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. A właściwie to dlaczego mnie tam zabrałeś?

- Chciałem cię tam zobaczyć, a może chciałem, żebyś ty zobaczyła mnie właśnie tam.

- Nie rozumiem, jakie to może mieć znaczenie.

- Bardzo niewiele rozumiesz.

- Może rozumiałabym więcej, gdybyś wyrażał się jaśniej.

- Nie jestem zbyt mocny w słowach, ręce mam sprawniejsze - odparł i zahamował gwałtownie pod jej domem.

Zdjął okulary, jego oczy były bardzo czarne i bardzo niespokojne. Czy ona naprawdę nie zdaje sobie sprawy, jak te cholerne perfumy na niego działają? Jak działa na niego jej uśmiech, jej włosy rozwiewane przez wiatr?

Ten wieczór tylko wszystko skomplikował. Teraz, kiedy zaprowadził ją do domu, wszystko jest jeszcze trudniejsze niż było. Dlaczego? A dlatego że ujrzał w niej zupełnie inną osobę. Sztywność i oficjalny sposób bycia zniknęły bez śladu pod wpływem kilku serdecznych słów, kilku sekund prawdziwie rodzinnej atmosfery. A on się obawiał, że bę-

dzie się źle czuła w jego starym domu, wśród członków jego rodziny, że będzie wyniosła i pogardliwa...

Obawiał się? Czyżby? Po cóż więc tam ją zabierał? Czy nie dlatego właśnie, żeby przekonać się, że Sydney jest inna niż początkowo zakładał?

Tak, była inna. Śmiała się z dowcipów jego ojca, wesoło odpierała ataki Alexa, zmywała talerze z jego matką, a kiedy Rachel wypytywała ją o szczegóły wypadku pani Wolburg, czerwieniła się jak mała dziewczynka.

Do licha! Przecież chyba się w niej nie zakochał!

A teraz, kiedy zostali sam na sam, cały jej chłód i rezerwa powróciły. Jakby specjalnie na jego udrękę!

- Odprowadzę cię na górę. - Wysiadł za nią i zatrzasnął drzwiczki samochodu.

- Nie musisz - odparła sucho. Nie wiedziała, co zepsuło zakończenie wieczoru, ale czuła, że to jego wina.

- Odprowadzę cię - powtórzył.

- Dobrze.

Beż słowa weszli do windy. Kiedy ta zatrzymała się wreszcie na jej piętrze, Sydney wyjęła z torebki klucze.

- Bardzo mi się podobało w twoim domu - powiedziała tonem podziękowania - powtórz rodzicom, że bardzo im jestem wdzięczna za gościnność. - Zatrzymali się pod jej drzwiami. - Aha, i zadzwoń do mnie do biura w sprawie tego sprawozdania.

Michael przytrzymał otwarte drzwi.

- Poczekaj. Wejdę z tobą.

7

Sydney próbowała zamknąć drzwi, lecz on stanowczo przytrzymał je nogą i wślizgnął się za nią do środka.

- Chyba jest trochę za wcześnie na poranną kawę i za *późno* na popołudniową herbatę, nie uważasz?

- Nie zamierzam niczego pić - odparł Michael i zatrzasnął za sobą drzwi z takim impetem, że lustro na ścianie zadrżało.

Sydney poczuła znany ucisk w żołądku, krew odpłynęła jej z twarzy.

- Ktoś mógłby powiedzieć, że nie jesteś najlepiej wychowany. Wtargnąć tak bezceremonialnie do mieszkania samotnej kobiety...

- Jestem bardzo źle wychowany. - Wcisnął ręce do kieszeni i nie czekając na zaproszenie, wszedł do salonu.

- Współczuję twoim rodzicom. Musieli bardzo się starać, żeby nauczyć cię, jak się zachowywać. Niestety bez skutku.

Michael niewiele sobie robił z jej złośliwych uwag. Poruszał się jak tygrys wyruszający na łowy. Jak dzikie zwierzę wietrzące zdobycz.

- Naprawdę ci się podobali? - zapytał.



- Oczywiście, przecież ci mówiłam.
- Myślałem, że tak mówisz, bo jesteś dobrze wychowana.

Jeśli chciał sprawić jej przykrość tymi słowami, to trafił w dziesiątkę.

- Źle myślałeś, a teraz, skoro sobie wszystko już wyjaśniliśmy, możesz iść.

- Niczego nie wyjaśniliśmy, musisz mi jeszcze wytłumaczyć, dlaczego tak nagle się zmieniłaś. Jeszcze godzinę temu zachowywałaś się zupełnie inaczej. Co się stało?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Nie udawaj. U mojej rodziny byłaś bezpośrednia i serdeczna. Uśmiechałaś się, żartowałaś... Teraz zaś, gdy zostaliśmy sami, jesteś sztywna i odpychająca, wcale się nie uśmiechasz...

- Nic podobnego - skrzywiła usta w czymś, co właśnie miało być uśmiechem - widzisz, do ciebie też się uśmiecham. Jesteś zadowolony?

Jego oczy zaświeciły się niebezpiecznie.

- Od chwili kiedy po raz pierwszy wszedłem do twojego biura, ani przez chwilę nie jestem zadowolony. Męczę się, a nie lubię tego.

- Artysta musi cierpieć. A poza tym nie rozumiem, co akurat ja mogę mieć z tym wspólnego. Robię wszystko, czego żądasz. Każę wymieniać okna, podłogi, naprawiać instalację hydrauliczną.

- Instalację elektryczną - poprawił i uśmiechnął się wbrew sobie.

- Nieważne, robię, co chcesz. Masz pojęcie, ile rachunków już podpisałam?

- Wiem, ponad dwadzieścia, ale przecież wiesz, że chodzi nie o to.

Przyjrzała mu się z nagłym zainteresowaniem.

- Wiesz, że kiedy jesteś zdenerwowany, to śmiesznie przestawiasz wyrazy?

Jego oczy pociemniały.

- Wcale nie przestawiam.

- Powiedziałeś: „chodzi nie o to”, zamiast: „nie o to chodzi”. Tak brzmi lepiej. Robisz też inne błędy.

- Chciałbym usłyszeć, jak ty mówisz w moim języku. Odłożyła trzymaną w ręku torebkę na stolik.

- Bardzo proszę, głośno, Barysznikow...

Uśmiechnął się pogardliwie.

- Głośno to po rosyjsku, ja jestem Ukraińcem. Zawsze się mylicie, ale to nie szkodzi nic.

- To nic nie szkodzi - poprawiła go - a jeśli chodzi o język, to chyba niewielka różnica. Rosjanie i Ukraińcy są sąsiadami...

Zrobił krok do przodu, cofnęła się.

- Dyskusja na ten temat może być fascynująca, ale teraz nie mamy na nią czasu. - Zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę, a ona znowu cofnęła się instynktownie.

- Powiedziałam już, że dziękuję za miły wieczór, teraz więc... - zasłoniła się krzesłem - teraz więc... przestań się tak skradać!

- Nie skradam się, nie jestem myśliwym, a ty nie jesteś królikiem, lecz kobietą.

Cóż miała poradzić na to, że czuła się dokładnie tak jak królik, drżący i sparaliżowany strachem przed tym, co miało za chwilę nastąpić.

- Nie wiem, dlaczego tak się zachowujesz...
- Zawsze tak się zachowuję, kiedy cię widzę albo o tobie myślę...

Dzielił ich jeszcze stół. Sydney zatrzymała się. Za nią była już tylko ściana.

- Czego chcesz?
- Ciebie. Wiesz dobrze, że chcę tylko ciebie.

Serce podeszło jej do gardła, żołądek s'cisnął się boleśnie.

- Nieprawda - jej głos zdrzął - nieprawda, nie podoba mi się twoja gra.

- Moja gra? Jaka gra? Czy to ja raz jestem radosny i serdeczny, a zaraz potem chłodny i zły? To ja patrzę czule w oczy, by chwilę później odwrócić się ze wstrętem? Powiedziałem ci wprost, że nie interesuje mnie twoja matka tylko ty, a ty nazwałaś mnie kłamcą.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć i jak się zachować. Na wszelki wypadek starała się nie patrzeć w jego oczy. Była w nich bezwzględność i zdecydowanie. I coś jeszcze, coś, czego obawiała się najbardziej.

- Przedtem mnie nie chciałeś.
- Przedtem? To znaczy kiedy? Pragnąłem ciebie od początku.

- Przedtem, to znaczy wtedy, w samochodzie - przeknęła ślinę, zaczerwieniła się upokorzona - kiedy wracaliśmy od mojej matki. Byliśmy... - wbiła paznokcie w poręcz krzesła - zresztą nieważne.

Jednym susem znalazł się przy niej, złapał za rękę.

- Jak to, nieważne? Wszystko jest ważne. Dokończ, co chciałaś powiedzieć. Dokończ, słyszysz? Masz mi zaraz powiedzieć.

Sydney wahała się przez chwilę. Wreszcie postanowiła odrzucić resztki dumy i godności i wyznać mu prawdę. Trudno, najwyżej później będzie tego żałować.

- Bardzo proszę, wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze - odetchnęła głęboko, jakby chciała nabrać sił przed tym trudnym wyznaniem, po czym mówiła: - No więc tam, w samochodzie, zacząłeś... zacząłeś mnie całować. Nie prosiłam cię o to, nie zachęcałam, zrobiłeś *to* z własnej woli. A kiedy już to zrobiłeś, kiedy spróbowałeś, jak to smakuje, nagle przestałeś - zrobiła dramatyczną pauzę - przestałeś, bo poczułeś, że to nie to.

Michael przez chwilę stał jak sparaliżowany, nie mogąc wydobyć słowa. Potem jego twarz zmieniła się nagle. Wyrwał jej z rąk krzesło, którym przed nim się zasłaniała, i odrzucił je na bok. Kiedy poczuła na sobie jego silne ręce, przemknęło jej przez myśl, że i ją spotka zaraz los krzesła. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że znajduje się kilka centymetrów nad ziemią. Dobięły ją jego słowa, najpierw w tamtym, nieznanym języku, potem po angielsku.

- Idiotka, mała idiotka... Jak to możliwe, żeby tak inteligentna kobieta była tak głupia i niedomyślna?

- Czy sądzisz, że pozwolę się obrażać? - powiedziała niezadowolona, jednak on nie za bardzo się tym przejął.

- Na prawdę nie można się obrażać - powiedział. - Ktoś wreszcie musiał *ci to* kiedyś powiedzieć. I tak *od* kilku tygodni próbuję zachowywać się dla ciebie dżentelmenem.

- Jak dżentelmen - poprawiła go - „zachowywać się wobec ciebie jak dżentelmen”. Próbujesz, ale ci się nie udaje.

- Zaraz zobaczysz, co mi się naprawdę udaje. A za tamto w samochodzie bardzo cię przepraszam. Bałem się, że sobie pomyślisz, że jestem... - zająknął się - że jestem...

- Głupcem, beznadziejnym głupcem - dokończyła za niego.

- Nie, nie aż tak, już raczej facetem, który nadużywa sytuacji, który siłą zmusza do...

- Nie zmuszałeś mnie siłą. Za to teraz mógłbyś mnie puścić.

Zamiast spełnić jej prośbę, uniósł ją o kilka centymetrów wyżej.

- Żebyś znowu pomyślała, że mi się nie podobasz?

- Nie wysilaj się, nie jestem aż tak zakompleksiona.

- To dla mnie żaden wysiłek, wręcz przeciwnie, czysta przyjemność. A jeśli bardzo chcesz wiedzieć, to i wtedy, w samochodzie, nie kierowały mną żadne altruistyczne motywy. Byliśmy tak blisko, że choć szofer siedział tuż obok, miałem zamiar rozebrać cię i kochać się z tobą, nie zważając na nic - oznajmił żarliwie, nie bacząc na to, jakie wrażenie zrobi na niej tak bezpośrednie wyznanie. - Potem byłem wściekły na siebie, na ciebie zresztą też. Wściekałem się, bo za skarby nie mogłem o tym wszystkim zapomnieć, a przecież czułem, że powinienem. - Jego ręce zwolniły uchwyt, stały się teraz delikatne, wyraz twarzy Michaela również złagodniał. - Od tamtego dnia myślałem o tobie bez przerwy, każdej nocy, przypominałem sobie twój zapach, twoje oczy, twoje ciało. Bardzo ciebie pragnąłem, bardzo. Chciałem jeszcze choć raz ujrzeć na twojej twarzy ten sam wyraz, co wtedy. Nadal tego pragnę. I nie mogę dłużej czekać.

Poczuła na swoich wargach jego usta. Pocałował ją delikatnie, potem złożył kilka lekkich jak muśnięcie pocałunków na jej szyi. Dreszcz przebiegł przez ciało Sydney. Jej usta uchyliły się bezwiednie.

- Każ mi teraz odejść albo zostać - wyszeptał do jej ucha - zrób to, ale teraz, nie mogę dłużej czekać...

Objęła go za szyję. Nie, tym razem nie pozwoli mu odejść. Nie chciała myśleć, czy robi słusznie, zastanawiać się, jakie postępowanie byłoby najwłaściwsze. Wiedziała jedno - że bardziej niż czegokolwiek, pragnie w tej chwili, by znów mogła poczuć to, co czuła wtedy, gdy całował ją za pierwszym razem na tylnym siedzeniu limuzyny.

- Zostań - szepnęła - zostań... Chcę się z tobą kochać.

Znowu poczuła na sobie jego usta. Obejmujące ją ramiona parzyły niczym rozpalone żelazo. Stało się, pomyślała. Stało się wreszcie to, co podświadomie przeczuwała od początku. Stało się i było już za późno, żeby się wycofać.

Ogarnęła ją fala słodkiej, rozkosznej namiętności. Wbiła palce w jego plecy, czuła jak mocno bije jego serce i wiedziała, że bije tak dla niej. Pragnęła go coraz bardziej. Pragnęła go tak, jak nigdy nie pragnęła żadnego mężczyzny. Przyłgnęła do niego całą sobą. Jęknęła, kiedy delikatnymi dłońmi rzeźbiarza zaczął dotykać po kolei każdego skrawka jej ciała. Westchnęła, gdy rozpięta na plecach sukienka zsunęła się z szelestem na podłogę.

Próbowała zasłonić drobne piersi, lecz on delikatnie odciągnął jej dłonie. Nie dostrzegł niepokoju i niepewności w jej oczach, widział tylko, jak pięknie wygląda w ostat-

nich promieniach zachodzącego słońca, rozświetlającego pokój.

- Michael... - szepnęła - Sypialnia...

Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie niósł jej do łóżka rękach. Wydało jej się to niezwykle romantyczne. Dotknęła ustami jego szyi, pocałowała lekko. Widząc, że sprawia mi tym przyjemność, pocałowała jeszcze raz, zdumiona własną wprawą.

Gdy znaleźli się w sypialni, delikatnie położył ją na łóżku.

- Trzeba zasłonić okna?

Nie czekał na odpowiedź, Sydney zresztą nie była w stanie powiedzieć ani słowa. W świetle, do którego prowadził ją Michael, słowa były zbędne, nie było też w nim miejsca na wstyd ani na strach. Otworzyła ramiona i oddała mu się z błogim uśmiechem.

Nie przypuszczała, że namiętność może być tak potężna; że bliskość mężczyzny może dać jej tyle rozkoszy. Sprawne, mocne dłonie Michaela rzeźbiły jej ciało, a ona wiała się pod jego dotykiem i coraz bardziej traciła poczucie tego, gdzie jest i co się z nią dzieje.

On też zagubił się w niej, zapamiętał. Ciało Sydney pachniało jak kwiat i jak kwiat otwierało się przed nim. Stawała się coraz bardziej jego.

Pocałował jej piersi. Gładkie ciało Sydney wygięło się i naprężyło z rozkoszy. W jej pociemniałych nagle oczach dojrzał i lęk, i pożądanie. Jeszcze raz pocałował ją w to samo miejsce.

- Proszę cię... - usłyszał.

- To ja cię proszę, dla nas obojga...

Poczuł na sobie jej dłonie, poddał się im, czuł, że jeszcze chwila, a zdradzi mu, czego naprawdę pragnie. On też tego pragnął, do bólu, nie mógł już dłużej czekać.

Westchnęli razem i znieruchomieli na moment. Byli teraz jednym ciałem; jednym ciałem, poruszającym wspólnym oddechem i wspólnym odnalezionym wreszcie rytmem. Sydney słyszała, że Michael coś mówi, lecz nie mogła odróżnić słów. Rozumiała tylko, że oto połączyli się na zawsze i że już nigdy nie będą żyć oddzielnie. Że tak właśnie być musi.

Pokój pogrążony był w mroku. Uniosła się delikatnie i spojrzała na śpiącego obok Michaela. Cudownie było słyszeć jego oddech. Mogłaby tak leżeć godzinami i słuchać, jak miarowo wpuszcza i wypuszcza powietrze.

No właśnie. Może rzeczywiście upłynęło parę godzin, odkąd wtargnął do jej mieszkania? Czy to ma jednak jakieś znaczenie? - pomyślała. Ważne było przecież teraz tylko jedno: od chwili kiedy Michael przytrzymał nogą drzwi jej apartamentu, zmienił się świat i wszystko zaczęło wyglądać inaczej.

Poczuła się lekka i szczęśliwa. Uśmiechnęła się w ciemności i musnęła wargami jego włosy. Odwrócił twarz i pocałował ją w policzek.

- Nie spałeś?

- Nie, nie chcę spać, kiedy jesteś obok. - Dojrzała w mroku jego oczy, uśmiechnięte usta. - Szkoda czasu na sen - dodał. - Można lepiej go wykorzystać...

Sydney poczuła, że się czerwieni.

- Było mi... - zaczęła, zadowolona z panującej wokół ciemności. - Nie, najpierw ty. Czy było ci dobrze?

- Nie - poczuł, jak jej ciało sztywnieje, uśmiechnął się i dokończył: - nie można tego tak określić. Dobrze może być komuś, kto przespacerował się po parku. - Przytulił ją tak mocno, że nie mogła wykonać żadnego ruchu

- Myślałam tylko...

- Poczekaj. Może zapalimy światło na tę rozmowę?

~ Nie, lepiej nie...

- Chcę cię widzieć. Czuję, że za chwilę znów będziemy się kochać, i chciałbym przedtem na ciebie popatrzeć. - Dotknął ustami jej ust. - Sydney, nie rób tego - powiedziało.

- Czego?

- Znowu zaczynasz być spięta. Bardzo bym chciał, żebyś przy mnie była rozluźniona.

- Jestem - wzięła głęboki oddech, choć i on, i ona dobrze wiedzieli, że to nieprawda. - Chciałam po prostu wiedzieć, jak dobrze było ci ze mną. Ale zawsze kiedy cię o coś pytam, odpowiadasz wykrętnie.

Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Jak dobrze - powtórzył. ~ Może mam zastosować szkolną skalę? Czwórka - dobry, piątka - bardzo dobry, szóstka-celujący...

- Przestań. - Chciała odsunąć się od niego, lecz zacisnął mocniej ramiona i przytrzymał ją w uścisku.

- Jeszcze nie skończyłem, panno Hayward. Za chwilę odpowiem na pani pytanie - powiedział, po czym pocałował ją namiętnie. Całował cudownie długo, wreszcie przerwał i spytał: - Czy taka odpowiedź panią zadowala?

Spojrzała w jego czarne oczy.

~ Tak. - Przez chwilę panowała cisza. - Michael...?

- Mhm?
- Mnie też było cudownie.

Była nieziemsko piękna. Nie mógł wprost oderwać wzroku od leżącej obok uśpionej postaci. Połyskliwa aureola włosów otaczała jej śliczną delikatną twarz. Przypominała mu misterną figurkę z kości słoniowej. Ta niezwykła matowa biel, nieskazitelny kształt, łagodne rysy...

Kochać się z nią było czymś niezwykłym. Nigdy dotąd nie spotkał tak doskonałego połączenia nieśmiałości i namiętności. Była płochliwa jak dziewica i uwodzicielska jak syrena. Niepewna siebie i przez to jeszcze bardziej pociągająca.

Jaka jest naprawdę? Musi się tego dowiedzieć, teraz albo później. Raczej później. Teraz nie będzie jej o nic pytał, jest taka spokojna i bezbronna... Na jej widok ogarnęła go nagle wielka czułość.

Nie chciał jej budzić, ale wiedział, że żadna kobieta nie wybacza mężczyźnie, kiedy ten rano znika bez słowa.

Musnął wargami jej policzek.

- Sydney... - Uśmiechnęła się i rozchyliła usta. - Sydney, obudź się i pocałuj mnie na do widzenia.

Uniosła długie rzęsy.

- To... już rano? - Zobaczyła nad sobą jego ciemną od zarostu twarz. Uniosła rękę i pogładziła szorstki policzek. Tak dawno o tym marzyła. - Wiesz, masz niebezpieczną twarz. - Uniosła się na łokciu. - Jesteś już ubrany?

- Pomyślałem, że lepiej coś na siebie włożyć przed wyjściem do miasta.

- Wychodzisz?

KSIĘŻNICZKA I CZAROWNICA

Przysiadł na brzegu łóżka.

- Już prawie siódma. Zrobiłem sobie kawę i wziętei prysznic.

Pociągnęła nosem. Czuła zapach swojego mydła na jego skórze, z kuchni dochodziła woń kawy.

- Trzeba było mnie obudzić.

Ujął pukiel jej włosów i z uśmiechem owinał go sobie wokół palca.

- Nie spałaś całą noc. Nie miałem serca, by wrywać cię ze snu. Spotkamy się później. Przyjdiesz do mnie po pracy? Zrobię obiad.

Uśmiechnęła się radośnie.

- Jasne!

- I zostaniesz u mnie na całą noc?

Usiadła. Ich twarze znajdowały się teraz obok siebie.

- Tak.

- Bardzo dobrze, a teraz pocałuj mnie na pożegnanie.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, poczuła przez ubranie jego silne, cudownie umięśnione ciało. Zaczęła go całować, rozpinając mu jednocześnie koszulę.

- Sydney - złapał ją za ręce - spóźnię się przez ciebie.

- Świetny pomysł - uwolniła ręce - nic się nie martw, jakoś usprawiedliwię cię przed szefem.

Godzinę później tanecznym krokiem weszła do biura. W rękach trzymała ogromny bukiet kwiatów kupionych na ulicy, włosy miała rozpuszczone, powiewna żółta sukienka zgrabnie opływała jej ciało. Nuciała sobie coś wesoło pod nosem.

Janinę uniosła wzrok znad biurka. Słowa codziennego powitania zamarzyły jej na ustach.

- Ale pani cudownie wygląda! - wyrwało się jej zupełnie nieoficjalnie.

- Bardzo dziękuję, Janinę. Czuję się cudownie, a te kwiaty są dla ciebie.

Janinę zmieszana objęła oburącz bukiet.

- Dziękuję... ja bardzo, naprawdę dziękuję...

- O której mam pierwsze spotkanie?

- O wpół do dziewiątej. Przychodzą panowie Keller i Lowe podpisać ten kontrakt z New Jersey.

- W takim razie mamy chwilę czasu, żeby spokojnie porozmawiać. Chodźmy do mnie.

- Już idę. - Janinę sięgnęła po notatnik.

- To ci nie będzie potrzebne. - Przeszły do gabinetu, usiadły, po czym Sydney zapytała: - Od jak dawna *tu* pracujesz?

- W marcu minęło pięć lat.

Sydney uważnie przyjrzała się sekretarce. Janinę była przystojną, zadbaną kobietą, o inteligentnych szarych oczach, w których w tej chwili malowało się zdziwienie.

- Musiałaś być bardzo młoda, kiedy do nas przyszłaś.

- Tak, zaczęłam zaraz po szkole.

- Powiedz, lubisz swoją pracę?

- Nie bardzo rozumiem...

- Czy praca sekretarki zaspokaja twoje ambicje?

Zdumiona Janinę zastanawiała się przez chwilę.

- Mam nadzieję, że z czasem awansuję, ale bardzo lubię z panią pracować, panno Hayward.

- Masz spore doświadczenie, pracujesz w tej firmie znacznie dłużej ode mnie. Dlaczego lubisz ze mną pracować?

- Dlaczego? - powtórzyła sekretarka z namysłem. - Pracować dla prezesa takiej firmy to duża satysfakcja i uważam, że robię to nieźle.

- Też tak uważam. - Sydney wstała od biurka. - Wiesz, szczerze mówiąc, mam pełną świadomość faktu, że wszyscy oczekiwali, że nie zabawię w tym fotelu dłużej niż miesiąc, a i ten czas spędzę na malowaniu paznokci i rozmawianiu z przyjaciółkami przez telefon. - Słyszac te słowa, Janinę zaczerwieniła się, potwierdzając tym samym jej przypuszczenia. - Przydzielili mi zdolną sekretarkę - mówiła dalej Sydney - a nie dyrektora, kierownika działu czy innego specjalistę, bo sądzili, że nie będzie mi potrzebny. Tak było, prawda?

- To było polecenie służbowe - Janinę wyprostowała się - zgodziłam się zostać pani asystentką, bo liczyłam na późniejszy awans, no i podwyżkę- wyznała szczerze.

- Postąpiłaś bardzo słusznie, korzystając z nadarzającej się okazji. Jesteś bardzo dobra, jestem z ciebie zadowolona. Przychodzisz do pracy przede mną, a wychodzisz znacznie później niż ja. Kiedy o coś pytam, odpowiadasz w sposób wyczerpujący, a kiedy polecam ci coś zrobić, wykonujesz to natychmiast.

- Tylko taka praca ma sens, jak sądzę.

Sydney uśmiechnęła się w duchu, właśnie to pragnęła usłyszeć.

- W zeszłym tygodniu, kiedy ważyły się moje losy, stanęłaś po mojej stronie, ryzykując, że obie przegramy.

Postawiłaś swoją karierę na jedną kartę, choć wiedziałaś, że przeciwnik jest silny...

- Pracuję dla pani, nie dla pana Bingham, zresztą uważałam, że to pani ma rację.

- Cenię sobie lojalność. Ale poza tym uważam, że zdolności nie należy marnować. Te kwiaty to podziękowanie za to, co dla mnie zrobiłaś.

Twarz Janinę rozjaśnił uśmiech. Wyraźnie się odprężyła.

- Bardzo pani dziękuję.

- Nie ma za co. A dlatego że podjęłaś słuszną decyzję we właściwym momencie, przenoszę cię na stanowisko kierownika działu, ze wszystkimi finansowymi konsekwencjami tego awansu.

- Słucham? - Janinę otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Mam nadzieję, że wyrazisz zgodę. Potrzebny mi ktoś, komu będę mogła zaufać, kogo szanuję i kto zna się na wszystkim. Więc jak? Zgoda?

- Panno Hayward...

- Sydney - wyciągnęła do dziewczyny rękę - od dziś będziemy sobie mówić po imieniu.

Janinę uśmiechnęła się przejęta.

- Mam nadzieję, że to nie sen...

- Nie, to jawa, a na dowód tego proszę, żebyś mi zaraz zorganizowała spotkanie z Lloydem. Zwróć się do niego w trybie pilnym i zawiadom go, że czekam na niego w biurze dzisiaj pod koniec urzędowania.

Lloyd spóźnił się piętnaście minut, lecz Sydney już wcześniej postanowiła uzbroić się w cierpliwość, nie była

więc zdenerwowana jego brakiem punktualności. W ten sposób dawał jej zresztą dodatkową okazję do upewnienia się, że działa racjonalnie, a nie pod wpływem impulsu.

Kiedy wreszcie Janinę wprowadziła go do gabinetu, Sydney była spokojna i pewna siebie.

- Wybrałaś sobie niezbyt dobry dzień na rozmowy, mam strasznie dużo zajęć - zaczął.

- Trudno. Usiądź, proszę. - Wskazała fotel. Lloyd usiadł i sięgnął po papierosa. - Nie zabiorę ci dużo czasu. Załatwimy sprawę błyskawicznie.

Przyjrzał się jej zza zasłony dymu.

- Masz jakieś kłopoty?

- Nie - uśmiechnęła się chłodno - nie mam żadnych prócz jednego, a ten postanowiłam rozwiązać właśnie teraz.

- Zastanów się dobrze, zanim zaczniesz wprowadzać jakiegokolwiek zmiany. - Założył nogę na nogę. - Czy jesteś pewna, że zostaniesz tu wystarczająco długo, żeby warto było aż tak się angażować?

- Zaryzykuję, a ciebie proszę, żebyś jeszcze dzisiaj przygotował swoją dymisję. Na piśmie.

Lloyd aż podskoczył na krześle.

- Co takiego?

- Masz się podać do dymisji, albo sama cię zwolnię. Rób, jak uważasz.

Rozgniół papierosa w popielniczce.

- O co ci chodzi? I co ty sobie właściwie wyobrażasz? Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, z kim rozmawiasz? Jesteś tu od trzech miesięcy, a ja pracuję dla Haywarda dwadzieścia lat!

- To teraz bez znaczenia. Hayward to ja, a ja nie znoszę braku lojalności. Żaden z moich podwładnych nie będzie podważał mojej pozycji i działał na szkodę firmy. Czy wyrażam się jasno? Powinieneś złożyć dymisję we własnym interesie.

- Nie ma mowy.

- Trudno. Zwołam posiedzenie rady i opowiem wszystkim, jak się sprawy mają. - Przez chwilę znacząco milczała. - Chyba masz świadomość, że nagłośnienie sprawy pani Wolburg zaszkodziło nie tylko mnie, ale przede wszystkim firmie. Zagroziło jej żywotnym interesom. Jako pracownik firmy naraziłeś ją na ewentualność kolosalnych strat, kierując się jedynie osobistymi emocjami i uprzedzeniami. Zachowałeś się w najwyższym stopniu nieodpowiedzialnie.

Wyraz jego twarzy uświadomił jej, że ten strzał był celny.

- Niczego mi nie możesz dowieść.

- Naprawdę tak myślisz? - powiedziała z miną osoby mającej biurko pełne dowodów. - Powtarzam, albo pełna lojalność, albo rezygnacja, a że w twoim przypadku o tym pierwszym nie może być mowy...

- Poczekaj! - zaperzył się Lloyd. - Któregoś dnia to ja zasiądę za tym biurkiem, a ty wrócisz do Europy i dalej będziesz się uganiać po sklepach!

- Wiesz dobrze, że nigdy nie zasiądziesz za tym biurkiem. Dopilnuję tego osobiście. Zbyt dużo złego mógłbyś zrobić firmie. Mam dowody na szkodliwość twojej działalności. Na następnym zebraniu rady przedstawię wszystkie sprawy, których nie załatwiłeś, listy, na które nie odpowie-

działałeś, zażalenia, które zlekceważyłeś. Liczę na przychylność i zainteresowanie członków rady. Ostatnimi czasy zdobyłam sobie ich zaufanie.

Zacisnął dłonie. Wyglądał tak, jakby miał ochotę ją udusić.

- Chyba zwariowałaś. Czy sądzisz, że skoro twój zdziecinniały dziadek posadził cię na tym miejscu, to możesz pozwalać sobie na wszystko? Wybije ci to z głowy!

- Bardzo proszę, spróbuj. Tylko pamiętaj, że jeśli przegrasz tę rundę, będzie ci bardzo trudno znaleźć nową pracę. Zastanów się, masz dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji.

- Jeszcze o mnie usłyszysz! - Lloyd nie dbał już o konwenanse.

Sydney wstała, pochyliła się nad biurkiem.

- To wszystko. Wiesz, gdzie są drzwi.

- Jeszcze się policzymy! - zagroził ponownie i ciężkim krokiem ruszył w stronę wyjścia. Po chwili trzasnęły zamknięte drzwi.

Sydney usiadła i odetchnęła głęboko. Nie potrzebowała już drzeć papieru, żeby się opanować. Była absolutnie spokojna i czuła się świetnie.

8

Michael wrzucił mięso, pomidory i przyprawy do rondla i wyrzucił przez kuchenne okno na ulicę. Potem włożył łyżkę do garnka, posmakował, dolał czerwonego wina i przykrył rondel pokrywą. Z salonu dobiegały radosne dźwięki „Wesela Figara”.

Nie mógł się doczekać przyjścia Sydney.

Zmniejszył gaz i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Wziął do ręki kawałek różanego drewna, nad którym pracował *od* kilku dni. Próbował wyrzeźbić jej głowę. Wyraźnie widać już było delikatny zarys ust. Dotknął ich ręką. Przypomniał sobie ich smak. Smak malinowego ciastka i chłodnego białego wina. Niezwykły, podniecający smak.

Przed oczami stanął mu arystokratyczny, wytworny owal twarzy Sydney. Dumny zarys podbródka, oczy patrzące z łagodną czułością i zaraz potem chmurne, odpychające. .. Aksamitna, brzoskwiniowa cera.

Oczy. Najtrudniej będzie oddać wyraz oczu. Nie chodzi o ich wykrój, tylko o tajemnicę, którą w sobie kryją. Żeby ta rzeźba się udała, musi się jeszcze o Sydney dużo dowiedzieć.

Uważnie przyjrzał się ledwo zarysowanej twarzy. Co się w tobie kryje, powiedz - zdawał się mówić do kawałka drewna, który dopiero zaczynał być prawdziwą Sydney.

Stukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia.

- Otwarte - rzucił, nie odchodząc od stołu.

- Cześć, Mike! - Do pokoju wtargnęła błyskawica w postaci dziewczyny odzianej w wielobarwną koszulkę i jaskrawe szorty. - Masz coś zimnego do picia? Moja lodówka wykitowała na amen.

- Weź sobie - powiedział nieobecny głosem - załatwię ci nową.

- Jesteś nadzwyczajny! - Zajrzała do kuchni, wsadziła nos do garnka. - Całkiem nieźle pachnie - spróbowała - i nieźle smakuje. Ale chyba trochę za dużo tego jak na jedną osobę.

- Bo to dla dwóch.

- Och, przepraszam - sięgnęła do lodówki - ale dla dwóch też za dużo - zawyrokowała i ponownie zajrzała do garnka.

Michael odwrócił wzrok od rozpoczętej rzeźby.

- W porządku. Weź sobie trochę, tylko musisz jeszcze potrzymać to na ogniu.

- Serdeczne dzięki. - Keely wyjęła z kredensu małą miseczkę. - Kim jest ta szczęściara?

- Sydney Hayward.

- Sydney... - ze zdumienia upuściła łyżkę - Sydney Hayward? Masz na myśli tę bogatą pannę, co nosi na co dzień jedwabne sukienki i torebkę za sześćset dolarów? Widziałam taką na wystawie... Ona ma przyjść tu na kolację? Właśnie tutaj? Siedzieć, jeść, gadać, i tak dalej...?

Zwłaszcza to ostatnie, pomyślał Michael i uśmiechnął się pod nosem.

- Tak.

- Aha - powiedziała Keely niepewnym tonem, najwyraźniej niezbyt zadowolona z tej odpowiedzi.

Bała się o niego. Bała się, że ta księżniczka wystawi go do wiatru. Bogacze są zupełnie inni. Mają swój własny świat, który niełatwo zrozumieć. A Sydney jest bardzo bogata. Michael *może i* zarobił jakieś pieniądze na tych swoich figurkach, ale on to co innego. On jest taki jak ona, po prostu Mike, sąsiad i dobry kumpel, *co to* zreperuje cieknący kran, a jak trzeba zabije pająka.

Z miseczką w rękę podeszła do niego i przyjrzała się jego ostatniej pracy. Cholera, dałaby wszystko, żeby mieć taką twarz.

- Podoba ci się? - zapytał.

- Zawsze mi się podobają twoje rzeźby. - Stała obok niego, przestępując z nogi na nogę. Nie podobał jej się wzrok, jakim patrzył na ten kawałek drewna. - Wygląda mi na to, że łączysz was coś więcej niż prace remontowe.

- Owszem - odparł, a Keely zmarkotniała. - Masz coś przeciwko temu?

- Nie, to znaczy... - przygryzła wargi - Mike, na litość Boską, przecież ona należy do zupełnie innego świata!

Uśmiechnął się tylko.

- Martwisz się o mnie? - Pogłaskał ją *po* włosach.

- Czy to dziwne? Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Nie mogę stać i patrzeć, jak krzywdzą mojego przyjaciela.

Pocałował ją w czubek nosa.

- Boisz się, że spotka mnie to, co spotkało ciebie?

Wzruszyła ramionami.

- Ja nie byłam zakochana w tym chudzielcu, no, może troszkę...

- Ale płakałaś przez niego.

- W ogóle jestem mazgaj, płaczę nawet wtedy, gdy czytam kartki świąteczne. - Raz jeszcze spojrzała na nieukończoną rzeźbę. - O rany, kobieta, która tak wygląda, może mężczyznę doprowadzić do wszystkiego. Przez taką to... no, nie wiem, może nawet... wstąpić do Legii Cudzoziemskiej.

Michael wybuchnął śmiechem.

- Nie bój się, napiszę do ciebie z koszarów.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Michael poklepał dziewczynę po ramieniu i poszedł otworzyć.

- To ja. - Twarz Sydney rozjaśniła się na jego widok. W jednej ręce miała dużą torbę, w drugiej butelkę szampaña. - Cudownie pachnie, już od trzeciego piętra czułam... - zaczęła i umilkła na widok Keely, stojącej z miseczką w dłoni na progu kuchni. - Dzień dobry - powiedziała, siłąc się na swobodny ton i próbując sobie wmówić, że niepotrzebnie przejmuję się tym, że sąsiadka Michaela widzi ją z podrózną torbą w ręku.

- Cześć, właśnie wychodziłam... - Keely też była zmieszana.

- Miło cię znowu widzieć. Jak się udała ta scena z duszeniem?

- Poszło zupełnie gładko - Keely uśmiechnęła się smutno. - No nic, idę już, smacznego, dziękuję ci, Mike.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Sydney wzięła głęboki oddech.

- Czy ona zawsze tak szybko się porusza?
 - Prawie zawsze. - Michael położył ręce na jej biodrach. - A poza tym boi się, że mnie uwiedziesz, wykorzystasz i porzucisz. - Pocałował ją w usta. - Jeśli o to chodzi, to nie mam nic przeciwko temu pierwszemu i drugiemu.
 - Wyjął jej z ręki torbę i butelkę, zatrzasnął drzwi nogą.
 - Masz piękną sukienkę, wyglądasz jak róża o wschodzie słońca.

Sydney objęła go za szyję.

- Lubię, kiedy na mnie patrzysz.

Dotknął wargami jej szyi.

- Jesteś głodna?

- Jak wilk, nie jadłam lunchu.

- Za dziesięć minut będzie gotowe - powiedział i wypuścił ją z objęć. Gdyby się nie odsunął, kolacja opóźniłaby się zapewne jeszcze bardziej. - Pokaż, co dla nas kupiłaś. - Obejrzał butelkę, - Oho, za dobre do mojego gulaszu.

Sydney pociągnęła nosem.

- Nie sędzę - powiedziała i roześmiała się wesoło. - Musimy dziś coś uczcić, miałam bardzo dobry dzień.

- Opowiesz mi?

- Tak.

- Poczekaj, wezmę szklanki.

Była naprawdę zachwycona. Michael nakrył do kolacji na balkonie. Na środku małego stolika stała czerwona peonia w butelce z grubego zielonego szkła i chleb w wiklinowym koszyku. Dobiegająca z radia muzyka zagłuszała uliczny hałas.

Kiedy skończyli jeść, opowiedziała mu o nominacji Janinę i rozprawie z Lloydem.

- Dlaczego go od razu nie wywaliłaś? - zapytał.

Uniosła szklanę z winem i popatrzyła przez nią na zachodzące słońce.

- To nie takie proste, a rezultat taki sam. Gdyby nie chciał odejść, przedstawię radzie dokumenty na piśmie. Mój dziadek na przykład wielokrotnie polecał mu załatwić sprawę waszego domu, no i sam wiesz, jak Lloyd na to reagował. Takich spraw jest zresztą wiele...

- W takim razie powinienem raczej mu podziękować - pocałował ją we włosy - bo gdyby był uczciwy i dobrze pracował, nie musiałbym odwiedzać twojego biura i nie siedziałabyś teraz ze mną. Może trzeba było dać mu podwyżkę?

Sydney uśmiechnęła się i pocałowała wewnątrz jego ręki, myśląc o tym, z jaką łatwością okazuje ostatnio swoje uczucia. Michael tymczasem mówił dalej:

- Ale tak naprawdę to nie zasługa Lloyd'a, to los tak chciał. Swoją drogą nie wyobrażam sobie, jak ktoś może chcieć wyrządzić ci krzywdę.

- Wiem, że to on podał do prasy wiadomość o wypadku pani Wolburg. - Przez chwilę milczała, bawiąc się kawałkiem chleba. - Tak bardzo mnie nienawidzi, że nie wahał się zaszkodzić interesom firmy. Nie mogę tego tolerować, rada też nie.

- Doprowadzisz sprawę do końca?

- Tak.

Przed sobą miała balkony sąsiedniego domu, wszystkie pełne suszącej się bielizny. Z podwórka dobiegały głosy

bawiących się dzieci, przez otwarte okna widać było ludzi siedzących przed telewizorami. W tym nowym dla niej świecie czuła się wyjątkowo dobrze. Michael, widząc łagodny uśmiech na jej twarzy, ujął dłoń Sydney, a ona pogłaskała go delikatnie.

- Dzisiaj - powiedziała powoli, w zamyśleniu - po raz pierwszy czułam, że naprawdę coś ode mnie zależy. Zawsze dotąd robiłam tylko *to*, czego ode mnie oczekiwano, albo co wypadało zrobić... - Potrząsnęła gwałtownie głową. - Zresztą, to nieważne. Ważne jest to, że przez te kilka miesięcy zrozumiałam, że sprawowanie władzy nakłada na człowieka ogromną odpowiedzialność. Mam tego pełną świadomość. Nie wiem, czy- rozumiesz, jak się teraz czuję.

- Przecież widzę. Mam przed sobą kobietę, która zaczyna w sobie wierzyć i robić to, co powinna. A tak nawiasem mówiąc, to chyba powinnaś teraz zająć się mną.

Zwróciła ku niemu twarz. W jego czarnych oczach zobaczyła znajomy wyraz. Dostrzegła też coś więcej, coś, co ją przestraszyło. On jednak nie zostawił jej chwili na wahanie. Ujął jej głowę i całując włosy, szeptał coś w niezrozumiałym dla niej języku.

- Chyba będę musiała sobie sprawić słownik.

- Nie trzeba. To bardzo łatwe - powiedział, całując ją znowu.

- Może dla ciebie. A co to znaczy?

~ Kocham cię.

Pocałował ją po raz kolejny. Tym razem śmieiej i natarczywiej niż dotychczas. W jej oczach zobaczył obawę, a nawet więcej - wyraźny lęk.

- Michael...

- Dlaczego się przestraszyłaś? Przecież to nic złego.

- Nie byłam przygotowana. - Odsunęła się lekko.

Spojrzał na nią i też się odsunął.

- A czego się spodziewałaś?

- Myślałam, że ty - zawahała się - że ty...

- Że chodzi mi tylko o twoje ciało? - dokończył za nią. Zawiodła go. Myślał, że ta dziewczyna rozumie znacznie więcej. - Pragnałem ciebie, to oczywiste - wyjaśnił - ale nie chodziło tylko o seks. Czy ta noc dla ciebie znaczyła tylko tyle?

- Było cudownie - powiedziała pośpiesznie, choć wiedziała, że nie jest to odpowiedź na jego pytanie.

Michael oczywiście nie był zachwycony jej słowami. Jego twarz stężała z gniewu.

- Łóżko to miłe miejsce - zaczął ironicznym tonem i uniósł szklanę. Miał ochotę roztrzaskać ją o kamienną podłogę balkonu, ale się opanował. - To miłe miejsce - powtórzył - ale łóżko to nie wszystko. Oprócz ciała jest jeszcze serce, prawda? Serce potrzebuje miłości, a to, co było między nami zeszłej nocy, to właśnie była miłość.

Sydney stała bez ruchu, zmieszana i niezdolna do jakiegokolwiek sensownego słowa czy gestu.

- Nie wiem, nigdy dotąd nie było mi tak dobrze...

Spojrzał na nią przez szkło szklanki. Patrzyła bezradnie jak dziecko. Nie, nie mógł być na nią zły. Musiał jej pomóc zrozumieć samą siebie.

- Przecież nie byłaś dziewicą, miałaś męża.

- Tak, miałam - • powiedziała z wysiłkiem - ale nie chcę o tym teraz mówić. Nie wiem też, czy to, że było nam razem tak dobrze, to wystarczający dowód, że wydarzyło

się coś więcej, niż skłonna byłam przypuszczać. Naprawdę wolałabym teraz tego wszystkiego nie analizować.

- Nie chcesz wiedzieć, co naprawdę czujesz? Jak możesz żyć, nie rozumiejąc, co się z tobą dzieje?

- Po prostu inaczej wszystko odbieram. Ty z łatwością rozpoznajesz swoje uczucia i rozumiesz swoje reakcje. Działasz i widzisz bezpośrednie efekty tego, co robisz, a ze mną jest inaczej. We mnie wszystko jest ulotne, nieokreślone. Po prostu potrzebuję czasu.

Uśmiechnął się smutno.

- Myślisz, że jestem taki cierpliwy?

- Nie.

- W takim razie zdajesz sobie sprawę, że czasu masz niewiele? - Westchnął ciężko i zaczął zbierać naczynia ze stołu. - Czy twój mąż zrobił coś, co cię zraniło?

- Nieudane małżeństwo zawsze rani, ale nie mówmy teraz o tym, proszę.

- Dobrze. Tym razem ci daruję - przez chwilę patrzył w ciemniejące niebo - dzisiaj chcę, żebyś myślała tylko o mnie.

Kocha mnie, pomyślała Sydney, zbierając ze stołu naczynia i niosąc je za Michaeliem do kuchni. Kocha. Powiedział to, czyli tak jest. Michael nie kłamie. Trudno tylko zrozumieć, jakie znaczenie mają dla niego te słowa.

Dla niej miłość to było coś dziwnego i nieznanego, coś, co przytrafia się innym. Ojciec kochał ją, oczywiście, kochał ją w swój dziwny, trudny do określenia sposób, ale to było dawno. Potem rodzice rozwiedli się i widywała go bardzo rzadko.

Z matką było inaczej. Nie wątpiła, że Margerite również

ją kocha, wiedziała jednak, że ma zbyt mało czasu, żeby to okazywać. Był również Peter... I było między nimi coś ważnego, dobrego, wielkiego, coś, co przepadło, gdy spróbowali zostać małżeństwem.

Michael ofiarowywał jej zupełnie inną miłość. Wyczuwała to i bała się; była bardzo szczęśliwa, a jednocześnie pełna obaw.

- Gniewasz się? - spytała nieśmiało i stanęła za jego plecami. Zmywał teraz naczynia w kuchni i odwrócony był do niej tyłem.

- Trochę, ale przede wszystkim jestem zdziwiony - udało mu się uniknąć słowa „zraniony”, chociaż w tej sytuacji pasowałoby znacznie lepiej. - Przecież powinnaś się cieszyć, że ktoś cię kocha.

- Cieszę się, ale to nie jest jedyne uczucie. Równocześnie boję się, że zbyt ni pośpiech może zepsuć to, co się dopiero zaczyna. - Postanowiła mówić prawdę, Michael zasługiwał na nią. - Widzisz, cały dzień cieszyłam się, że tu przyjdę, że będziemy rozmawiać, że będziesz na mnie patrzył, że mnie pocałujesz... - Odstawiła na bok wytarty talerz, który przed chwilą jej podał. - Boże, dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Bo sama nie wiesz, że już mnie kochasz. Trudno - pokręcił głową - z czasem to zrozumiesz.

- Jesteś bardzo pewny siebie, sama nie wiem, czy to lubię, czy nie.

- Lubisz, bo to dla ciebie wyzwanie. Zmusza cię do działania.

- Pewnie sobie wyobrażasz, że bardzo mi pochlebia to, że mnie kochasz.

- Oczywiście, a co, nie jest tak?

Przez chwilę stała zamyślona.

- W pewnym sensie tak, to leży w ludzkiej naturze, a ty jesteś... - Przez chwilę szukała słowa.

- Jaki jestem?

Spojrzała w jego czarne oczy.

- Jesteś cudowny.

- Co takiego? - Michael oparł się zdumiony o brzeg zlewu. Zaskoczyła go tym tak śmiałym jak na nią wyznaniem.

Wyjęła mu z ręki mokrą filizankę.

- Nie wiesz, co odpowiedzieć, nie wiesz, co odpowiedzieć... - zanuciła jak mała dziewczynka.

- Przestań. - Odsunął jej rękę. - Nie wiem, bo nigdy nie słyszałem, żeby ktoś o mnie...

- Ale to prawda, jesteś cudowny. - Zarzuciła mu rękę na szyję. - Kiedy cię zobaczyłam po raz pierwszy, myślałam, że jesteś piratem, taki ciemny, ponury... A może to te twoje oczy, czarne, niebezpieczne...

Poczuła nagle jego rękę na swoich biodrach.

- Czuję, że rzeczywiście robię się niebezpieczny.

- A może to te usta, tak to mogą być usta... - Pocałowała przelotnie jego wargi, lekko wysuwając język.

- Próbujesz mnie uwieść...

Pomału zaczęła rozpinać guziki jego koszuli.

- Ktoś kiedyś musi... A masz takie cudowne ciało - ciągnęła dalej, starając się nie wypaść z roli. - Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam bez koszuli, myślałam, że zemdleję. Taka gładka skóra, takie mięśnie... - pomału zaczynała się wciągać we własną grę - jesteś wspaniały, tak dobrze

jest cię dotykać... - Przesunęła dłonie niżej, obejmuj; teraz jego plecy. Poczuła nagłą suchość w gardle, zamilkła.

- Czy wiesz, co teraz czuję? - Michael zaczął rozpinąć jej sukienkę. Jego ręce drżały. - Czy wiesz, jak bardzo cię pragnę?

-- Pokaż mi.

Natychmiast spełnił jej prośbę. Poczuła na sobie jego usta, silne ramiona uniosły ją w górę. Jednym ruchem zrzuciła buty. Poczuła się nagle lekka i wolna, jakby ten gest uwolnił ją od wszystkiego, co przykre i uciążliwe. Wymówiła jego imię i usłyszała swoje. Gdzieś w oddali rozległ się dźwięk grzmotu.

Tym razem wszystko było tak samo, a jednocześnie zupełnie inaczej niż poprzednio. Sydney wiedziała, czego pragnie, i niespiesznie, konsekwentnie dążyła, by to pragnienie zaspokoić.

Burza za oknem rozszalała się na dobre. Raz po raz rozlegał się głos grzmotu, błyskawice przecinały granatowe niebo. Ich dwoje natomiast znajdowało się poza czasem i przestrzenią. Niewielki pokój był wyspą, całkowicie wyłączoną spod praw rządzących światem. Objęli się rozpaczliwie i zachłannie, po czym razem runęli w przepaść.

Deszcz padał przez cały następny dzień, a burza uspokoiła się dopiero po południu. Sydney prowadziła właśnie telefoniczną konferencję z jednym z kontrahentów. Przygotowywała się do niej cały ranek, mogła więc teraz czuć się pewnie i całkowicie panować nad sytuacją. Rozmowa przebiegła całkowicie zgodnie z jej planem i w tej chwili była już bliska pomyślnego końca.

- Owszem, panie Bernstein - mówiła do mikrofonu - ja również uważam, że korzyści będą obopólne.

Zaczekała, aż Bernstein porozumie się z adwokatem i ze współnikiem. Po chwili z głośnika aparatu dobiegł ją głos rozmówcy:

- Zatem zgoda. Prześlemy pani odpowiedni faks o piątej czasu miejscowego.

Sydney uśmiechnęła się do siebie.

- Bardzo dziękuję, nasza firma bardzo sobie ceni sprawność, z jaką panowie działacie. Jeszcze raz dziękuję i do widzenia. - Wyłączyła mikrofon i spojrzała pytająco na Janinę. - Jak było?

- Doskonale, nie udało im się ciebie wykiwać, chociaż wyraźnie mieli na to ochotę. Trafiła kosa na *kamień*.

- Myślę, że rada nadzorcza będzie zadowolona z tej transakcji. Siedem milionów zysku. Całkiem nieźle jak na początek, no nie? Teraz możesz sporządzić z tego sprawozdanie.

- Tak, oczywiście. - Janinę wstała, żeby wyjść. Powstrzymał ją jednak dźwięk telefonu. - To na pewno pan Warfield, do ciebie - powiedziała.

Sydney zawahała się na ułamek sekundy.

- W porządku, dziękuję, Janinę. Odbiorę.

Poczekala, aż sekretarka zamknie za sobą drzwi, a następnie podniosła słuchawkę.

- Tak, słucham cię, Channing.

- No! Nareszcie! Od kilku dni staram się do ciebie dodzwonić, co się dzieje?

Nic, po prostu w wolnych chwilach Kocham się z Michałem, chciała odpowiedzieć, ale zrezygnowała.

- Jestem bardzo zajęta.

- Za dużo pracujesz - w jego tonie było pobłażanie
- musisz trochę odetchnąć. Postanowiłem gdzieś cię zabrać. Co powiesz o obiedzie, powiedzmy -jutro?

- Nie mogę, mam zebranie.

- Zebranie można przełożyć.

- Naprawdę nie mogę, mam mnóstwo zajęć, przez cały tydzień będę bardzo zajęta.

- Sydney, obiecałem twojej matce, że oderwę cię od biurka, a zawsze dotrzymuję słowa.

Obiecał matce... Dlaczego, dlaczego tak ją denerwuje samo jej wspomnienie? Dlaczego z zimną krwią potrafi przeprowadzić milionową transakcję, a na samą myśl o tym, co powiedziała matka, dostaje gęsiej skórki?

- Mama za bardzo się przejmuje. Wybacz, ale muszę kończyć. Spóźnię się na spotkanie.

- Piękna kobieta zawsze może się spóźnić. Skoro nie możesz jutro, wybierz się z nami w piątek. Idziemy wszyscy do teatru, przedtem drink, a potem - lekka kolacja.

- Niestety, nie mogę, przykro mi. Do widzenia, życzę miłego wieczoru. Muszę kończyć. - Zanim zdołał zaprotestować, odłożyła słuchawkę.

Dlaczego po prostu mu *rue* powiedziała, że się zakochała?

Odpowiedź była prosta. Channing poleciałby zaraz z nowina, do Margente. A Sydney *nie* mogła dopuścić, aby matka o czymkolwiek się dowiedziała. To, co łączy ją z Michaeliem, jest tylko jej sprawą i tak ma pozostać. Jak najdłużej.

Michael ją kocha... Przymknęła oczy i zatopiła się w myślach. Może z czasem i ona pokocha go tak samo,

całą sobą, bez żadnych zastrzeżeń i wątpliwości. Wszystko jest możliwe. Myślała na przykład dotąd, że jest oziębła, a to okazało się nieprawdą. Pierwszy krok został zrobiony. Dalsze były kwestią czasu.

Czas. Potrzebuje czasu, żeby zapanować nad emocjami. A potem... potem zobaczy.

Stukanie do drzwi wyrwało ją z tych dusznych rozterek.

- Przepraszam - w drzwiach ukazała się głowa Janinę
- właśnie dostałam to pismo z biura pana Bingham, może zechcesz rzucić okiem.

- Tak, dziękuję.

Była to prośba o przyjęcie dymisji. Lloyd zwracał się o zwolnienie go z pracy w trybie natychmiastowym. Pismo było suche i oficjalne, ale czytając między wierszami, można było wyczuć ton pogródki.

- Janinę, przyniesiesz mi teczkę pana Bingham? Wezmę ją do przejrzania w domu.

Janinę zatrzymała się w drzwiach.

- Przepraszam, czy mogę coś doradzić?

- Oczywiście, słucham.

- Musisz być bardzo ostrożna w tej sprawie, jest ktoś, kto chce ci wbić nóż w plecy.

- Wiem i dlatego nie zamierzam mu na to pozwolić.

- Przeciągnęła się w fotelu. - Zanim dasz mi tamtą teczkę, może byśmy tak napiły się kawy?

- Zaraz zrobię. - Janinę odwróciła się ku drzwiom i niemal zderzyła się w nich z Michael'em, który właśnie stanął w progu. - O, przepraszam... - Spojrzała na przemoknięte ubranie gościa. - Pani Hayward jest bardzo...

- W porządku - Sydney wstała zza biurka - przyjmijmy pana Stanisławskiego.
- Czy mam z nikim nie łączyć? - zdążyła jeszcze zapytać Janinę.
- Oczywiście, że nie - odpowiedział za Sydney Michael. - Zaczekaj, to ty jesteś ta Janinę? Sydney mówiła mi, że świetnie pracujesz.
- Dziękuję - spojrzała na niego z wdzięcznością i z podziwem. Nie widziała w swoim życiu wielu równie przystojnych mężczyzn. - Może napije się pan kawy?
- Nie, dziękuję.
- Ja też rezygnuję - wtrąciła Sydney - możesz wyjść, zjeść coś na mieście.
- W porządku. - Janinę niechętnie zamknęła za sobą drzwi, nie spuszczać przybysza z oka.
- Nie masz parasola? - spytała Sydney, dotykając mokrych włosów Michaela, gdy już zostali sami.
- Nie ruszaj. Cała się zmoczysz ~ odsunął jej ręce - masz jakiś ręcznik?
- Zaraz ci dam. - Weszła na chwilę do łazienki. - Co ty robisz o tej porze w tej części miasta? - spytała, podając mu ręcznik.
- W czasie deszczu nie da się pracować. Jesteś bardzo zajęta?
- Spojrzała na list Lloyda leżący na biurku i pomyślała o jego teczce.
- Trochę.
- Może byś poszła ze mną do kina?
- Bardzo chętnie - wzięła od niego ręcznik - tylko daj mi godzinę, przejrzę to i idziemy.

- Okay. Wpadnę za godzinę. - Dotknął pereł zdobiących jej szyję i powiedział z tajemniczym błyskiem w oku.
- Jest jeszcze jedna propozycja.
 - Jaka?
 - Jedziemy z rodziną na weekend do siostry, posiedzieć razem, zjeść coś na świeżym powietrzu. Może zabierzesz się z nami?
 - Świetny pomysł. Kiedy?
 - W piątek, po pracy. Możemy pojechać, jak będziesz wolna.
 - Pójdę do domu *się* przebrać i będę gotowa około szóstej, najpóźniej kwadrans po szóstej. Tak będzie dobrze?
 - Doskonale. - Objął ją i delikatnie pocałował. - Nata-sza na pewno cię polubi.
 - Mam nadzieję.
 - Kocham cię. - Pocałował ją jeszcze raz.
 - Wiem.
 - I ty też mnie kochasz, choć jesteś zbyt uparta, żeby się do tego przyznać. No nic. Teraz cię zostawiam, żebyś ty mogła popracować.
 - W takim razie zobaczymy się za godzinę. - Z ręcznikiem w ręku odprowadziła go do drzwi. - Michael...
Odwrócił się w progu.
 - Tak?
 - A gdzie mieszka ta twoja siostra?
 - W zachodniej Wirginii - uśmiechnął się, mrugnął okiem i zamknął za sobą drzwi.

9

Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze się spóźnię, pomyślała Sydney, wykładając kolejny raz ubrania z walizki. Dotychczas zawsze wiedziała, co zabrać ze sobą w podróż, a tym razem już dwukrotnie przepakowywała walizkę. Nie miała pojęcia, co zabrać ze sobą do zachodniej Wirginii. Tydzień na Martynice ~ bardzo proszę! Kilkudniowa wycieczka do Rzymu - bez problemu! Natomiast zwykły weekend w zachodniej Wirginii w rodzinnym gronie wymagał kilkugodzinnego buszowania w szafach.

Przyrzekając sobie w duchu, że robi to po raz ostatni, zapakowała walizkę po raz trzeci i żeby nie mieć więcej pokus, przeniosła ją do salonu. Potem pobiegła z powrotem do sypialni, żeby się przebrać.

Zmieniła biurowe ubranie na płócienne spodnie i krótką tunikę bez rękawów. Przejrzała się w lustrze. Właśnie zamierzała włożyć coś innego, kiedy zadzwonił dzwonek.

No tak, oczywiście spóźniła się. Spięta pospieszenie włosy i poszła otworzyć drzwi. W progu stała Margerite.

- Dzień dobry, kochanie. - Matka musnęła wargami jej policzek.

- Nie spodziewałam się, że możesz mnie odwiedzić, mammo. Nie wiedziałam, że...

- Oczywiście, że wiedziałas - matka wystudiowanym ruchem osunęła się na krzesło - Channing mówił ci przecież o naszej dzisiejszej wyprawie do teatru.

- Tak, mówił, zapomniałam.

- Sydney - głos matki podniósł się o ton wyżej - zaczynam się o ciebie martwić.

Sydney automatycznie sięgnęła po szklankę i przygotowała matce drinka.

- Nie powinnaś, ze mną wszystko w porządku.

- Naprawdę? Odrzuciłaś chyba z tuzin zaproszeń, chowaś się gdzieś, nie masz nawet chwili czasu, żeby pójść ze mną na zakupy. Ciagle tylko przesiadujesz w biurze. Uważasz, że naprawdę nie ma powodu do niepokoju? - Uśmiechnęła się do córki i sięgnęła po szklankę. - Coś z tym wreszcie trzeba zrobić, zajmiemy się tym. Postanowiłam zabrać cię dzisiaj z Channingiem do teatru, przedtem wstąpimy napić się czegoś.

Sydney już miała kiwnąć głową i zgodzić się potulnie na tę propozycję, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Przecież wszystko się zmieniło. Nie musi już robić wyłącznie tego, czego od niej oczekują.

- Mammo, bardzo mi przykro, nie bywam nigdzie, bo praca w biurze zabiera mi cały wolny czas.

- No właśnie, kochanie. Rzecz w tym, żeby to zmienić.

- Margerite pociągnęła łyk ze szklanki. Dla niej nic się nie zmieniło. Ciagle miała przed sobą małą dziewczynkę, której trzeba poradzić, jak ma żyć.

- Rzecz w tym, mammo, że nie zamierzam dłużej wypeł-

niać każdej wolnej chwili tak zwanym „bywaniem w świecie” - Sydney mówiła powoli, ale dziwnie stanowczo - dlatego też bardzo dziękuję, że o mnie pomyśleliście, ale mam po prostu inne plany. Powiedziałam to zresztą Channingowi.

Przez twarz Margerite przebiegł błysk zdenerwowania.

- Jeśli sobie wyobrazasz, że zostawię cię tutaj nad stertą papierzysk...

- Nie zamierzam pracować. Wybieram się właśnie za miasto - dzwonek do drzwi przerwał jej w pół zdania - przepraszam cię na chwilę. - Otworzyła drzwi. - Michael, moja mama właśnie...

Nie pozwolił jej skończyć i od razu pocałował ją w usta. Margerite, blada, z zaciętą twarzą, przyglądała się tej scenie. Po chwili bez słowa wstała z krzesła. Nie miała wątpliwości, że to, co widzi, jest pocałunkiem kochanków.

- Michael... - Sydney próbowała nie dopuścić do skandalu.

- Jeszcze nie skończyłem...

Wysunęła się z jego objęć.

- Michael, moja matka...

Spojrzał w głąb pokoju. Zobaczył bladą z wściekłości twarz Margerite.

- O, witaj, Margerite.

- Czy to wypada - zaczęła Margerite, z trudem hamując furię - tak łączyć interesy z przyjemnościami? Jak ci się wydaje?

- Nieraz wypada, nieraz nie - odparł spokojnie. W jego głosie nie było zawstydzenia ani skruchy. - Najważniejsza jest szczerłość, a ja byłem z tobą szczerzy, Margerite.

Odwróciła się oburzona.

- Sydney, czy mogę z tobą pomówić sam na sam?

Sydney poczuła, jak jej kark sztywnieje. Trudno, prędzej czy później i tak musiało dojść do tej rozmowy, pomyślała.

- Michael, możesz zanieść mój bagaż do samochodu? Zejdę za kilka minut.

Spojrzał jej w oczy.

- Zostanę z tobą - powiedział, zaniepokojony ich razem.

- Nie - dotknęła jego dłoni - lepiej będzie, jak zostawisz nas same, proszę, zrób to dla mnie.

Schylił się po walizkę i wyraźnie niezadowolony wolno opuścił pokój. Kiedy trzasnęły drzwi wyjściowe, Margerite ruszyła do ataku. Rzadko wpadała we wściekłość, ale kiedy już to się zdarzyło, stawała się nieobliczalna.

- Ty idiotko, poszłaś z nim do łóżka!

- To nie twoja sprawa, mamo. Ale owszem, poszłam.

- Czy ty zupełnie zgłupiałaś? Żeby spać z kimś takim!

- Matka z trzaskiem odstawiła szklanę na stolik - Przecież taki związek może cię zniszczyć... może zniszczyć wszystko, co dla ciebie zrobiłam! Już raz narozrabiłaś, rozwodząc się z Peterem, ale jakoś wszystko wtedy załatwiłam. Jeszcze ci mało? I co, wybierasz się z nim do jakiegoś motelu? Nie wstyd ci?

Sydney zacisnęła pięści.

- W naszym związku z Michaeliem nie ma nic wstydliwego, nie zamierzam się więc wstydić. A o rozwodzie z Peterem nie zamierzam z tobą rozmawiać.

Twarz Margerite stężała.

- A więc to tak? Od początku robię wszystko, żebyś miała odpowiednią pozycję. Najlepsze szkoły, najlepsze towarzystwo, wybrałam ci nawet męża... A teraz chcesz wszystko zniszczyć, przekreślić! Powiedz mi, dlaczego? No, mów! Nie masz zamiaru ze mną rozmawiać? - Jej głos przeszedł w krzyk. Sydney zachowała jednak kamienny spokój. - Tak, rozumiem, co cię w nim pociąga, rozumiem doskonale. Sama miałam przez chwilę ochotę na przelotny romans. Kobiety lubią takich nieobliczalnych dzikusów, prócz tego jest artystą... wszystko rozumiem. Ale pomyśl, kim on właściwie jest? Nikim! Przybłądą bez wykształcenia i wychowania! Jakiś Cygan nie wiadomo skąd. Czy ty sobie wyobrażasz, że pozwolę, żebyś spotykała się z kimś takim? Zapomniałaś, że nazywasz się Hay ward!?

- Dostyc, mamó. - Głos Sydney zabrzmiał tak stanowczo, że matka zamilkła. - Naprawdę wystarczy. Myślę, że akurat ty nie powinnaś powoływać się na nasze nazwisko. Nie masz prawa. Nic dla niego nie zrobiłaś. To ja siedzę w biurze od rana do wieczora, żeby ono w dalszym ciągu coś znaczyło. A to co robię po pracy, to tylko moja sprawa.

Margerite znowu zbladła. Nigdy dotąd nie słyszała córki przemawiającej do niej w ten sposób.

- Nie mów do mnie takim tonem. Czy ty, dziewczyno, do tego stopnia straciłaś rozum, że zapominasz, co jest twoim obowiązkiem? Otóż twoim jedynym obowiązkiem jest poślubić Channinga.

- Sama wiem, jakie są moje obowiązki. A ton, którym mówię, nie różni się od twojego. - Przez chwilę milczała. - Jeśli zaś chodzi o Channinga, to musisz zrozumieć, że nie zamierzam się z nim wiązać. Nigdy. Nigdy też już nie

będziesz wybierać mi męża. Myślę, że warto, żeby *ten* człowiek o tym wiedział i nie robił sobie nadziei. Jeśli zamierzasz nadal go łądzić, to jutro zamówię wielkie ogłoszenie w „Timesie” i podam do publicznej wiadomości, że jestem kochanką Michaela. Tak, jestem, i właśnie dlatego nie pozwolę ci go obrażać. Nie znasz go i nic o nim nie wiesz, nie znasz jego rodziny. Widzisz tylko to, co powierzone.

Żrenice Margerite zwężyły się.

- A ty niby widzisz coś więcej?

- Owszem, widzę w nim wspaniałego, dobrego człowieka, który żyje uczciwie, nie krzywdząc nikogo. Człowieka, który mnie kocha, i którego... ja... ja też Kocham - dokończyła niespodziewanie dla samej siebie i w nagłym przebłysku świadomości zrozumiała, że powiedziała prawdę.

- Kocha cię? - powtórzyła Margerite osłupiała. - On cię kocha? Boże, ty naprawdę zwariowałaś. Czy rzeczywiście wierzysz we wszystko, co ci chłop mówi w łóżku?

- Wierzę w to, co mówi Michael. Przepraszam cię, teraz muszę już iść. On czeka, a mamy przed sobą długą drogę.

Sztywno wyprostowana, z wysoko uniesioną głową, Margerite ruszyła do drzwi. W ostatniej chwili odwróciła się i przeciągle spojrzała na córkę.

- Jeszcze tego pożałujesz, on cię zniszczy. Ale może właśnie trzeba, żebyś dostała nauczkę.

Kiedy drzwi się zamknęły, Sydney opadła na kanapę. Trudno, Michael będzie musiał poczekać jeszcze chwilę.

Michael krążył niecierpliwie po garażu. Na dźwięk windy jednym skokiem znalazł się przy drzwiach.

- Wszystko w porządku? - Ujął jej twarz w dłonie. - Widzę, że nie bardzo.

- Mogło być gorzej. Rodzinne dyskusje nigdy nie są przyjemne.

Wiedział coś o tym. W jego rodzinie wszyscy się kłócili, tyle że zaraz potem godzili się i wszystko było dobrze. Śmiertelnie blada twarz Sydney świadczyła o tym, że u Haywardów jest inaczej.

- Wróćmy na górę, odpoczniesz trochę i pojedziemy później.

- Nie, jedźmy zaraz.

- Bardzo mi przykro - ucałował jej dłonie - za nic nie chciałem być powodem twojej kłótni z matką.

- Kiedy to wcale nie chodziło o ciebie - objęła go i przytuliła - to stare sprawy. Zbyt długo o tym nie mówiliśmy i teraz wszystko wybuchło. Nie mam ochoty ci tego tłumaczyć.

- To niedobrze.

- Wiem, przepraszam. - Przymknęła oczy, próbując odzyskać równowagę. Żołądek podchodził jej do gardła, w nogach czuła słabość. ~ Kocham cię, Michael.

Przechylił głowę do tyłu. Spojrzała w jego ciemne oczy. Były przenikliwe i bardzo głębokie. Wiedział, co pragnie w nich zobaczyć.

- Nareszcie. Przestałaś się upierać, bardzo dobrze. Potwórz mi to jeszcze w czasie podróży, bo bardzo lubię słyszeć, jak to mówisz.

Roześmiała się i ujęła go pod ramię. Objęci ruszyli w stronę samochodu.

- Powtórzę ci, ile razy zechcesz.
 - Nawet kiedy sama będziesz prowadzić?
 - Ja mam prowadzić?
 - Oczywiście. Najpierw ja, potem ty. Masz chyba prawo jazdy?
 - Mam.
 - Więc o co chodzi? Boisz się? - zapytał, słysząc niepewność w jej głosie.
- Spojrzała na niego z uśmiechem.
- Nie, dzisiaj nie boję się niczego.

Było już po północy, kiedy zajechali wreszcie pod duży dom z czerwonej cegły. Sydney, zwinięta w kłębek, spała na przednim siedzeniu. Kawał drogi bardzo dzielnie prowadziła, lecz potem, wróciwszy na miejsce pasażera, nagle opadła z sił. Spojrzał na nią z czułością. Zawsze tak właśnie wyobrażał sobie swoje życie: pewnego dnia spotka kogoś, kto jego codzienną szamotaninę zamieni w spokojne bytowanie, kto życiu nada sens i wypełni je miłością. I oto teraz ten ktoś spał obok niego w samochodzie, który rozcinał światłem reflektorów ciemności nocy.

Spoglądając na nią, doskonale wyobrażał sobie ich dalsze życie. Wszystko będzie cudownie, co nie znaczy jednak, że sielsko, spokojnie i bez niespodzianek. Będą jednak na pewno wspólne poranki spędzane w domu, który dla nich zbuduje, będą wieczorne spotkania po pracy, kiedy Sydney wracała będzie, wytworna i elegancka, po jakimś kolejnym zakończonym sukcesem spotkaniu. Usiądą wtedy i opowiedzą sobie, co każdemu z nich wydarzyło się w ciągu dnia. Będą mówili o swojej pracy i o sobie.

Pewnego zaś dnia w jej ciele pocznie się dziecko. Będzie czuł, jak jego syn albo córka porusza się wewnątrz niej. A potem oboje będą obserwować, jak rośnie i rozwija się.

Wszystko przyjdzie z czasem. Nie trzeba się spieszyć. Teraz powinni cieszyć się każdą spędzoną razem chwilą.

Zatrzymał samochód. Pocałował ją w policzek.

- Obudź się, księżniczko. Jesteśmy na miejscu. - Sydney zamruczała tylko przez sen.- Przebyliśmy góry i doliny. No, pocałuj mnie.

Otworzyła oczy, czując jego ciepły policzek przy swojej twarzy.

- Gdzie jesteśmy?

- Mineliśmy tablicę „Witajcie w Wirginii. Tu jest wspaniale”. Jak będziemy wracać, powiesz mi, czy to prawda.

Wszędzie, gdzie jesteśmy razem, jest wspaniale, pomyślała, tuląc się do niego. Znow sennie przymknęła powieki.

- Cholera, najwyraźniej się starzeję, bo coraz mi trudniej uwieść kobietę w samochodzie.

- Spróbuj, masz okazję...

- Nie mogę. Stoimy przed domem. Boję się, że mama wyrzy przez okno. Ale poczekaj, jak tylko się położymy, wślizgnę się do twojego pokoju.

Roześmiała się i podźwignęła z fotela, a on pomógł jej wstać. Odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała w stronę domu. Wznosił się przed nią, wielki, rozświetlony oknami pierwszego piętra. Michael wziął walizki i poszli w stronę kamiennych schodów. Poczwała dobiegający z ogrodu obok zapach róż.

Ogród był dziki, ale malowniczy. Dom ocieniały stare

dęby. Przy schodach Sydney spostrzegła przewrócony trzykołowy rower, obok którego leżał zniszczony krzew petunii.

- Robota Iwana - Michael poszedł za jej wzrokiem - wszędzie ryje, dla własnego dobra powinniśmy zaszyć się w mysią dziurę, zanim Natasza to zobaczy.

Z wnętrza domu dobiegł dźwięk rozmów i muzyki.

- Nie położyli się jeszcze? - zdziwiła się. - Wydaje się, że wszyscy bawią się w najlepsze.

- Mamy tylko dwa dni, chcą sobie porozmawiać, nie można tracić czasu na spanie.

Otworzył oszklone drzwi i nie pukając, wszedł do środka. Postawił bagaż przy prowadzących na górę schodach, ujął rękę Sydney i poprowadził ją do salonu.

Poczuła, że ogarnia ją trema. Lata treningu nauczyły ją, że zawsze, kiedy dojąć miało do oficjalnej prezentacji, powinna się wyprostować, zmobilizować i uśmiechnąć, a następnie ze sztywno wysuniętą dłonią powiedzieć: „bardzo mi miło”. Towarzystwo, w którym się znalazła, wyznawało jednak chyba inne zasady, bo oto Michael zamiast mówić, jak mu miło, porwał po prostu w ramiona drobną, śliczną kobietę z długimi rozpuszczonymi włosami i zawołał radośnie:

- Cześć, mała!

- Zawsze musisz się spóźnić - Natasza pocałowała brata w oba policzki - co mi przywiozłeś?

- Coś tam się znajdzie, zaraz zajrzemy do walizki. - Postawił siostrę na podłodze i zwrócił się do siedzącego przy pianinie mężczyzny: - Dbasz o nią?

- O ile mi pozwoli. - Spence Kimball uściśnął jego

rękę. - Od godziny biega od okna do okna i wygląda, czy nie nadjeżdżasz. Strasznie się o ciebie martwiła.

- Nieprawda. - Natasza z szerokim uśmiechem zwróciła się teraz do Sydney. Widząc wyraz jej twarzy, nagle spowaźniała. Czy to możliwe, żeby Michael zakochał się w tej lodowatej, wyniosłej piękności? - pomyślała. No, ale skoro wszyscy w rodzinie tak mówią... - Nie znamy się jeszcze.

- To Sydney Hayward, a to moja siostra, Natasza - powiedział Michael, zaniepokojony i lekko zirytowany sztywnym zachowaniem Sydney.

- Bardzo mi miło, przepraszamy za spóźnienie, to moja wina - skłoniła się grzecznie.

- Witaj w naszym domu, resztę rodziny podobno już znasz - Natasza znów przejęła inicjatywę. - Pora na nas. Pozwól, że ci przedstawię, to mój mąż, Spence.

Sydney odwróciła się z wystudiowanym uśmiechem, a wtedy mężczyzna, którego właśnie jej przedstawiono, zerwał się od pianina i podszedł, wyciągając ku niej obie dłonie.

~ Coś takiego! To naprawdę ty, Sydney?

- Spence Kimball! - ucieszyła się. - Nie przypuszczałabym.. - z wyraźną radością uściśnęła jego rękę - mama mi mówiła, że się przeprowadziłeś i powtórnie ożeniłeś, ale...

- Znacie się? - Natasza wymieniła z matką spojrzenia. Nadia nalała wina do kieliszków.

- Tak ~ potwierdził Spence. - Poznałem Sydney, kiedy była w wieku naszej Freddie - wskazał swoją najstarszą córkę - i nie widzieliśmy się od...

Przerwał, nie wiedząc, czy wypada odwoływać się do wspomnień. Ostatnio widzieli się na jej ślubie. Od dawna nie miał kontaktu z wyższymi sferami Nowego Jorku, ale wieść o nieudanym małżeństwie Sydney jakoś do niego dotarła.

- Tak, to było bardzo dawno temu - uśmiechnęła się.

- Jaki ten świat mały! - Jurij klepnął Spence'a po ramieniu. - Sydney jest właścicielką domu, w którym mieszka Michael. Nie wyobrażasz sobie, co on wyprawia, kiedy ona zmarszczy brwi.

- Nic nie wyprawiam. - Michael nalał ojcu wódki do kieliszka. - Zresztą nie mam powodu, to ona za mną szaleje.

- Uwaga, baczność! - wtrąciła Rachela. - Michael otwiera przed nami swoją duszę.

Pokazał siostrze język i zwrócił się do Sydney.

- Powiedz, że za mną szalejesz, a ona niech wszystko odszczeka.

- Braciszku, czy ty zawsze musisz być taki obcesowy?

- W drzwiach stanął Alex. - Lepiej chodź do mnie, Sydney, ja jestem delikatny i dyskretny, a do tego nad wyraz skromny.

- Uspokójcie się obaj. - Nadia spojrzała na Alexa karcącym wzrokiem. - Bardzo jesteś zmęczona? - zwróciła się do Sydney.

- Trochę...

- Przepraszam, nie pomyślałam - zareagowała natychmiast Natasza - musisz być wykończona. Zaraz pokażę ci pokój. Jeśli chcesz, możesz się położyć, albo odpocząć chwilę i zejść tu do nas. W każdym razie czuj się jak u siebie w domu.

- Dziękuję - Sydney schyliła się po walizkę, ale Natasza uprzedziła ją. Spojrzała na narzeczoną brata wnikliwie, lecz dość przyjaźnie. Widać było jednak, że nim przyjdzie świt, wypyta Spence'a o wszystko, co będzie mógł na jej temat powiedzieć.

Zaprowadziła Sydney do małego pokoju w końcu korytarza. Białe ściany, drewniana podłoga, lekkie tiulowe firanki unoszące się od podmuchów wiatru przypomniały Sydney dawno czytane angielskie powieści.

- Mam nadzieję, że będzie ci tu dobrze. - Natasza postawiła walizkę w nogach łóżka. - Jesteś przyjaciółką mojego brata, a więc i moją.

- Bardzo tu miło - powiedziała Sydney, rozejrzawszy się dokoła. Czuła zapach starego drewna i dzikich róż. - Cieszę się, że siostra Michaela jest żoną mojego starego przyjaciela. Spence uczy tu muzyki na uniwersytecie, prawda?

- Tak, pracuje w Shepherd College, no i znowu zaczął komponować.

- Świetnie, jest bardzo zdolny. Pamiętam jego córkę, Freddie.

- Ma teraz dziewięć lat - Natasza uśmiechnęła się - próbowała czekać na Michaela, ale zasnęła. Wzięła sobie do łóżka Iwana, bo się bała, że go uduszę za te petunie. Jutro ją zobaczysz. - Umilkła, przechyliła głowę i przez chwilę nadśluchiwała uważnie.

- Coś się stało? - spytała Sydney.

- Nie, to tylko Katia, nasza najmłodsza. - Natasza mimowoli położyła rękę na piersi. - Czeką na karmienie, przepraszam, muszę do niej iść. - W drzwiach zawahała

się. Intuicja coś jej podszeptnęła, a Natasza zawsze kierowała się intuicją. - A może chcesz ją zobaczyć?

Sydney nie od razu odpowiedziała. Po chwili skinęła jednak głową.

- Oczywiście, z przyjemnością.

Zeszły na dół. Płacz narastał, w miarę jak zbliżały się do pokoju dzieciennego.

- Już jestem, kochanie - Natasza pochyliła się i wyjęła małą z łóżeczka - mamusia przyszła i zaraz da ci jeść.

W pokoju panował półmrok. Lampka w kształcie małego konika rzucała na ściany blade, różowawe światło. Sydney nawet nie zauważyła, kiedy w progu zarysowała się postać mężczyzny.

- Nic jej nie jest, Spence, po prostu ma ochotę na kolację - szepnęła Natasza.

Spence zbliżył się do karmiącej i pochylił nad nią. Ich głowy zetknęły się. Małeńka główka do złudzenia przypominała głowę matki, mała rączka zacisnęła się wokół palca ojca,

- A poza tym na pewno chciała się przywitać z Sydney - dodała.

Sydney poczuła, że ogarnia ją wzruszenie. W obrazie, który miała przed oczami, było tyle miłości i tyle jakiejś dziwnej mocy, że nie potrafiła się opanować. Powstrzymując łzy, wysunęła się cicho na korytarz.

Obudziła się przed siódmą. Nie zrobiła tego z własnej woli. Ze snu wyrwał ją śmiech i hałas dobiegający zza okna. Jęknęła i dotknęła posłania obok. Michaela nie było.

Tak jak zapowiadał, wślizgnął się do jej pokoju i zaba-
wił w nim przez całą noc.

Ale teraz go nie było.

Położyła sobie poduszkę na głowie, próbując ponownie
zapaść w umykający sen, ale na próżno. Westchnąwszy
więc z rezygnacją, wstała, włożyła szlafrok i wyjrzała na
korytarz.

Z sąsiednich drzwi wysunęła się głowa Rachel. Przez
chwilę patrzyły na siebie ze zrozumieniem, wreszcie Ra-
chel odezwała się pierwsza.

- Jeśli kiedykolwiek będę miała dzieci, to w soboty
rano będzie im wolno wstawać najwcześniej o dziesiątej.
I to pod warunkiem, że przyniosą mi śniadanie do łóżka.

Sydney przytrzymała rozchylający się szlafrok.

- Powodzenia.

- No, nie wiem, może nie będę aż tak surowa - Rachel
ziewnęła - masz monetę?

Zbyt zaspana, żeby się zastanawiać nad niedorzeczno-
ścią tego pytania, Sydney automatycznie sięgnęła do kie-
szeni.

- Nie, nie mam.

- Poczekaj - Rachel na chwilę zniknęła, po czym poja-
wiła się znowu. W ręku trzymała srebrną monetę. - Masz,
rzucić.

- Po co?

- Orzeł czy reszka? Ten, kto wygra, idzie pod prysznic
pierwszy, drugi robi kawę.

Sydney siłą powstrzymała się od uprzejmego „mogę
zrobić kawę, oczywiście” i z lubością pomyślała o ciepłym
prysznicu.

- Reszka - powiedziała.

Rachel rzuciła monetę. Zakłęła w dwóch językach.

- Cholera jasna, z mlekiem i z cukrem?

- Nie, czarną.

- Dobra, zaraz przygotuję. - Już miała zniknąć, kiedy odwróciła się znowu. - Powiedz, ale tak między nami, ty naprawdę szalejesz za tym moim braciszkiem?

- Między nami mówiąc, tak.

Rachel westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Nigdy tego nie zrozumiem. Może to i lepiej.

Pół godziny później, odświeżona przysznicem i pokrzepiona kawą, Sydney zeszła na dół. Gwar głosów podpowiedział jej, że rodzinne śniadanie odbywa się w kuchni.

Gdy weszła, Natasza, w szortach i samym podkoszulku, stała na środku, Jurij siedział za stołem z niemowłkiem w ramionach, a Alex, rozparty na krześle, spokojnie czekał, aż matka poda mu kawę.

- Cześć, Sydney - zawołał Jurij.

- Tato, trochę więcej szacunku dla damy.

Ojciec klepnął Alexa po plecach i wskazał Sydney miejsce obok siebie.

- Siadaj i spróbuj bułeczek mojej córki.

- Dzień dobry - Natasza podeszła do niej z talerzem - bardzo przepraszam w imieniu moich koszmarnych dzieci za to, że bladym świtem postawiły cały dom na nogi.

- Dzieci muszą hałasować - powiedział sentencjonalnie Jurij - od tego są.

Sydney usiadła obok niego.

- Wszyscy już wstali?

- Chyba tak. Spence pokazuje Michaelowi nowy zestaw do barbecue. To trochę potrwa. Jak ci się spało?

Sydney pomyślała o Michaelu i zarumieniła się.

- Dziękuję, doskonale. To za dużo, naprawdę... - Ruchem ręki próbowała powstrzymać Nataszę, wykładającą jej na talerz ciepłe bułeczki.

- To na wzmocnienie. - Jurij mrugnął znacząco okiem, a ona nie zdążyła odpowiedzieć, bo do kuchni wtargnął tajfun pod postacią kruczoczarnego malca. - Oto mój wnuk, Brandon - pochwalił się pan Stanisławski. - Jest potworem, a ja bardzo chętnie jadam potwory na śniadanie, mniam, mniam...

Chłopiec wpadł w rozwarte ramiona dziadka i zaraz zaczął się wyrywać.

- Dziadku, chodź zaraz, musisz zobaczyć, jak jeżdżę na rowerze, chodź, no chodź, zaraz!

- Mamy gościa - powiedziała karcąco Nadia - a ty jesteś bardzo źle wychowany.

Mały, chowając głowę na ramieniu dziadka, zerknął w stronę Sydney.

- Ty też możesz z nami iść. O rany, jakie ona ma ładne włosy, zupełnie jak Lucy!

- Tak się nazywa nasza kotka - wyjaśniła Natasza - to największy komplement, jaki mogłaś usłyszeć. Cierpliwości, Brandon. Sydney jeszcze nie skończyła śniadania - zwróciła się do syna

- To ty chodź, mamó.

Natasza pogłaskała czarną główkę.

- Zaraz przyjdę, a teraz idź i powiedz tacie, że miał iść do sklepu.

- Może pójdzie dziadek.

Jurij z udanym oburzeniem rozwarł ramiona, łapiąc malca w ostatniej chwili. Podniósł go do góry, a Brandon kurczowo wczepił się w dziadka.

- Tato, zobacz jaki jestem duży! - krzyknął w stronę drzwi ogrodowych.

- Ja nie mogę... Czy oni zawsze muszą tak rozrabiać?
- odezwał się umęczonym głosem Alex.

- Ty rozrabiałeś do dwudziestego roku życia - pouczyła go znad zlewu Nadia.

Żeby osłodzić mu matczyną zgryźliwość, Sydney nalała Alexowi kawy do kubka. Przytrzymał jej *dłoń* i ucałował.

- Sydney, tyś najpiękniejsza, zostań ze mną, proszę.

- Alex! Ja naprawdę cię kiedyś uduszę - z progu dobiegł głos Michaela.

Alex uśmiechnął się do brata wyzywająco.

- Bardzo proszę, możemy się pojedynkować. Na ręce. Temu, kto zwycięży, przypadnie w nagrodę księżniczka.

Rachel z pogardą spojrzała w kierunku braci.

- Wszyscy mężczyźni to idioci - westchnęła.

- A dlaczego? - W drzwiach kuchni ukazała się złotowłosa dziewczynka. - Dlaczego idioci?

- Ponieważ uważają, że wszystko da się rozwiązać *silą*. A przecież można w tym celu wykorzystać mózg lub choćby tę jego resztkę, jaką jeszcze się posiada.

Nie zwracając uwagi na siostrę, Michael odsunął nakrycia na bok i zasiadł z bratem do zapasów. Wsparci na łokciach, złączyli swoje dłonie i rozpoczęli zmagania.

- Co oni robią? - zaciekała się Freddie.

- Wygłupiają się - wyjaśniła Natasza, obejmując

dziewczynkę ramieniem. - Sydney, to moja najstarsza córka, Freddie, to jest panna Hayward, przyjaciółka Michaela.

Sydney uśmiechnęła się.

- Witaj, my się przecież znamy, widziałyśmy się, kiedy byłaś malutką dziewczynką.

- Naprawdę? - Freddie nie wiedziała, czy wpatrywać się w Sydney, czy śledzić zmagania mężczyzn.

Napięte mięśnie i zacięty wyraz ich twarzy świadczyły, że obaj traktują ten sprawdzian siły niezmiernie poważnie.

- Tak, to było dawno i... - Sydney zapłatała się. Przez chwilę czuła na sobie spojrzenie Michaela. - Znałam twojego tatę, kiedy mieszkaliście w Nowym Jorku.

W drugim rogu stołu pozostali członkowie rodziny biesiadowali dalej.

- Możesz mi podać sok? - odezwała się Rachel znad talerza. Michael wolną ręką przysunął jej butelkę. - Mamo, chcesz się przejechać do miasta, jak skończymy? - zwróciła się do Nadii.

- Z przyjemnością - odparła Nadia, nie zwracając uwagi na synów - możemy zabrać Katię, oczywiście jeśli Natasza się zgodzi.

- Sama z wami pojedę - Natasza wytarła ręce - rzucę okiem na sklep. Mam taki sklepik z zabawkami - wyjaśniła Sydney, zapatrzonej w męską część stołu. Była tak zafascynowana zmaganiem Michaela i Alexa, że mogłaby równie dobrze usłyszeć, że Natasza zamierza wydzierzać poligon wojskowy, a i to nie zrobiłoby pewnie na niej wrażenia.

Trzy panie Stanisławskie wymieniły znaczące spojrze-

nia. Nadia zaś oczyma duszy wyobraziła sobie swojego pierwotnego na ślubnym kobiercu.

- Może kawy, Sydney?

- Ja... co takiego? O Boże...

Zadźwięczało szkło, brzęknęły sztucce, Michael z trzaskiem powalił dłoń brata na stół. Freddie klasnęła w ręce, a małeńka Katie próbowała pójść w jej ślady.

Alex pochuchał w zmaltretowane palce.

- Niewiele brakowało.

- Radzę ci, znajdź sobie inną dziewczynę - poradził mu Michael i zanim Sydney zdążyła się zorientować, objął ją, mocno pocałował w usta, a potem pociągnął za sobą i wyprowadził z kuchni.

- Mogłeś przecież przegrać...

Michael, rozbawiony wyrzutem brzmiącym w jej głosie, objął ją i przytulił. Szli w rodzinnym gronie mokrym chodnikiem w stronę głównej ulicy miasta.

- Nie mogłem.

- Przecież... - zaczęła i przerwała. Od godziny próbowała zrozumieć, co takiego legło się w słowiańskich głowach braci Stanisławskich. - Potraktowaliście mnie jak... no, nie wiem... jak puszkę piwa.

Porównanie wywołało w nim zrozumiałe pragnienie. Z przyjemnością przypomniał sobie jej oczy wpatrzone w jego mięśnie, napięte w czasie zmagania z Alexem. Cóż, każdy mężczyzna jest w gruncie rzeczy trochę próżny.

- A do tego - Sydney mówiła na pozór spokojnie, starając się, aby nie usłyszeli jej pozostali członkowie rodziny - skompromitowałeś mnie w obecności swojej matki.

- Skompromitowałem? Nie sprawiło ci to chyba przykrości. Wyglądałaś raczej na zadowoloną - powiedział, przypominając sobie, w jaki sposób jej usta odpowiedziały na jego pocałunek, - Ja zresztą też.

Sydney próbowała zachować powagę.

- Może byłoby lepiej, żeby zwyciężył Alex, jest taki miły, zupełnie jak wasz ojciec... - powiedziała, żeby go sprowokować.

- Wszyscy Stanisławscy mają w sobie coś wyjątkowego - Michael uśmiechnął się tylko, pochylił i zerwał stokrotkę z trawnika - ja też jestem uroczy, prawda?

Roześmiała się i przez chwilę w milczeniu bawiła się kwiatem. Może lepiej zmienić temat, pomyślała.

- Wiesz, z radością znowu zobaczyłam Spence'a. Podkochiwałam się w nim, kiedy miałam piętnaście lat. - Tym razem udało się go rozdrażnić. Michael nieprzyjaźnie spojrział na szwagra. - Twoja siostra ma szczęście - dodała.

- To raczej on ma szczęście - poprawił ją tonem urażonej dumy.

Znów wybuchnęła śmiechem.

- Powiedzmy, że oboje mamy rację.

- Macie się ze mną bawić! - Brandon z krzykiem wtargnął pomiędzy nich. - Tak jak tatuś. - Błyskawicznie zaczął się wdrapywać po nodze Michaela.

- No, to się bawimy. ~ Michael złapał malca i podrzucił go do góry.

- Uważaj! Zaraz zwróci śniadanie - dobiegł ich z tyłu głos Nadii.

- Da mu się drugie.

Michael przez chwilę trzymał malca na rękach, a potem posadził go sobie na barana. Brandon z wysokości spojrział na Sydney.

- Mam już trzy lata - oświadczył - umiem się sam ubrać.

- Całkiem nieźle ci to idzie - dotknęła małej stopki

obutej w tenisówkę - a kim chcesz być, jak dorośniesz? Kompozytorem, jak tata?

- Nie, będę wieżą, taka wieża jest najwyższa w okolicy.

- Rozumiem - powiedziała Sydney, zdumiona jego ambicjami.

- A ty mieszkasz z wujkiem Michaellem? - dobiegło ją z góry.

- Nie - odparła spokojnie.

- Jeszcze nie - mruknął Michael, znacząco mrużąc oko,

- Całowałaś się z nim - stwierdził Brandon. - A dlaczego nie macie dzieci?

- No, mały, dość tych pytań - przerwała przesłuchanie Natasza, zdejmując syna z ramion śmiejącego się brata.

- Chciałem tylko wiedzieć...

- Zawsze chcesz wiedzieć wszystko - pocałowała chłopca w policzek - ale teraz może lepiej zastanów się nad tym, jaki chciałbyś mieć samochód.

Brandon natychmiast zapomniał o dzieciach. Jego czarne oczy rozbłysły.

- Kupisz mi każdy, jaki zechcę?

- Każdy, byle był mały.

Sydney i Michael pozwolili im spokojnie poświęcić się rozważaniom na temat tego, co znaczy słowo „mały” w odniesieniu do samochodów, a sami odeszli objęci kawałek dalej.

Miasteczko było prześliczne. Michael pozwolił prowadzić się od jednego sklepu z antykami do drugiego, które niezwykle zainteresowały Sydney. Udawał grzecznie, że podziwia stare meble, hafty i porcelanowe lalki. Gdzieś po drodze zgubili resztę rodziny, więc Sydney, nie musząc

martwić się o to, by nie zostali w tyle, nie ograniczała się jedynie do oglądania podziwianych przedmiotów. Już wkrótce ręce miała pełne paczek.

- A ja myślałem, że jesteś taka rozsądna - westchnął, gdy wyszli z kolejnego sklepu. - Jak zamierzasz przewieźć to do Nowego Jorku?

Potrząsnęła głową, brzęknęły przed chwilą kupione kolczyki.

- Nie wiem. Jesteś taki mądry, już ty coś wymyślisz...

- Teraz na dokładkę kpisz sobie ze mnie.

Roześmiała się.

- A kto mi kupił to porcelanowe pudełeczko?

Z braku argumentów przez chwilę milczał. Fakt, przecież sam kupił jej to pudzderko, ozdobione delikatnym owalem kobiecej twarzy. Tak bardzo jej się podobało...

- Widziałem, jak się w nie wpatrywałaś.

- Wiem, dziękuję. - Pocałowała go w policzek.

Dochodzili już do domu, kiedy nagle ujrzeli przerażonego Iwana, pędzącego na oślep z podwiniętym ogonem. Za nim biegły dwa wielkie koty.

- Ten pies to zakała rodziny - oznajmił Michael z dezaprobatą.

- Daj spokój. On jest taki mały. - Sydney przykucnęła i schwyła drżącego szczeniaka. - No, chodź tu, schowaj się, nic ci nie zrobią.

Szczeniak wtulił się w nią i zamknął oczy. Koty usiadły kilka metrów dalej i spokojnie zaczęły się myć.

- Wstydziłbyś się, taki tchórz... - Michael spojrzał na psa z niesmakiem.

- To jeszcze dziecko, mały chłopiec, zresztą zupełnie

jak ty, kiedy mocujesz się z bratem. - Pogłaskała kudłaty łebek.

Od strony domu nadbiegała już Freddie.

- Co mu się stało?

- Przestraszyły go koty - wyjaśniła dziewczynce Sydney.

- One tylko chciały się bawić. Lubisz zwierzęta?

- Bardzo - przytaknęła z zapałem Sydney - bardzo je lubię.

- Ja też, psy i koty. Mamy dwa koty, Lucy i Desi, a teraz bardzo chciałabym mieć szczeniaka. Mama powiedziała, że się zastanowi, ale kiedy zobaczy te kwiaty... - Smętnym spojrzeniem obrzuciła wykopane petunie. - Chyba żeby je zasadzić na nowo...

- Chcesz spróbować? Pomogę ci. - Sydney doskonale ją rozumiała. Zbyt dobrze wiedziała, jak się czuje mała dziewczynka, która bardzo pragnie, a nie może mieć psa.

Następne pół godziny spędziła, sadząc kwiaty, a raczej wykonując bez słowa polecenia Freddie. Szczeniak nie opuszczał ich ani na chwilę, podejrzliwie zerkając na koty.

Po skończonej pracy Sydney poszła się umyć, pozostawiając zwierzęta pod opieką dziewczynki. Nagłe uświadomiła sobie, że choć dopiero jest dwunasta, ona zdążyła zrobić całą masę rzeczy, które nigdy dotąd nie robiła.

Po raz pierwszy wystąpiła w roli nagrody przysługującej zwycięzcy pojedynku, po raz pierwszy bawiła się z dziećmi, po raz pierwszy mężczyzna pocałował ją w miejscu publicznym... Po raz pierwszy sadziła kwiaty w ogrodzie w towarzystwie wystraszonego kundla.

Uśmiechnęła się. Jeśli wszystko potoczy się dalej w ten

sposób, to nie wiadomo, jakie jeszcze czekają ją doświadczenia.

Zwabiona śmiechem i okrzykami dobiegającymi z ogrodu, weszła do salonu i wyrzała przez okno. Teraz wszyscy grali w baseball. Rachel właśnie rzucała; piłka ze świstem przemknęła koło Alexa. Wściekły, że nie zdołał jej odbić, zwrócił się z reklamacjami do matki, która pełniła rolę sędziego. Nadia przecząco pokręciła głową, nie przestając kołysać w ramionach Brandona. Rzut został uznany.

Stojący w drugiej bazie Michael złapał piłkę i podał ją z powrotem Rachel. Rzuciła; obrońcy, Jurij i Spence, gwizdem zadowolenia powitali kolejną porażkę Alexa.

Sydney wychyliła się z okna. Nie mogła od nich oderwać oczu. Scena była zbyt piękna, by mogła zająć się czym innym. Brandon przytulił się do Nadii, a ona pocałowała go czule. Trzasnęły drzwi; w polu widzenia pojawiła się Freddie. Przebiegła przez trawnik i przyłączyła się do grających.

Za trzecim razem Alexowi wreszcie udało się odbić i piłka poszybowała w niebo. Rozległy się okrzyki. Jurij podbiegł i z całej siły uderzył w opadającą łukiem piłkę. Michael, depcząc mu po piętach, przebiegł trzecią bazę i skierował się do ostatniej. Jednak Rachel dopadła jej pierwsza i złapała piłkę, Michael runął na nią całym ciałem, upadli na trawę. Zakłębilo się.

- Aut - rozległ się niewzruszony głos sędziego.

Rachel pozbierawszy się, zaczęła bić brata. Brandon z krzykiem zeskoczył z kolan babki i wskoczył na ojca.

Sydney nie mogła oderwać oczu od rozgrywającej się

przed nią sceny. Jeszcze nigdy w życiu nikomu tak nie zazdrościła, jak teraz tej szczęśliwej rodzinie.

- Zawsze kiedy gramy, musimy się pobić albo przynajmniej solidnie pokłócić - dobiegł ją głos Nataszy. Stała za nią, uśmiechając się. Cała jeszcze pachniała niemowlęciem, które przed chwilą tuliła do snu. - Masz rację, że wolisz to oglądać z daleka.

Sydney odwróciła się. W jej oczach były łzy.

- Nie przejmuj się tak. Nic im nie będzie, to tylko żarty.
- Natasza wzięła ją za rękę i pogłaskała.

- Wiem - Sydney szybkim ruchem otarła oczy - nie przejmuję się, ja po prostu... To jest piękne, naprawdę. Jak obraz albo jak muzyka, nie mogłam stąd odejść. Patrzyłam i patrzyłam...

Natasza zrozumiała. Po tym, co opowiedział jej Spence, wiedziała już, jak wyglądało dotychczasowe życie narzeczonej brata. Wiedziała, że nigdy nie było w nim miejsca na takie „głupstwa” jak gra w baseball na trawniku przed domem czy tarzanie się w trawie.

- Bardzo go kochasz? - Natasza zapytała poważnie.
- Wiem, że to nie moja sprawa, ale Michael jest dla mnie kimś wyjątkowym. Widzę, jak wiele dla niego znaczysz, ale on nie jest łatwy.

- Wiem.

Natasza spojrzała w stronę okna. Spence z Freddie i Brandonem leżeli na trawniku, spoglądając na słońce niebem obłoki. Jeszcze nie tak dawno i jej życie nie wydawało się łatwe.

- Czy często cię rani?

Sydney chciała zbyć to pytanie, ale wbrew sobie zaczęła nagle mówić wolno i z namysłem.

- To nie tak... Jego spontaniczność, impulsywność czasem bardzo mnie razi. On nie skrywa swoich uczuć, zna siebie, rozumie, co odczuwa, i potrafi to okazać. Bywa bardzo bezpośredni i nie zawsze zastanawia się, jakie to może zrobić wrażenie na innych. Czasem nie wiem, jak zareagować.

- Jest bardzo wrażliwy. - Natasza pokiwała głową. Nagle zapytała z wyraźnym ożywieniem: - Chcesz coś zobaczyć?

Nie czekając na odpowiedź, podeszła do jednej z półek, która cała była zastawiona figurkami. Drewniane, miniaturowe postacie ludzi, zwierząt, rozmaite przedmioty... Wysoka srebrna wieża, a w jej oknie postać złotowłosej kobiety, koń, na nim rycerz, śpiąca królewna w otoczeniu płaczących krasnoludków...

- Tę przywiózł mi wczoraj. - Natasza leciutko dotknęła figurkę księżniczki w długim płaszczu i diamentowej koronie.

- Tak, wiem, że jego rzeźby są niezwykle. To taki cudowny, magiczny świat, jak w bajce.

- I taki właśnie jest on sam. Kiedy byłam małą, robił dla mnie te figurki, żebym się szybciej nauczyła czytać po angielsku. Z bajkami szło mi łatwiej. Nieraz w jego rzeźbach jest straszny smutek, tragizm, bo Michael nie zawsze jest wesoły...

- Wiem, wiem, jaki on jest. Wrażliwy i bardzo spragniony uczuć, choć z pozoru taki silny, twardy i nieczuły.

- Widzę, że dość dobrze go już znasz. Chciałam tylko, żebyś przestała się bać, że może cię zranić.

- Nie boję się - powiedziała Sydney ze wzrokiem utk-

wionym w maleńkiej księżniczce - to raczej ja mogę go zranić.

- Posłuchaj, Sydney...

Trzaśnięcie drzwiami przerwało Nataszy w pół słowa. Któreś z dzieci wpadło do pokoju i nie pozwoliło im skończyć zaczętej rozmowy.

- Mamo, chodź, szybko!

Sydney została sama. Zamyśliła się. Może i lepiej się stało? Może za wcześnie na zwierzenia? Nigdy dotąd nie rozmawiała z nikim tak szczerze. Zdobyła się na to po raz pierwszy. W tej rodzinie było bowiem coś magicznego, coś, co sprawiało, że człowiek zaczynał zastanawiać się nad samym sobą i - co ważniejsze - nie wstydził się o tym mówić.

Reszta dnia upłynęła wśród krzyków, zabaw, wbiegania i wybiegania z domu, kłótni i przekomarzań. Pod wieczór Nadia wyгнаła wszystkich mężczyzn do ogrodu.

- Teraz będą siedzieli, pili piwo i gadali głupstwa, a my będziemy tyrać w kuchni. - Rachel z jawnym niezadowoleniem sięgnęła po kosz z kartoflami.

- Ale potem oni będą nakrywać do stołu i zmywać - pocieszyła ją matka, wkładając jaja do garnka.

- Tylko tego by brakowało, żeby w ogóle nic nie robi-li... - Rachel, chwilowo uspokojona, zaczęła obierać kartofle. Widać było, że gdera jedynie po to, żeby gderać, bo tak naprawdę domowe zajęcia wcale nie są jej niemiłe.

- Gdyby Vera była tutaj, nie tknęliby niczego palcem.

- Vera to nasza gospodyni, pracuje u nas od zawsze - wyjaśniła Sydney Natasza, zasiadając przed górą jarzyn.
- Wyjechała teraz do siostry, na miesiąc. Możesz to umyć?

- Podała Sydney jarzyny. - A jak się jajka ugotują, obierz je do sałatki.

- Chętnie, tylko że... - wyjąkała Sydney - nie wiem jak,..

W kuchni zapanowała pełna zdumienia cisza. Trzy kobiety zastygły w bezruchu, a ona poczuła na sobie trzy pary wlepionych w nią oczu.

- Mama nie uczyła cię gotować? - pierwsza przerwała milczenie Nadia. Sama wyszkoliła w tym wszystkie swoje dzieci, nie bacząc na płęć i chęć do nauki.

Sydney rozpaczliwie próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widziała Margerite w kuchni. Bezskutecznie. Postanowiła nie udawać dłużej i powiedzieć prawdę.

- Mama uczyła mnie, jak zamawiać potrawy w restauracji - wyznała wreszcie, blado się uśmiechając.

- No dobrze. Kiedy się *ugotują*, pokażę ci, co dalej - przeszła do działania Nadia - i nauczę cię robić sałatkę, którą Michael lubi najbardziej.

Powiedziała coś do siebie po ukraińsku i właśnie zamierzała jeszcze coś dodać, kiedy w głośniczku interkomu rozległ się słaby płacz Katie. Natasza automatycznie ruszyła ku drzwiom, ale zatrzymała się w progu.

- Może ty byś do niej zajrzała, Sydney? Muszę teraz to skończyć.

Sydney zamrugała oczami.

- Mam iść do małej?

- Jeśli możesz.

- Jasne. Już idę. - Niepewnym krokiem wyszła z kuchni.

W miarę zbliżania się do dzieciennego pokoju, płacz

dziecka był coraz głośniejszy i coraz bardziej rozpaczliwy. Może mała źle się czuje? Dlaczego Natasza sama do niej nie pójdzie? Może jak się ma troje dzieci, to człowiek tak się nie przejmuje byle czym?

Małe „byle co” stało w łóżeczku, rączkami trzymając się poręczy i z trudem próbując utrzymać równowagę. Po nieszczęśliwej buzi płynęły łzy, włoski były mokre i zlepione.

- Małe kochane biedactwo... - Sydney po sekundzie wahania wzięła dziewczynkę na ręce. Była tak wzruszona, że nawet nie czuła strachu. - Myślałaś kruszyno, że nikt do ciebie nie przyjdzie? - Przytuliła małe ciepłe ciało. - Jesteś śliczna, wiesz? Malutka, śliczna i bardzo, bardzo kochana.

Dziewczynka przestała płakać i przekrzywiając główkę, zaczęła nasłuchiwać ciekawie. Sydney zaś mówiła dalej:

- Zupełnie jak twój wujek, też się dziwił, kiedy mu powiedziałam, że jest cudowny.

Na dole, w kuchni, trzy kobiety przerwały pracę i siedziały teraz zasłuchane w głos dobiegający z interkomu.

- Masz mokro, prawda? Dlatego jesteś taka biedna. Mama od razu by ci pomogła, ale mama jest na dole. No i co my teraz zrobimy? Chyba jakoś sobie poradzimy, prawda? - Katie wydeła usteczka i dotknęła mokrą buzią policzka Sydney. - Dobrze, zaraz spróbujemy, chociaż nigdy w życiu nie zmieniałam pieluski. Nie grałam też w baseball ani w piłkę, ani w nic innego. W ogóle niewiele robiłam. No, poczekaj... Gdzie one mogą być? - Rozejrzała się i zobaczyła stojący przy stole do przewijania wiklinowy koszyk. - A widzisz. Nic w przyrodzie nie ginie, znalazły

się i pieluchy, poczekaj, zaraz spróbuję... - Położyła dziewczynkę na stole.

Tymczasem w kuchni na dole panowała niezmacona cisza. Przerwało ją dopiero nagłe wtargnięcie Michaela.

- Cześć, co...

~ Pst! Cicho... - uciszyły go kobiety.

- Co tu się dzieje? - szepnął zmieszany.

- Cicho, Sydney zmienia pieluchę Katie. - Natasza ruchem ręki wskazała interkom.

- Co takiego? - Michael osunął się na krzesło ze wzrokiem utkwionym w nadajnik, z którego dochodził teraz radosny szczebiot i niemniej zadowolony głos Sydney.

- No, proszę bardzo, udało się, teraz trochę pudru... no, może nie aż tyle, to nic, zdmuchniemy... Teraz pielucha, co, wolisz tamtą? W porządku, weźmy tamtą, tylko się nie kręć... No, słyszysz, nie kręć się tak...

Sydney z niemałym trudem umieściła pieluchę we właściwym miejscu i wzięła maleństwo w ramiona. Pachniało cudownie, było takie śliczne, delikatne, gładziutkie... Pielucha wprowadzie nieco odstawała, ale to tylko dodawało całości uroku.

- • To *co*? Może teraz pójdziemy *do* mamy? Chcesz zobaczyć mamę?

- Mama - powtórzyła malutka, podskakując jej w ramionach.

W dziecinnym trzasnęły drzwi. Słyszac to, trzy kobiety w kuchni gorączkowo rzuciły się do roboty.

- Przepraszam, że tyle to trwało - po chwili w drzwiach stanęła Sydney z dzieckiem w ramionach. Z wrażenia cała była rumiana.

Widząc Michaela, zatrzymała się, przytuliła policzek do małej główki. Ich oczy spotkały się i Sydney jeszcze mocniej się zarumieniła. Bezpieczniej było nie patrzeć na niego w obecności matki i sióstr.

- Daj. Wezmę ją. - Podszedł do nich i rozwarł ramiona. Katie całym ciałkiem rzuciła się ku niemu. Mocno przytrzymał ją jednym ramieniem, a drugim objął Sydney. - Chodź tutaj. - Zanim zdążyła zareagować, pocałował ją mocno, po czym odsunął się lekko i uśmiechnął. - Teraz pójdę do chłopaków na piwo.

Otworzył kopniakiem drzwi i zniknął w ogrodzie, unosząc popiskującą Katie.

- A teraz ja - powiedziała Nadia do osłupiałej Sydney - pokażę ci, jak się robi tę sałatkę.

Słońce już zaszło i weekend dobiegł końca, kiedy Sydney powoli otwierała drzwi do swojego mieszkania. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek tyle się śmiała, co w ciągu tych dwóch dni. Michael postawił jej pakunki na kanapie i poszedł zamknąć drzwi wejściowe.

- Przywiozłaś cztery razy więcej niż wywiozłaś - stwierdził, powróciwszy do salonu z jej walizką.

- Najwyżej dwa - powiedziała, obejmując go za szyję. - Za wszystko ci bardzo dziękuję - dodała po ukraińsku.

- Nie bardzo ci to idzie, ale niech będzie. - Pocałował ją w oba policzki. - A tak się całujemy na pożegnanie, pamiętasz?

Nie musiał jej przypominać. Rodzina Stanisławskich wyciągała ją serdecznie przed wyjazdem. Tylko jeden

Alex zerwał z rytuałem tradycyjnego pocałunku w policzek i musnął ustami także jej nos i włosy.

- Twój brat całkiem nieźle całuje. To u was rodzinne...
- Podobało ci się?
- Jak by to powiedzieć, jest w tym coś...
- Jest jeszcze bardzo młody.
- Głupie dwa lata różnicy - postanowiła podrażnić się z nim trochę - choć muszę przyznać, że oprócz wieku jest między wami także i inna różnica.

- Co takiego? - spytał ciekawie.

Nie przestając go obejmować, przyjrzała mu się uważnie.

- Ty jako rzeźbiarz masz... że tak powiem... mistrzowskie wyczucie ludzkiego ciała... Potrafisz się z nim obchodzić...

Poczuła jego ręce na biodrach.

- Co ty powiesz, księżniczko?
- Takie mam wrażenie...
- I uważasz, że lepiej całuję niż Alex?
- W pewnym sensie.

Przyciągnął ją do siebie. Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo sięgnął ustami do jej ust i pocałował ją gorąco.

- Wystarczy na dowód?

- Trudno powiedzieć. - Przeciągnęła się w jego ramionach.

Zaraz potem znalazła się nad ziemią, a chwilę później w sypialni. Ułożył ją na szerokim łóżu i zaczął zrzucać z siebie ubranie.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Znowu przypominasz pirata. Brakuje ci tylko szabli i przepaski na oku.

- Chcesz powiedzieć, że jestem dzikusem?

Cudownym, wspaniałym, opalonym i silnym dzikusem z dwudniowym zarostem, pomyślała.

- Chcę powiedzieć, że jesteś niezwykły.

Z jej głosu nie mógł się zorientować, czy mówi serio.

Spojrzał na nią z góry. Leżała w białej pościeli, krucha, drobna i bezbronna, otoczona płaszczem lśniących włosów. Wyglądała jak mała dziewczynka. I jak dojrzała kobieta... Przypomniał sobie, jak zobaczył ją w drzwiach kuchni z Katie w ramionach. Była taka szczęśliwa; lekko zawstydzona, onieśmielona, ale bez wątpienia szczęśliwa. Przypomniał sobie, jak się zarumieniła, kiedy matka powiedziała później, że to właśnie ona, Sydney, przygotowała sałatkę. I jak się ucieszyła, kiedy jego ojciec na pożegnanie uściskał ją jak córkę. Wiele takich rzeczy pamiętał z tego weekendu. Jak głąaskała Brandona po głowie i jak pocałowała w czoło Freddie...

Potrzebowała uczucia, prawdziwej rodziny. Choć była dorosła, to niczym mała samotna dziewczynka najbardziej potrzebowała miłości.

Zamyślony, usiadł przy niej na łożku.

- Co się stało? Gniewasz się? - Spojrzała na niego z niepokojem. - Powiedziałam coś nie tak?

- Nie. To ja jestem winien. - Delikatnie pocałował wnętrze jej dłoni. - Jestem zbyt mało czuły, nie pomyślałem...

Ach, tak, więc jednak go zraniła. Nie potrafiła wyczuć, że takie żarty mogą sprawić mu przykrość.

- Nie przejmuj się. Ja tylko żartowałam. To, co mówiłam o Aleksie, to nieprawda. Oczywiście, że wolę ciebie.

- Może niesłusznie.

- Słusznie - podniosła się i rozpaczliwie przytuliła się do niego - chcę tylko ciebie, nawet nie wiesz, jak bardzo ciebie pragnę. - Zaczęła całować go raz po raz, jakby się obawiała, że odejdzie. Jego usta były delikatne i cierpliwe. Jego miłość też była cierpliwa i wyrozumiała.

- Jesteś niezwykła - powiedział cicho i delikatnie zaczął zdejmować z niej ubranie. - Ten wieczór będzie tylko dla ciebie, żebyś była szczęśliwa. Flo liczysz się tylko ty. - Spojrzał jeszcze raz na jej kruche, śliczne ciało. - Pokażę ci, czym dla mnie jesteś.

Była wszystkim. Nie było niczego i nikogo ważniejszego. Musi ją o tym przekonać, sprawić, że mu uwierzy i nigdy nie będzie miała wątpliwości ani poczucia winy.

Miłość nie potrzebuje niepewności. Miłość jest spokojem i zaufaniem. Tego właśnie ją nauczył.

- Kocham cię, Sydney, kocham tylko ciebie i nigdy nie przestanę cię kochać.

Sydney poczuła, że jej policzki są mokre od łez.

11

Było jeszcze ciemno, kiedy zadzwonił telefon. Spali wtuleni w siebie jak zmęczone dzieci. Sydney drgnęła i mocniej przylgnęła do Michaela. Przesunął się delikatnie, żeby jej nie obudzić i sięgnął po słuchawkę.

- Słucham? To ty Alex? - Usiadł wyprostowany na łóżku. - Na miłość Boską, co się stało? - Uspokojony zapewnieniem brata, że w domu wszystko w porządku, mówił dalej: - Cholera, myślałem, że dzwonicz ze szpitala albo z więzienia, o tej porze... Co ci do głowy przyszło - zerknął na stojący na nocnym stoliku zegarek - jeszcze nie ma piątej. Co takiego? - Nerwowym mchem przełożył słuchawkę do drugiego ucha. - Cholera jasna - zaklął znowu - zaraz tam będę!

Zerwał się i sięgnął po ubranie. Sydney usiadła na łóżku. - Rodzice...? - zapytała z przejęciem.

- Z rodzicami wszystko w porządku - przysiadł obok niej i ujął ją za rękę - chodzi o dom, było włamanie w moim domu.

Nie od razu zrozumiała.

- Włamanie?

- Policjant, którego zaalarmowali sąsiedzi, zna Alexa,

dlatego od razu do niego zadzwonił. Podobno są poważne szkody.

- Zniszczyli dom? - Poczowała ucisk w gardle.

- Na szczes'cie nikomu nic się nie stało. Wyłamali tylko framugi, poplamili sprayem ściany, puste mieszkania zalali wodą.

Otrząsnęła się z resztek snu.

- Za pięć minut będę gotowa.

Budynek był w opłakanym stanie. Kawałki połamanego drewna, stłuczone szyby i powyrywane klamki porozrzucone były po całej klatce schodowej. Na ścianach widniały obsceniczne napisy i rysunki. Częściowo zerwano poręcze schodów, niektóre drzwi pocięto i porysowano nożami.

W pustym mieszkaniu pani Wolburg w wodzie po kostki pływały haftowane poduszki i lalki w koronkowych ubrankach.

- Zatkali zlew i umywalkę i puścili wodę - wyjaśnił Alex, którego spotkali na miejscu - lało się tak przez kilka godzin, dopiero któregoś z lokatorów obudził dźwięk wybijanych okien.

- Jak wyglądają inne mieszkania? - w głosie Sydney brzmiało przygnębienie.

- Mniej więcej tak samo - Alex ujął ją pod ramię - bardzo mi przykro. Próbujemy właśnie dowiedzieć się czegoś od lokatorów...

- ..ale było ciemno i nikt nic nie widział - dokończyła za niego.

- Niestety. - Pokiwał głową. - Pójdę teraz do nich - Alex wskazał ręką gorączkowo rozprawiającą grupę

w szlafrokach i piżamach - spróbuję porozmawiać, a ty idź na górę do Michaela.

- Nie. Dom jest mój, sama z nimi pomówię.

- Swoją drogą ciekawe, że tak dobrze wiedzieli, które mieszkania są puste. Zupełnie jakby mieli spis lokatorów.

Spojrzała na niego spod oka. Nawet gdyby nie miał na sobie munduru, wyczułaby glinę.

- To przesłuchanie?

- Nie, tylko taka uwaga. Przecież musisz wiedzieć, kto ma dostęp do listy lokatorów.

- I wiem. Domyślam się też, czyja to może być sprawa. - Dotknęła połamanej poręczy. - Nie chodzi mi oczywiście o wykonawców, tylko o tego, kto za tym stoi. Właściwie to już teraz jestem tego pewna. Nie mam tylko dowodów.

- Pomóż nam, a znajdziemy je.

Objęła spojrzeniem pochłapane ściany.

~ Mogę wam pomóc, ale pod jednym warunkiem - że nic nie powtórzysz Michaelowi.

- Stawiasz trudne warunki, Sydney.

- Taka już jestem.

O ósmej była w biurze. O dziewiątej, przejrawszy dokładnie teczkę Lloyda, wykonała kilka telefonów, wypić trzecią filiżankę kawy i ustaliła dokładny plan działania.

Po pierwsze, trzeba upoważnić Michaela do powiększenia ekipy remontowej, po drugie - porozumieć się z firmą ubezpieczeniową, po trzecie - rozpocząć wojnę psychologiczną z wrogiem numer jeden.

Osobiście połączyła się z Lloydem Binghamem.

- Słucham.
 - Mówi Sydney Hayward.
 - O, masz kłopoty? - Głos w słuchawce ożywił się.
 - Nie tyle ja, co ty, Lloyd. Trochę się wygłupiłeś.
 - Nie wiem, o czym mówisz.
 - Oczywiście, że nie wiesz. Następnym razem musisz wszystko lepiej przygotować.
 - O co ci właściwie chodzi?
 - O mój dom, moich lokatorów i o błąd, jaki popełniłeś.
 - Wiesz co, chyba trochę za wcześnie na zagadki - odparł, lecz jawna satysfakcja w jego głosie sprawiła, że Sydney była już pewna, z czyjej inspiracji dokonano najścia na kamienicę. Mocniej zacisnęła palce na brzegu biurka.
 - To nie jest żadna zagadka. Wszystko jest jasne. Po prostu nie przewidziałeś, że większość mieszkańców tego domu wychodzi do pracy o świcie. Piją kawę, wyglądają przez okna, widzą wszystko, co się dzieje wokół nich. Każdy jest w stanie dać policji dokładny opis sprawców.
 - Twój dom, twoja sprawa - słyszała, jak zaciągnął się papierosem - nawet nie wiem, kiedy ostatni raz byłem w pobliżu.
 - Nie mówię, że byłeś tam osobiście. Zawsze potrafiłeś znaleźć ludzi do czarnej roboty. Tylko że policja prędzej czy później ich znajdzie. Sam się wtedy przekonasz, ile jest wart nielojalny pracownik.
- Przez sekundę panowało milczenie.
- Wciąż cię nie rozumiem. Skończmy lepiej już tę rozmowę.
 - Tak będzie najlepiej. Tylko pamiętaj, nie dawaj im

premier, niezbyt starannie wywiązali się z obowiązków. Do widzenia.

Z satysfakcją odłożyła słuchawkę. Znała go dobrze. Wiedziała, że Lloyd natychmiast porozumie się ze swoimi ludźmi, a już głowa Alexa w tym, żeby policja obserwowała ich spotkanie. Wcisnęła guzik interkomu.

- Janinę, umieram z głodu, może byśmy coś przekąsiły? Czeka nas ciężki dzień.

- Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Przyszła twoja matka.

- Powiedz jej... - zaczęła Sydney, lecz zaraz zmieniła zdanie. Nie wolno tchórzyc. - Nie, nie mów nic. Po prostu poproś ją tutaj.

Wzięła głęboki oddech, wstała zza biurka i ruszyła ku drzwiom, by je otworzyć.

- Sydney, kochanie - Margerite, w szarych jedwabkach, sunęła ku niej otoczona obłokiem paryskich perfum - chciałam cię przeprosić.

- Przeprosić? Za co? - Oszołomiona Sydney podstawiła policzek do pocałowania.

- Widzisz, przez cały weekend nie mogłam sobie znaleźć miejsca, byłam taka nieszczęśliwa... - Matka ze łzami w oczach zaczęła obracać w dłoniach małą złotą torebkę. - Mogę usiąść?

- Oczywiście, przepraszam, napij się czegoś?

- To był najgorszy dzień w moim życiu. Trudno, trzeba się przyznać, po prostu byłam zazdrosna.

- Mamo...

- Nie, muszę to powiedzieć, tak będzie lepiej. - Ujęła córkę za rękę.

Sydney, zmieszana, usiadła obok matki.

- Nic nie mów, nie musisz się tłumaczyć. Zapomnijmy o wszystkim.

- Nie ~ Margerite pokręciła głową - jestem wystarczająco dojrzała, żeby przyznać się do błędu. Po prostu stale jeszcze uważam, że jestem atrakcyjną kobietą.

- Jesteś.

Matka uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Ale nie do tego stopnia, żeby umierać z zazdrości, kiedy mężczyzna, który mi się szalenie podoba, interesuje się moją córką. Bardzo żałuję, że tak się zachowałam, przepraszam cię za to, co mówiłam, i w ogóle za wszystko. Przebaczysz mi?

- Oczywiście, ja też cię bardzo przepraszam, mamo, za tamten ton.

Margerite wyjęła z torebki muślinową chusteczkę i przyłożyła ją do oczu.

- Bardzo mnie zaskoczyłaś. Nigdy dotąd nie byłaś tak stanowcza. A Michael... On jest naprawdę bardzo przystojny, to niezwykle pociągający mężczyzna. Doskonale rozumiem, co cię w nim interesuje, chociaż trudno mi się z tym wszystkim pogodzić. • - Schowała chusteczkę do torebki. - Ale przecież zawsze chodziło mi tylko o to, żebyś była szczęśliwa.

- Wiem, mamo.

- Tak się cieszę, że sobie wszystko wyjaśniłyśmy, chcę teraz coś dla ciebie zrobić.

- Nie musisz nic robić, mamo.

- Muszę, zaproszę cię dziś na kolację.

Sydney oczyma duszy ujrzała stosy papierów do przeje-

rzenia i balkon Michaela z peonią w zielonej butelce. Potem spojrzała w proszące oczy matki. Nie, tym razem nie mogła jej odmówić.

- Dobrze, mamó - zgodziła się.

- Cudownie! - Margerite sfrunęła z krzesła. - Jesteśmy umówione, o ósmej, tam gdzie zawsze.

Musnęła wargami policzek córki i zniknęła.

O ósmej Sydney, w przepiso wytwornej, bladoniebieskiej sukni, wysiadła z limuzyny przed rześcicie oświetlonym budynkiem restauracji.

- Dziękuję ci, Donaldzie, do domu odwiezie mnie szofer mojej matki - powiedziała kierowcy.

- Do widzenia, panno Hayward, życzę miłego wieczoru.

Maitre d'hotel poznał ją natychmiast i sam zaprowadził do stolika. Uśmiechnęła się do siebie, widząc wytworne wnętrza. Szła przez salę jednej z najelegantszych restauracji Nowego Jorku, a myślała o gulaszu w małym mieszkanku Michaela. Na pewno siedzi sobie teraz i popija piwo z puszki...

Ku jej zdumieniu, obok Margerite przy stoliku siedział... Channing.

- Witaj, kochanie! — Margerite, zachwycona swoim podstępem, nie dostrzegła niebezpiecznego błysku w oczach córki. - Prawda, że jest cudownie?

- Cudownie - głos Sydney zabrzmiał martwo.

Channing podniósł się i pocałował ją w policzek.

- Wyglądasz jak zwykle prześlicznie.

Otworzono szampana. Z trudem przełknęła łyk.

- Mama nic mi nie mówiła, że tu będziesz.

- To miała być niespodzianka - Margerite zamrugała oczami - moja mała niespodzianka. A teraz, dzieci - odłożyła serwetkę i podniosła się z krzesła - bardzo was przepraszam, ale chyba pójde poprawić sobie makijaż.

Kiedy zostali sami, Channing niezwłocznie przystąpił do rzeczy.

- Sydney - ujął jej rękę - bardzo za tobą tęskniłem, nie widzieliśmy się tak długo...

- Tak - cofnęła rękę - kilka tygodni. Co u ciebie słychać?

- Nic prócz tęsknoty. - Dotknął jej nagiego ramienia.
- Jesteś taka piękna. Dlaczego wciąż mi umykasz?

- Nie umykam, po prostu mam dużo pracy.

Westchnął. Tak, Margerite na pewno ma rację, próbował się pocieszać. Po ślubie wszystko się zmieni. Będzie miała dość zajęć, zapomni o karierze. Trzeba tylko być stanowczym i nieustępliwym.

- Kochanie, znamy się od tak dawna, myślę, że już czas, żeby zmieniło się coś w stosunkach między nami.

Sydney skinęła głową.

- Już się zmieniło.

Zachęcony, ciągnął dalej. Znowu ujął jej dłoń.

- Nie chciałem działać zbyt szybko, ale teraz nadszedł właściwy czas. Bardzo mi się podobasz, jesteś taka piękna i mądra, naprawdę jestem pełen uznania dla twojej urody, wdzięku, zdolności. Podziwiam cię, Sydney, i...

- Spełniam wszystkie warunki - odpowiedziała.

- Właśnie - ucieszył się - i dlatego chciałem cię prosić, żebyś została moją żoną. - Sięgnął do kieszeni i wyjął

z niej aksamitne pudełeczko. Otworzył. Rozbłysł wielki brylant.

- Channing...

- Jest taki jak ty, piękny i wytworny.

- Jest wspaniały - odsunęła jego rękę - ale nie mogę go przyjąć, nie mogę przyjąć twoich oświadczeń.

Spojrzał na nią z lekkim zniecierpliwieniem.

- Po co ta kokieteria? Daj spokój, jesteście dorośli.

- Chcę być z tobą szczerą, posłuchaj więc. - Teraz ona ujęła jego dłonie. - Nie wiem, co matka powiedziała ci na mój temat, jest mi więc głupio i przykro. Zdaje się, że oboje znaleźliśmy się w bardzo niezręcznej sytuacji, wyjaśnijmy więc sobie wszystko uczciwie. Nie wiem, być może rzeczywiście mnie kochasz, Channing, lecz ja nie kocham ciebie.

- Nie oświadczałbym się, gdybym cię nie kochał - w jego głosie zabrzmiała uraza.

- Oświadczyłeś się, bo ci się podobam, jestem atrakcyjna, pochodzę z tego samego środowiska i, jak to się mówi, można się ze mną pokazać. To są prawdziwe powody, nie miłość. Czy nie mam racji? - Włożyła pierścionek do pudełeczka i zacisnęła na nim jego rękę. - Już raz byłam niedobrą żoną i nie chcę tego powtarzać.

Channing nieoczekiwanie odprężył się.

- Rozumiem, masz uraz po poprzednim małżeństwie.

- Nie, nie rozumiesz. To, co się wydarzyło między mną a Peterem, nie ma nic wspólnego z moją dzisiejszą odmową. Nie kocham cię, bo bardzo kocham kogoś innego.

Poczerwieniał.

- Dlaczego wobec tego udawałaś?

- Po prostu cię lubię, ale niczego nie udawałam. Jest mi przykro, że źle mnie zrozumiałaś.

- Przeprasiny nie wystarczą - wściekły wstał z krzesła - wytłumacz mnie, proszę, przed swoją matką. Do widzenia.

Odszedł szybkim krokiem, zostawiając ją z poczuciem winy i niesmaku. Po chwili nadciągnęła Margerite. Przejęta, nawet nie zauważyła wyrazu twarzy córki. Sądząc, że Channing zniknął gdzieś jedynie na chwilę, od razu przystąpiła do pytań.

- No i co? Jak było? Wszystko mi opowiedz.

- Channing sobie poszedł, mamo.

Margerite potoczyła dokoła zdumionym wzrokiem.

- Jak to sobie poszedł?

- Po prostu, odszedł wściekły, bo odrzuciłam jego propozycję.

- Co zrobiłaś? Odrzuciłaś... jak mogłaś?

- Jak mogłam? - powiedziała nieco za głośno i zaraz ściszyła głos. - To ty ukartowałaś *to* wszystko, mamo.

- Oczywiście - Margerite sięgnęła najpierw po szklankę wody, a potem po kieliszek wina - od kilku tygodni próbuję coś zrobić, żebyście wreszcie się spotkali. Channing jest wymarzoną partią. Pochodzi z doskonałej rodziny, ma wspaniały dom, dobrą pracę. Nic mu nie można zarzucić.

- Nie kocham go.

- Błagam, nie mów głupstw. Bądź rozsądna.

- Zawsze byłam i to był błąd. Uwierzyłam, że przyszedł do mnie z dobrej woli, uwierzyłam w twoje przeprosiny, bo myślałam, że coś zrozumiałaś. Myślałam, że odtąd będziemy ze sobą szczerze...

Oczy Margerite zwilgotniały.

- Wszystko, co mówiłam rano, jest prawdą. Cały weekend dręczyłam się, zamartwiając się o ciebie. Jesteś moją córką, pragnę tylko twojego dobra.

Głos Sydney złagodniał.

- Mamo, wierzę ci, ale niepotrzebnie uważasz, że jedynie ty wiesz, co jest dla mnie dobre. Nie chcę cię ranić, ale zaczynam myśleć, że nigdy tego nie wiedziałaś. Zobacz, dzisiaj przez ciebie zrobiłam przykrość Channingowi, a wcale tego nie chciałam.

Po policzku Margerite spłynęła łza.

- Sydney, ja tylko myślałam...

- Nie myśl za mnie - Sydney też była bliska łez - nigdy już nie myśl za mnie. Jestem dorosła i sama muszę o sobie decydować. Możesz mi doradzać, lecz proszę, nie wyręczaj mnie. Kiedyś ci na to pozwoliłam i zniszczyłam czyjeś życie.

- Nie chcę, żebyś została sama. Samotność to straszna rzecz.

- Mamo - ujęła rękę matki - posłuchaj, bardzo cię Kocham, ale nie mogę żyć tak jak ty. Pozwól mi mieć inne pomysły na szczęście. Chcę, żebyśmy były wobec siebie szczerze, nie chcę niczego udawać. Z czasem sprawy między nami ułożą się, zobaczysz, ale póki to nie nastąpi, pragnę tylko jednego: żebyś akceptowała mnie taką, jaka jestem. Nie wyjdę za Channinga. I w ogóle już nigdy nie wyjdę za męża.

- Sydney...

- Są rzeczy, o których nie wiesz. Są rzeczy, o których nie wie nikt. Zaufaj mi, wiem co mam robić. Przez ostatnie

tygodnie byłam bardziej szczęśliwa niż przez resztę życia. Niczego przed nikim nie musiałam udawać. Byłam sobą i czułam się z tym wspaniale.

- Michael... - szepnęła Margerite i ciężko westchnęła.
- Tak, Michael i firma, moja firma. I ja sama. Nareszcie coś robię, moje życie nabrało sensu. A teraz, mamó, popraw makijaż i zjedzmy razem kolację.

Michael siedział przy stole i kończył rzeźbić głowę Sydney w różanym drewnie. Robił to już od kilku godzin, lecz mimo to nie czuł zmęczenia. Pracował w natchnieniu. Czuł się trochę jak stwórca, wywołujący z niebytu żywą istotę. Kiedy wreszcie rozbolały go ręce i postanowił chwilę odpocząć, nie pamiętał nawet, jaką techniką się posłużył, by wydobyć z martwego kawałka drewna jakże żywe ludzkie kształty.

Materiał, technika nie miały w tym przypadku żadnego znaczenia; liczył się tylko rezultat. Miał ją teraz przy sobie, była tu, piękna, żywa, należąca tylko do niego.

Miał za sobą ciężki dzień. Przedpołudnie spędził, formując ekipę, która miała naprawić szkody dokonane w budynku. Teraz, kiedy napięcie związane z pracą opadło, czuł się kompletnie wykończony. Nie zamierzał jednak się położyć. Nie chciał iść do łóżka sam.

Dlaczego tak potwornie za nią tęskni? Przecież minęło dopiero kilka godzin. Dlaczego tak się męczy, skoro wie, że Sydney jest w tym samym mies'cie, o kilka ulic dalej? Dlaczego nie może wyobrazić sobie jednej nocy bez niej, leżącej obok niego? Dlaczego nie jest w stanie spędzić sam kilku godzin dzielących go od następnego dnia?

Przeciagnął dłonią po włosach i zapatrzył się w ścianę. Zamiast kłaść się i próbować zasnąć, mógłby przecież zadzwonić do niej i po prostu usłyszeć jej głos. Albo pojechać i zastukać do jej drzwi...

Zerwał się i ruszył do wyjścia. W tej samej chwili rozległo się pukanie. Otworzył, zanim ustało, i na progu swego mieszkania ujrzał... Sydney.

- Jak szybko otworzyłeś - zdyszana, położyła rękę na sercu - przepraszam, że tak późno, ale zobaczyłam, że pali się światło, i postanowiłam wejść na górę...

Nie dając jej skończyć, wciągnął ją do środka i mocno przytulił.

- Właśnie chciałem do ciebie jechać.

- Do mnie? Byłam na kolacji z matką.

- Pragnąłem cię. Jest północ, co robisz w mieście o tej porze? To niebezpieczne.

- Czuję się zupełnie bezpiecznie.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Następnym razem zadzwoń, przyjdę po ciebie. Co się stało? - Zajrzał jej w oczy. - Płakałaś?

- To tylko mama. Rozpłakała się, więc i ja się trochę wzruszyłam.

- Myślałem, że już wszystko sobie wyjaśniłyście.

- Tak, ale doszły nowe elementy. Teraz jednak już wszystko jest dobrze.

Delikatnie przesunął palcem po jej wargach.

- Nie chce mnie dla swojej córki.

- Nie, chodzi o coś więcej. Dziś wieczór straciła ostatnie złudzenia.

- Opowiesz mi?

- Tak - westchnęła - za chwilę. - Podeszła do stołu i spostrzegła drewnianą rzeźbę. Przez chwilę nie mogła od niej oderwać wzroku. - Boże - szepnęła wreszcie - jakie to piękne, jesteś genialny...

- Ja tylko rzeźbię to, co widzę, to, co czuję...

- Tak właśnie mnie widzisz?

- Taka jesteś. Dla mnie jesteś właśnie taka.

Dla niego była więc nieziemsko piękna, pełna życia, ciepła i niezwykła.

- Przecież nawet ci nie pozowałam.

- Pozowałeś - dotknął wargami jej włosów - a teraz opowiedz mi wszystko.

- Matka przyprowadziła na nasze spotkanie **Channinga**.

Oczy Michaela niebezpiecznie pociemniały.

- To ten bankier w jedwabnym gamiturku, któremu pozwoliłaś się całować? - Przygarnął ją do siebie i jakby chcąc zaznaczyć, że Sydney należy tylko do niego, wycisnął na jej ustach gorący pocałunek. - Nie pozwól mu nigdy więcej.

- Nie pozwolę.

- Dobrze - posadził ją na kanapie - w takim razie daruję mu życie.

Roześmiała się i objęła go za szyję.

- To nie była jego wina, nawet moja matka nic tu nie zawiniła, po prostu zbieg okoliczności. Mama uznała, że nadszedł właściwy czas, żeby się oświadczył.

- Oświadczył? On chce się z tobą ożenić?

- Tak mu się zdawało. Odmówiłam i pewnie już więcej go nie zobaczę. Nie przejmuj się tak tym wszystkim.

- Niech tylko spróbuje się do ciebie zbliżyć! Nikt inny się z tobą nie ożeni, tylko ja!

Sydney zeszywniała nagle.

- Dobrze - powiedziała i niby się uśmiechnęła, widać było jednak, że jej dobry humor gdzieś przepadł. - Nie mówmy teraz o tym, jest strasznie późno, właściwie powinnam już... - Podniosła się, jakby miała zamiar za chwilę wyjść.

- Poczekaj. - Szybkim krokiem poszedł do sypialni i wrócił po chwili z aksamitnym pudełeczkiem w ręku. - Siadaj.

- Proszę cię, Michael...

- To stój.

Odskoczyła sprężynka. Błysnął mały rubin.

- Dziadek mojego ojca zrobił to dla swojej żony. Był złotnikiem i znał się na rzeczy. Kamień jest mały, ale robota dobra. Dostałem to jako najstarszy syn. Jeśli ci się nie podoba, kupię coś innego.

- Jest bardzo piękny, ale ja po prostu nie mogę... - Schowała rękę za plecy. - Proszę cię, nie...

- Daj rękę-powiedział niecierpliwym tonem.

Cofnęła się.

- Nie mogę go założyć, nie mogę wyjść za ciebie, rozumiesz?

Pokręcił głową, złapał ją za rękę i siłą włożył pierścionek na jej palec.

- Trochę za duży, trzeba będzie go zmniejszyć.

- Nie, nie wyjdę za ciebie.

Zacisnął rękę na jej dłoni, nie pozwalając zdjąć pierścionka.

- Dlaczego?

- Bo nie. Nie chcę wychodzić za mąż - powiedziała z trudem. - Nie chcę... znowu wszystkiego zepsuć.

- Miłość nie niszczy małżeństwa. Małżeństwo - miłości.

- Nic o tym nie wiesz. Nigdy nie byłeś żonaty. Ja miałam męża i już nigdy tego nie powtórzę.

Puścił jej rękę.

- Nie zawsze jest tak samo, masz złe doświadczenia, ale tu nie ma reguł...

Jej oczy wypełniły się łzami.

- Ja go kochałam.

Zasłoniła twarz dłońmi i rozpłakała się. Michael opanował się, pogłaskał ją po głowie. Niepotrzebnie był taki uparty. Cholera, nie chciał jej skrzywdzić...

- Przepraszam.

- Nic nie rozumiesz.

- To pomóż mi zrozumieć - zaczął całować jej łzy - i wybacz mi. Nie wracajmy już do tego.

- Nie chodzi o przeszłość, Michael - z trudem zaczerpnęła oddech - chodzi o nas. Wolę... wolę, żeby wszystko zostało tak jak jest.

- Ale ja cię kocham. Jesteś mi potrzebna, nie mogę bez ciebie żyć. Dlaczego nie chcesz za mnie wyjść? - pytał jak dziecko, które nie chce zrozumieć skomplikowanego świata dorosłych.

- Nie chcę wyjść za nikogo. Nigdy. Mam odpowiedzialną pracę i ona pochłania mnie całkowicie.

- To pretekst, chcę usłyszeć prawdę.

- Dobrze. Nie chcę nikogo ranić, nie chcę, żeby raniono mnie. Małżeństwo zmienia ludzi.

- Ciebie też zmieniło?

- Kochałam Petera - powtórzyła. - Nie tak jak ciebie, ale kochałam go. Był moim najlepszym przyjacielem. Dorastaliśmy razem, a po rozwodzie rodziców tylko z nim mogłam o tym mówić. Rozumiał wszystko, co się ze mną dzieje, co czuję, co myślę, czego się obawiam. Mogliśmy godzinami przesiadywać razem i opowiadać sobie sekrety.

- I zakochałaś się.

- Nie, kochaliśmy się od dawna, zawsze byliśmy razem. Nawet nie wiem, kiedy postanowiliśmy się pobrać. Ktoś nam to musiał podpowiedzieć. „Jak oni cudownie do siebie pasują... Świetnie razem wyglądają... Są dla siebie stworzeni...” Wszędzie słyszeliśmy te słowa. W końcu zaczęliśmy w nie wierzyć i zrobiliśmy to, czego wszyscy od nas oczekiwali. - Wytarła oczy i podeszła do półki z rzeźbami. - Miałaś rację, mówiąc, że jestem podobna do Kopciuszka. Zawsze postępowałam w zgodzie z regułami. Chodziłam do odpowiedniej szkoły i dostawałam najlepsze stopnie, bo tego ode mnie oczekiwano. Kryłam swoje uczucia, bo tak było trzeba. Zawsze się tak zachowywałam. Wysłałam za Petera, bo takie były reguły, którymi rządził się świat, w którym żyliśmy. - Znowu zwróciła twarz ku niemu. - Kiedy skończyliśmy dwadzieścia dwa lata, pobraliśmy się. Oboje sądziliśmy, że robimy dobrze. Przecież znaliśmy się, lubiliśmy te same rzeczy, te same miejsca, rozumieliśmy się bez słów. Naprawdę byliśmy w sobie zakochani. Ale nie udało się. Początek był miły, podróż poślubna do Grecji, bardzo nam się podobało... Potem wróciliśmy do Nowego Jorku. On poszedł do pracy, ja zostałam w domu. Wydawałam przyjęcia, urządzałam mieszkanie,

a wieczorami siedziałam sama i patrzyłam w okno na zachodzące słońce.

- Popełniłaś błąd.

- Tak i poniosłam jego konsekwencje. Zyskałam męża, a straciłam najlepszego przyjaciela, a jeszcze przedtem jego miłość. Pozostały tylko wzajemne oskarżenia. Byłam zbyt zimna, więc musiał pójść gdzie indziej w poszukiwaniu ciepła i akceptacji. Przez pewien czas staraliśmy się zachować pozory. Tego przecież od nas oczekiwano. Nawet kiedy się rozwodziliśmy, staraliśmy się to zrobić w sposób cywilizowany. Zresztą, szkoda gadać... Po prostu nie mogę zostać twoją żoną, Michael. Rozumiesz?

- Z nami będzie zupełnie inaczej.

- Nie. Będzie tak samo. Nie mogę na to pozwolić.

Pokręciła głową, ujął jej twarz w swoje dłonie.

- Wszystko się ułoży, po prostu potrzebujesz trochę czasu.

- Nie! - Gwałtownie odsunęła jego rękę. - Wszystko znowu jest tak samo. Kochasz mnie i oczekujesz, że za ciebie wyjdę, bo ty tego chcesz, ja mam tylko spełnić twoje oczekiwania.

- Nie o to chodzi! - Potrząsnął nią gwałtownie. - Posłuchaj, tu nie chodzi o żadne reguły, oczekiwania, ambicje i co tam jeszcze. Chcę po prostu z tobą być, chcę z tobą spędzić życie, mieć z tobą dzieci, patrzeć, jak rosną, mieć szczęśliwą rodzinę...

Zrobiła kilka kroków do tyłu. Spojrzała na niego wrogo.

- A ja nie zamierzam zakładać rodziny. W tym się różnimy. Musisz się z tym pogodzić.

- Z czym mam się godzić? Przecież mnie kochasz.

Jestem wystarczająco dobry, żeby iść ze *mną* do łóżka, ale nie dość dobry, żeby spędzić ze mną resztę życia? W dalszym ciągu kierujesz się zasadami, a nie sercem, Sydney. Nie słuchasz, co ci podpowiada, tylko budujesz jakieś nie-stworzone historie i drżysz przed jakimś mrocznym przeznaczeniem, którego nie ma. Logika serca jest prosta. Posłuchaj go.

- Kieruję się zdrowym rozsądkiem - poszła w stronę drzwi - przykro mi, ale tak się nie porozumiemy. Mamy inne wizje tego, czym jest szczęście...

- Odprowadzę cię.

- To zbyt dobre.

- Jak chcesz, ale pamiętaj - i tak będziesz moja.

Nie obejrzała się. Wyszła i taksówką wróciła do domu. Dopiero kiedy zapłakana leżała w łóżku, spostrzegła, że wciąż ma na palcu zaręczynowy pierścionek.

12

Sydney cały tydzień pracowała jak szalona. Praca paliła jej się w rękach. W ciągu kilku dni zebrała więcej pochwał niż kiedykolwiek przedtem. Zawarła niezwykle korzystny kontrakt, rada była zachwycona, a akcje firmy wzrosły o trzy procent. Miała powody do prawdziwej satysfakcji i zadowolenia.

W głębi duszy była jednak smutna i przygnębiona.

- Dzwoni pan Stanisławski, ten z policji - dobiegł z interkomu głos nowej sekretarki.

Sydney poruszyła się niespokojnie.

- Ten z policji... ? Dobrze, proszę mnie połączyć. Alex?

- Witaj, księżniczko, mam dla ciebie dobre wiadomości. Moi chłopcy właśnie rozmawiają sobie z twoim starym kumplem, Lloydem Bringhamem.

A więc nie chodzi o Michaela, pomyślała zawiedziona.

- Doskonale, bardzo ci dziękuję.

- Miałaś rację. Obejrzelśmy sobie tych facetów, z którymi się spotkał, przymknęliśmy ich i zaraz zaczęli śpiewać.

- I co? Zeznali, że to Lloyd ich wynajął?

- Dokładnie tak. Nie powinnaś mieć już kłopotów

z tym facetem. Możesz sobie pogratulować, gdyby nie ty, nie wpadlibyśmy na to tak szybko. Niezła jesteś. Piękna i mądra. Tylko trochę smutna, sądząc z głosu. Może byś się ze mną wybrała na morza południowe? Michael na pewno się wścieknie...

- Ma i bez tego wystarczająco dużo kłopotów.

- Dał ci popalić? Nie martw się. Wujek Alex cię pocieszy. - Ponieważ Sydney nie podjęła żartobliwego tonu, jego głos nagle spoważniał. - Coś nie tak? - spytał. - Nie przejmuj się, on ma swoje humory, jak to artysta. Przecież wiesz, że i tak za tobą szaleje.

- Wiem. Zadzwoń do niego, powiedz mu, że macie sprawcę włamania. Na pewno się ucieszy.

- A może powtórzyć mu coś jeszcze?

- Tak... albo lepiej nie, sama mu wszystko powiedziałam.

- W porządku, gdybyś się jednak zdecydowała na te morza południowe, jestem do usług.

Odłożyła słuchawkę. Dobrze jest być takim beztroskim i wesołym jak Alex. Westchnęła. Oto człowiek, który nie ma kłopotów, i nie wie, jak to jest, kiedy marzenia rozwiewają się jak sen.

Właściwie to nie powinna czuć żalu. Sama zdecydowała, sama zrezygnowała ze szczęścia, podpowiadał jej złośliwie jakiś wewnętrzny głos. Nie, nie, odpowiadał mu inny, po prostu powstrzymała się przed zrobieniem kolejnego błędu. Postąpiła słusznie. Małżeństwo nie zawsze jest dobrym wyjściem. Tak uczy ją doświadczenie własne i matki. Michael powinien po prostu zaakceptować jej warunki i wszystko pozostałoby, tak jak było. A on się uparł na małżeństwo.

Właściwie dlaczego?

Dlatego że nigdy nie ustępuje i że zawsze jest przekonany, że to on ma rację. Że dąży do celu, nie oglądając się na nikogo i na nic.

No dobrze, a gdyby powiedział: albo małżeństwo, albo nic? Gdyby musiała wybierać? Czy wybrałaby małżeństwo, które może wszystko popsuć, czy też może popsułaby wszystko, nie wychodząc za niego?

Dobrze byłoby móc z kimś o tym porozmawiać. Poradzić się kogoś, posłuchać czyjegoś zdania. Komu jednak mogłaby się zwierzyć? Nie ma przyjaciół, nigdy nie miała, oczywiście poza Peterem. On z pewnością by ją zrozumiał. Kiedyś. A może...

Tak, innego wyjścia nie ma!

Wstała i szybkim krokiem przeszła do pokoju Janinę.

- Wyjeżdżam na kilka dni.

- Ale...

- Wiem, że nic ci nie mówiłam, wiem, że jesteś zaskoczona i że tak się nie robi, ale muszę. Nie mamy teraz nic specjalnie pilnego. W razie czego zadzwonię.

- Jutro masz spotkanie - przypomniała Janinę.

- Zastąpisz mnie, masz teczki, dokumenty, wiesz, o co mi chodzi. Porozumiem się z tobą, jak tylko dojadę na miejsce.

- Ale... dokąd właściwie jedziesz?

- Odwiedzić starego przyjaciela.

Michael wtargnął do biura w godzinę po jej wyjściu. Był zdecydowany na wszystko. Dał jej kilka dni do namysłu, czas upłynął, musiał wreszcie z nią porozmawiać.

Minął biurko nowej sekretarki i otworzył drzwi do gabinetu Sydney.

- Proszę pana, niech pan...
- Gdzie ona jest?
- Pani Hayward właśnie... Musi pan...
- Gdzie ona jest? - powtórzył złowrogo.

W drzwiach ukazała się Janinę.

- Zajmę się tym, Carla.
- Dobrze, proszę pani - odetchnęła z ulgą sekretarka.
- Pani Hayward nie ma. Czym mogę panu służyć?
- Adresem.
- Tego niestety nie mogę zrobić. Pani Hayward nie powiedziała, dokąd jedzie. Wiem tylko, że wróci za kilka dni.

- Wyjechała? Zostawiła tak firmę? - Spojrzał na puste biurko.

- Owszem, ja też byłam zdziwiona. Obiecała, że zadzwoni. Mam coś przekazać?

Zaklął pod nosem i wybiegł z biura Hayward Industries.

- Cóż, będzie chyba lepiej, jeśli pan sam jej to przekaże
- powiedziała Janinę, jednak Michael oczywiście już jej nie słyszał.

Dwadzieścia cztery godziny później Sydney stała na chodniku przed domem Petera. Łatwiej było jej przebyć drogę z Nowego Jorku do Waszyngtonu, niż przekroczyć teraz próg tego domu.

Ostatni raz widziała Petera przed trzema laty w gabinecie adwokata. Był wobec niej bardzo uprzejmy. Uprzejmy i rozpaczliwie obcy. Teraz jego głos w telefonie brzmiał

podobnie. Nie było w nim zdziwienia ani zachęty, nie było nawet zainteresowania powodem nieoczekiwanej wizyty.

Niepotrzebnie przebyła setki kilometrów, niepotrzebnie przyjeżdżała. Peter w niczym jej nie pomoże. Nikt już nie może jej pomóc.

Z ciężkim sercem weszła po schodach i zadzwoniła do drzwi. Otworzył jej osobiście, wysoki, szczupły, taki jak zawsze. Siłą powstrzymała się, żeby go nie pocałować. W jego szarych oczach nie było *dawnej* przyjaźni; spoglądały chłodno, obojętnie.

- Witaj, Sydney.

- Dziękuję, że zgodziłeś się na to spotkanie.

- Powiedziałaś, że to coś ważnego.

- Tak, dla mnie. - Przeszli do umeblowanego antykami salonu. - Dobrze ci się mieszka w Waszyngtonie?

- Bardzo dobrze.

Nalał wina do kieliszków. Wypił łyk. Sydney była zbyt zdenerwowana, żeby zrobić to samo. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Zbyt dobrze ją znał, żeby nie dostrzec, w jakim jest stanie. Z przykrością uświadomił sobie, jak bardzo jest piękna, i poczuł dawny ból. Najlepiej będzie od razu przejść *do sedna* sprawy.

- Co cię do mnie sprowadza?

Obcy, obojętny głos, pomyślała Sydney ze smutkiem. Przyjaźnili się całe życie, przez kilka lat byli małżeństwem, a teraz - obcy, obojętny głos nieznajomego człowieka.

- Nie bardzo wiem, jak zacząć.

- Od początku.

- Peter, dlaczego ożeniłeś się ze mną? - zapytała, a on

tylko popatrzył na nią zdumiony. - Powiedz, dlaczego się ze mną ożeniłeś.

Tego nie oczekiwał. Odchrząknął niepewnie.

- Były pewne powody.

- Kochałeś mnie?

- Wiesz, że tak.

- Ja też cię kochałam. Byłeś moim przyjacielem. Moim najlepszym przyjacielem. - Jej usta zadrżały, on pociągnął łyk wina.

- Byliśmy dziećmi.

- Kiedy się pobieraliśmy, nie byliśmy już dziećmi. Byliśmy przyjaciółmi. Dlaczego to wszystko tak się skończyło? Na czym właściwie polegała moja wina?

- Twoja wina? - Wstał z butelką w jednej i kieliszkiem w drugiej ręce. - Jaka twoja wina? O czym ty mówisz?

- Unieszczęśliwiłam cię, cierpiełeś przeze mnie. Wiem, że nie byłam dla ciebie dobra... także w łóżku...

- Po prostu nie lubiłaś, kiedy cię dotykałem. Kiedy się kochaliśmy, miałem wrażenie, że...

- ..robię to z lodowym sosem - dokończyła za niego.
- Wiem, mówiłeś mi.

- Powiedzieliśmy sobie wiele rzeczy. Nie zawsze przyjemnych. Dlatego trochę się zdziwiłem, kiedy zadzwoniłaś.

- Wiem. Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Przepraszam cię, już sobie pójdę. - Wstała i rozejrzała się bezradnie.

- Nasze małżeństwo było czymś w rodzaju kazirodztwa - powiedział nieoczekiwanie Peter. - Byliśmy jak siostra i brat. Musiałem szukać gdzie indziej.

W jego głosie był teraz wstyd i upokorzenie.

- Myślałam, że mnie nienawidzisz.

Odstawił butelkę i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Nienawiść byłaby łatwiejsza niż świadomość tego, że nie potrafię sprawić, abyś była szczęśliwa. Tego nie mogłem znieść.

- Po prostu nie było ci ze mną dobrze. Rozumiem, dlaczego poszedłeś gdzie indziej.

- Oszukałem cię, oszukałem najbliższą osobę, jaką miałem w życiu. Kłamałem i widziałem, że mną gardzisz, sam też sobą gardziłem. W końcu wolałem milczenie niż te wszystkie kłamstwa. Dlatego nigdy ze sobą o tym nie mówiliśmy. W ogóle przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Przynajmniej kiedy nikt nie patrzył.

- Pamiętam, a ja uniosłam się dumą. Straciłam najlepszego przyjaciela, bo byłam zbyt dumna, żeby się przyznać do błędu.

- Straciłem najbliższą sobie osobę i nigdy nie przestałem tego żałować. - Podszedł do niej i ujął jej rękę. - Chcę, żebyś wiedziała, że to nie ty jesteś winna, przynajmniej nie tylko ty.

- Peter, ja teraz tak strasznie potrzebuję przyjaciela.

Po jej policzkach popłynęły łzy.

- Jak zwykle nie masz chusteczki - uśmiechnął się, wzruszony. - Weź moją, wytrzyj nos.

Ścisnęła go za rękę.

- To znaczy, że łóżko było *jedyną rzeczą*, która nas rozdzieliła?

- W gruncie rzeczy tak. Chociaż... - zastanowił się.

- Wiesz, nieraz zadawałem sobie to samo pytanie, które ty dzisiaj mi zadałaś: dlaczego właściwie się pobraliśmy?

- Zrobiliśmy to, bo tego od nas oczekiwali inni.

- No właśnie. Chyba masz rację.

Przytuliła policzek do jego dłoni.

- Czy teraz jesteś szczęśliwy?

- Chyba tak, a ty, jak tam twoja firma?

Roześmiała się.

- Zdziwiłeś się, kiedy się dowiedziałaś?

- Byłem z ciebie bardzo dumny.

- Nie mów tak, bo znowu się rozpłaczę.

- Mam lepszy pomysł - pocałował ją w rękę -
chodźmy do kuchni, zrobimy coś do jedzenia i spokojnie
porozmawiamy.

Nagle wszystko zrobiło się proste. Dobrze było siedzieć
z Peterem w kuchni, jeść kanapkę i opowiadać o wszy-
stkim, co istotne i nieistotne. Zupełnie tak jak przed laty.

- Byłeś kiedyś naprawdę zakochany?

- Tak, w tej rudej z czwartej klasy.

- Mieliśmy wtedy dwanaście lat.

- Nie szkodzi, z nią też mi nieszczególnie poszło -
uśmiechnął się smutno.

- A gdybyś się naprawdę zakochał, ożeniłbyś się?

- Nie wiem. Na szczęście nie muszę o tym myśleć. No
dobra, skończ te podchody. Powiedz lepiej, kim on jest.

Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się do niego. Nalała
sobie kawy.

- Artysta i stolarz.

- Jedno i drugie?

- Tak, czasem rzeźbi, czasem buduje. Znamy się dopie-
ro kilka tygodni.

- Szybka jesteś.

- Wiem. Michael też taki jest. Błyskawicznie decyduje i zaraz potem robi to, co postanowił. W pracy, w życiu... Taka jest zresztą cała jego rodzina. Nadia, Natasza, Alex...

- Jest Rosjaninem? - zapytał domyślnie.

- Ukraińcem.

- Zaraz... Czy to nie Stanisławski? Ukraiński rzeźbiarz? Widziałem jedną z jego prac w Białym Domu.

- Nic mi nie mówił, to do niego podobne. Pokazał mi swój dom, swoją rodzinę, ale o tym, że robił coś na zamówienie prezydenta Stanów Zjednoczonych nie wspomniał ani słowem. Są dla niego rzeczy ważne i mniej ważne...

- Kochasz go.

- Tak, a on chce się ze mną ożenić. Miałam zresztą dwie propozycje małżeńskie w ostatnim czasie. Jak widzisz, mam powodzenie. Najpierw Channing Warfield, potem Michael.

Peter skrzywił się.

- Na Boga, tylko nie Channing!

- Dlaczego?

- W ogóle nie ma poczucia humoru, zanudzi cię na śmierć. Umie tylko chodzić na kolacje z klientami i siedzieć w biurze własnego ojca. Poza tym tak naprawdę to kocha tylko swojego krawca.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Strasznie mi ciebie brakowało, Peter.

Wziął ją za rękę.

- A jaki jest ten twój artysta?

- W ogóle nie ma krawca, jego ojciec nie ma biura, on sam ma za to wspaniałe poczucie humoru. Tylko że ja... ja

nie mogę za niego wyjść, nie mogę ryzykować, że znowu mi się nie uda.

- Mogę ci tylko powiedzieć jedno: nie słuchaj żadnych rad.

- Nawet twoich?

- To co innego. Przestań myśleć o tym, co było. Nasza historia nie ma żadnego znaczenia. Po prostu odpowiedz sobie na kilka prostych pytań. Czy jesteś z nim szczęśliwa? Czy masz do niego zaufanie? Jak sobie wyobrażasz życie z nim? A jak bez niego?

- A kiedy już sobie odpowiem?

- Będiesz wiedziała, jak postąpić. - Pocałował jej dłoń. - I pamiętaj zawsze, że bardzo cię kocham, Sydney.

- Ja ciebie też.

„Wystarczy odpowiedzieć na kilka prostych pytań.” Powtarzała te słowa, wchodząc do windy w domu Michaela. Minęły dwadzieścia cztery godziny od jej rozmowy z Peterem i właściwie nie musiała na żadne z nich odpowiadać. Odpowiedź znała od dawna.

Czy jest z nim szczęśliwa? Tak, jest bardzo, bardzo szczęśliwa.

Czy ma do niego zaufanie? Tak, bezgraniczne.

Jak sobie wyobraża życie z nim? Jako pasmo cudownych, codziennych i niecodziennych doznań, emocji, niespodzianek, dyskusji, wzlotów i upadków.

A życie bez niego? Pustka, kompletna, rozpaczliwa pustka.

Miałyby oczywiście swoją pracę, karierę, uznanie ludzi i pieniądze. Zaspokoiliaby własne ambicje, ale bez niego to wszystko nie miałyby sensu.

Wie zatem dobrze, co ma robić. To prostsze niż myślała. Tak jak powiedział Michael: logika serca jest prosta. Oby tylko nie było za późno.

Wjehawszy na czwarte piętro, rozejrzała się po klatce schodowej. Ślady zniszczeń zniknęły. Odmalowano ściany, naprawiono poręcze. We wszystkim znać było rękę Michaela.

Pogładziła dłonią ścianę. W ciągu kilku dni doprowadził wszystko do porządku, a dom przybrał wygląd solidnej, zasobnej kamienicy. Niemało jeszcze czasu upłynie, zanim zostanie wbity ostatni gwóźdź i tym samym zakończy się ten wielki remont, ale już teraz jego efekty były imponujące.

Ze ściśniętym gardłem zapukała do jego drzwi. Nikt nie odpowiedział. Ze środka nie dobiegał też żaden dźwięk, nie słychać było ani muzyki, ani hałasu przesuwanych kawałków drewna. Zastukała jeszcze raz. Przecież chyba nie śpi, jest dopiero dziewiąta. Przyłożyła twarz do drzwi i cicho zawołała jego imię.

Po chwili w uchylonych drzwiach obok ukazała się uśmiechnięta buzia Keely. Na widok Sydney natychmiast spoważniała.

- Nie ma go - powiedziała nieprzyjaznym tonem. Nie wiedziała, o co im poszło, ale nie mogła być miła dla kogoś, kto sprawił, że od kilku dni Michael chodził jak ściepy.

- Anie wiesz, gdzie jest?

- Wszedł.

- Widzę. - Sydney bezradnie wzruszyła ramionami. -

W takim razie będę musiała poczekać.

- Bardzo proszę - Keely była niewzruszona. Nie obchodziło jej to, że ta damulka najwyraźniej zadurzyła się w Mike'u. Zraniła jej przyjaciela i tylko to miało znaczenie. Niech teraz sobie pocierpi. Mike dość się przez nią namęczył. - Powinien niedługo wrócić - powiedziała niechętnie - dać ci coś do picia? - spytała. Trochę jednak zrobiło jej się żal Sydney. W sumie ta Hayward nie była taka zła, a Keely zawsze miała miękkie serce.

- Nie, dziękuję, jak twoje mieszkanie? Już je odnowili?

- Zrobili, co trzeba, pomalowali jeszcze raz ściany, bo tamci idioci wszystko zachlapali... Wiesz pewnie, że już wsadzili tamtego faceta?

- Wiem. - Janinę przekazała jej tę wiadomość, jak tylko zadzwoniła do biura. - Bardzo mi przykro, chciał tylko odegrać się na mnie.

- Tym bardziej jest idiotą. Najwięcej było roboty w pustych mieszkaniach, trzeba było osuszać ściany i wymieniać podłogi. Michael oczywiście wszystkiego dopilnował.

Co do tego Sydney nie miała wątpliwości.

- A mieszkanie pani Wolburg bardzo ucierpiało?

- Pływało wszystko. Lalki, poduszki, wszystko. Przyjechał tu jej syn, ona sama też niedługo wróci. Szykujemy bal powitalny w przyszłym miesiącu. Może byś wpadła?

- Nie wiem...

Przerwała, słysząc hałas nadjeżdżającej windy. Po chwili przy dźwiękach jakiejś ukraińskiej piosenki wytoczyły się z niej dwie postacie. Z niemałym trudem opuściwszy windę, zaczęły mozolną wędrówkę w stronę mieszkania Michaela. Na pierwszy rzut oka trudno było dojrzeć, kto

kogo prowadzi. Sydney dojrzała ślady krwi, koszulka Michaela poplamiona była krwią spływającą z jego rozbitej wargi.

- O, Boże -jęknęła.

Na dźwięk jej głosu mężczyźni zatrzymali się jak wryci. Michael spojrział na nią złym wzrokiem.

- A, to ty? Czego chcesz?

Poczuła od niego zapach wódki.

- Co się stało? - Niezrażona powitaniem, rzuciła się ku niemu. - Mielicie wypadek?

- Witaj, księżniczko - Alex uśmiechnął się mimo podbitego oka - zabawiliśmy się trochę, prawda, braciszku?

Michael zamiast odpowiedzi poczęstował go kuksańcem w bok, po czym zarechotał głośno i niezręcznie sięgnął do kieszeni po klucze.

- Alex, co się stało, kto ci to zrobił? - nie ustępowała Sydney.

- Co takiego? Ach to - dotknął spuchniętej twarzy - braciszek zawsze miał silny prawy sierpowy. - Przez chwilę z zainteresowaniem przyglądał się bratu, który bez powodzenia próbował trafić w dziurkę od klucza. - Ot, i napiiliśmy się trochę i dlatego to wszystko. Chociaż gdybyśmy się nie napili, byłoby tak samo - stwierdził filozoficznie.

- Cześć, Keely, pójdziesz ze mną potańczyć?

- Ani mi to w głowie - Keely wzięła go pod ramię i zaprowadziła z powrotem w stronę windy - zamówię ci lepiej taksówkę.

- No chodź, durna, nie lubisz tańczyć?

- Uwielbiam, całe życie nie robię nic innego. - Keely

przez ramię zerknęła na Sydney. - Powodzenia - rzuciła w jej stronę.

Nie mając wątpliwości, że dobre życzenia bardzo się przydadzą, Sydney cierpliwie czekała, aż Michael upora się z drzwiami. Otworzył je wreszcie i szybko wszedł do środka, próbując zatrzasać je przed jej nosem. Tym razem ona była szybsza.

- Dlaczego pobiłeś się z bratem? - spytała z wyrzutem, kiedy znaleźli się w środku.

- Bo co? - odparł zaczepnie. ~ Miałem się bić z obcy-mi?

- Daj spokój, siadaj - wykorzystując swoją chwilową przewagę, popchnęła go w stronę krzesła. Usiadł, z trudem utrzymując równowagę. - Pokaż, gdzie jesteś skaleczony.

Sięgnęła po plaster i wodę utlenioną. Michael zgramolił się z krzesła, podszedł do otwartego okna i wystawił głowę, żeby przyjść do siebie.

- Źle się czujesz?

Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Wódka nie zaszkodziła jeszcze nikomu ze Stanisławskich.

Z rozciętej wargi pociekła krew. Skrzywił się. Widocznie Alex też ma niezły sierpowy.

- Usiądź, przemyję ci to.

- Nie potrzebna mi pielęgniarka - powiedział, lecz usiadł posłusznie. Widocznie dłuższe przebywanie w pozycji wertykalnej przekraczało jego możliwości.

- Wiem, potrzebna ci niańka. Włóczyś się po mieście, pijesz, bijesz się z bratem... - Nie odpowiadał. Słuchał jej głosu, wdychał zapach jej ciała. Dużo by dał za to, żeby

zrządzenie Sydney trwało jak najdłużej. - Dlaczego robisz te wszystkie głupstwa? - zapytała.

- Bo tak jest fajnie.

- Tak, bardzo miło mieć rozciętą wargę i podbite oko. Zwłaszcza to ostatnie będzie się jutro wspaniale prezentować. Co by twoja matka na to powiedziała?

- Nic. Przylałaby nam obu. Zawsze jak Alex coś zbroi, wrzeszczy na nas obu, nie ma sprawiedliwości na świecie.

- Należy wam się. Obaj jesteście siebie warci. - Spojrzała na jego ręce. Kostki dłoni starte miał do krwi. - Zobacz tylko, co zrobiłeś z rękami! Przecież jesteś artystą, twoje ręce to skarb!

- Moja sprawa, co robię z rękami - powiedział ponuro, myśląc jednocześnie, co teraz zrobiłyby z nimi najchętniej.

- W porządku. A rób sobie, co chcesz, łaż po mieście, pij wódkę. Cuchniesz jak otwarta butelka.

Tego było zbyt wiele dla dumy Stanisławskich. Michael podniósł się z krzesła, spojrzał na nią wyniośle i o własnych siłach poszedł do łazienki. Po chwili usłyszała dźwięk prysznicza. Przeszła do kuchni i zamyślona zaczęła wycierać ręce.

Wszystko miało być inaczej. Nie tak wyobrażała sobie to spotkanie. Myślała, że przyjdzie do niego, powie jak bardzo go kocha, a on przytuli ją, pocałuje i powie, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Zamiast tego on jest zły i pijany, a ona zrządzi jak stara ciotka.

Ale czy nie należą mu się ostre słowa? Poczuła, jak ogarnia ją gniew. Nie myśląc wiele, z całej siły uderzyła ścierką o zlew. Tak, ulżyło jej trochę. Jeszcze lepiej będzie

walnąć czymś w ścianę. Rozejrzała się. Nie, plastik kubek nie wystarczy, chodzi o to, żeby coś się roztrzaskało, głośno, z hałasem. Może by tak butem w talerz...

W drzwiach kuchni natychmiast ukazała się twarz Michaela zwabionego dźwiękiem tłuczonego szkła.

- Co ty wyprawiasz?

- Tłukę naczynia.

Schylił się, but przeleciał obok jego głowy.

- Chyba zwariowałaś! Wyjeżdżasz Bóg wie dokąd, nic nie mówisz, a potem zjawiasz się nagle i demolujesz mi i mieszkanie.

- Właśnie tak.

Podniósł but, przez chwilę trzymał go w rękach, jakby mierzył odległość. Po chwili odłożył go jednak na bok.

- Gdzie byłaś?

Odrzuciła do tyłu włosy.

- Pojechałam do Petera.

Włożył ręce do kieszeni, jakby się bał, że jeszcze chwila i ją udusi. Pokręcił głową. Sprawiał wrażenie, jakby cały alkohol wyparował z niego w jednej sekundzie.

- Jedziesz sobie do jakiegoś faceta, a potem wracasz i rzucasz we mnie butami. Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz?

- Musiałam się z nim zobaczyć, porozmawiać.

- Sprawiałaś mi ból - dotknął dłonią zranionej wargi - to nic, nie o taki ból chodzi. Kiedy się z kimś biję, nie zwracam uwagi, czy boli, czy nie. Ty sprawiałaś mi inny ból. Ból, z którym nie można walczyć. Nie znoszę tego.

- Michael... - Podeszła do niego, ale czuła, że jest jeszcze za wcześnie na pojednanie. - Nie chciałam cię zra-

nić. Pojechałam do Petera, bo *jest* moim jedynym przyjacielem. Zawsze tak było. Z rodzicami nigdy nie mogłam rozmawiać, nie byli tacy jak twój. Kochali mnie, oczywiście, ale nie rozumieliśmy się zupełnie. Kupowali mi zabawki, posyłali do drogich szkół, robili wszystko, co uważali za korzystne dla mojej osoby, ale rozmawiać mogłam tylko z Peterem. - Wytarła oczy. - Myślałam już, że go straciłam, i źle mi było z tym. Ale ciebie kocham jeszcze bardziej, nie wiem więc, co bym zrobiła, gdybym straciła ciebie.

- Zostawiłaś mnie - powiedział łagodniejszym już głosem - nie straciłaś mnie, tylko zostawiłaś. Z własnej woli.

- Musiałam go zobaczyć. Żyłam w przekonaniu, że go skrzywdziłam, że zniszczyłam wszystko - przyjaźń, małżeństwo, miłość. Co by było, gdyby to samo przydarzyło się nam? - Podeszła do okna. - On jednak powiedział mi, że czuje się tak samo winny, że też miał wyrzuty sumienia i że cały czas sądził, że to właśnie on mnie oszukał. Nasza rozmowa wszystko zmieniła. Możemy nadal być przyjaciółmi, wiem już, że nie zniszczyłam naszej przyjaźni. I że nie muszę zniszczyć naszej, twojej i mojej...

- Bałem się, że nie wrócisz - powiedział po prostu, jakby cała ta przemowa nie zrobiła na nim wrażenia.

- Wyjechałam właśnie po to, żeby móc do ciebie wrócić. Tym razem naprawdę, no i wróciłam.

- Na zawsze?

- Tak - w jej głosie był spokój i pewność. - Kiedy szłam do tego domu, słyszałam dobiegające z niego dźwięki, odgłosy życia. Za drzwiami ludzie gotowali, rozmawiali, kłócili się, dzieci śmiały się i płakały. Chcę nale-

żeć do tego świata, chcę stać się częścią tego domu. Chcę mieć rodzinę, o której mówiłeś.

Zdjęła z szyi łańcuszek. Na jego końcu wisiał zaręczynowy pierścionek z rubinem.

- Nosisz go?

- Bałam się nosić na palcu, żeby go nie zgubić. Czy stale jeszcze chcesz mi go dać?

Podszedł i pocałował ją, nie przestając patrzeć jej w oczy.

- Już raz ci go dałem.

- Ale wtedy go nie wzięłam.

Zdjął pierścionek z łańcuszka, ujął jej rękę.

- Wszystko miało być inaczej, nie ma muzyki...

- Ja słyszę muzykę.

- Nie ma świateł ani kwiatów.

- Stale mam tamtą różę, którą mi dałeś. A poza tym jest przecież księżyc.

Ucałował jej dłoń.

- Tak, na księżyc zawsze można liczyć. Kocham cię, moje serce należy do ciebie. Moje życie należy do ciebie.

- Wsunął pierścionek na jej palec. - Czy będziesz moja, księżniczko?

- Przecież jestem.